

Iwaszkiewicz Jarosław

PODRÓŻE DO POLSKI

Dedykacja

Drogi Panie Marcinie!

Powiedział mi Pan — nie wiem, czy powodowany przekorą i złośliwością, czy też prawdziwą życzliwością — powiedział mi Pan te słowa: „A czemu Pan nie napisze podróży po Polsce, tylko te włoskie i włoskie...”

I niech Pan sobie wyobrazi, słowami tymi, niezależnie od tendencji, która nimi kierowała, zbudził Pan we mnie od dawna narodzone pragnienie, od dawna kielkującą myśl Pan poruszył, myśl, aby moje liczne po Polsce podróże, liczne obcowanie z obliczem tej krainy i moją znajomość — chyba nie powierzchowną — polskiego pejzażu i obyczaju, polskiego wczoraj i dzisiaj, objąć jedną kompozycją, tworząc ten pejzaż, w który mnie zawsze niezmiennie, pomimo podeszłego już wieku, ciągnie — i opowiedzieć mojemu czytelnikowi, bo nie wytłumaczyć, jakie jest czarujące to oblicze mojej krainy, z pozoru nieprzystępnej i nie- powabnej, a kryjącej w sobie tyle treści i tyle piękna.

Słowa Pańskie były jak nitka, wzdłuż której skonkretyzowały się, skomponowały i osiadły kryształki polskiej rzeczywistości, polskiego krajobrazu i polskiego grania czy szmeru, dlatego też chciałem na początku tej książki napisać te proste słowa: Marcinowi Królowi dedykuję tę pracę przeznaczoną dla wszystkich młodszych rodaków.

Jarosław Iwaszkiewicz

Sandomierz, 26 listopada 1975 roku

Od autora

Tytuł, który tym zebraniem w jedno fragmentom nadałem, ma dwa znaczenia. Jedno przenośne, że niby to wszystko, co tu piszę i pisałem, jest jakąś podróżą do ojczyzny; drugi całkiem konkretny, bo najistotniejszą treścią tych kart są prawdziwe i rzeczywiste podróże do Polski. Tak się moja biografia złożyła, że trzykrotnie w ciągu mego życia „jechałem do Polski”, wybierałem się do mojej ojczyzny jak gdyby z zewnątrz, zmierzałem ku niej — pół-pielgrzym, pół-turysta — zgadując tylko, co jest jej istotą, co jest jej powabem i mogąc ją porównywać z innym środowiskiem, w którym się pierwotnie zasiedziałem.

Pierwszą z tych podróży było przesiedlenie z Ukrainy do Warszawy jeszcze w roku 1902, kiedy byłem ośmioletnim dzieckiem. Wielokrotnie mówiłem o tym bogatym w treść epizodzie mego życia i o tym zadziwieniu, zaniepokojeniu i przemieszczeniu wartości, jakie to przeniesienie się we wrażliwym dziecku sprawiło. Pisałem także o obrazach, które wtedy Polska we mnie wywołała i niezmiernie głęboko je odcisnęła. Wrażenia te pozostały na zawsze największymi wrażeniami dzieciństwa: kościoły, Filharmonia, teatry, Powązki, Zachęta, słowem: Warszawa. Jednocześnie Uniwersytet Latający u nas w domu (wykład Krzywickiego), Sienkiewicz jadący w dorożce ulicą Kruczą, wieczory z patriotycznymi deklamacjami w „pracowni mód” pani Maciejewskiej i kuzynka w białej sukni idąca na czwartek do Deotymy.

Druga moja podróż do Polski to już sprawa bardziej skomplikowana, obejmuje bowiem tą nazwą szereg wyjazdów do Warszawy i „Królestwa” w latach 1911, 1912 (dwa nawroty), 1913, 1914. Miałem już wtedy siedemnaście—dwadzieścia lat, osobowość

Iraoja kształtowała się, zainteresowania ustalały się, i dla mojego wykształcenia lata te były ogromnie ważne. Poznałem wówczas wieś polską, tak różną od ukraińskiej, polską kulturę szlachecką, też inną — i pomalutką wchodziłem także w życie kulturalne polskie dzięki zainteresowaniom moim, moich krewnych i przyjaciół, wnikałem w zagadnienia literackie, które przedtem były mi całkowicie obce. Swoista mieszanina kultury Byszew (rodzaj Neandertalu) z kulturą literacką Warszawy, jedyna okazja zaznajomienia się z okazałym życiem arystokracji — o dziwo, rosyjskiej — stworzyły ten bardzo swoisty amalgamat, jakim były lata mojej wczesnej młodości.

Gdy wyjechałem do Polski po raz trzeci, byłem już uformowanym człowiekiem i przeszedłem przez wielkie doświadczenia pierwszych burz uczuciowych, pierwszych rozczarowań filozoficznych, pierwszych klęsk i zwycięstw artystycznych. Na kartach doświadczeń życiowych mogłem zapisać prawdziwe poznanie wsi ukraińskiej (zauważmy, że nastąpiło ono po poznaniu wsi polskiej), no i przeżycia tak ogromne, które wypadły na losy mojego pokolenia — pierwsza wojna europejska i wielka rewolucja rosyjska. Oba te gigantyczne zdarzenia działały się niejako w tle mojej biografii, ani w jedno, ani w drugie nie byłem bezpośrednio zaangażowany, ale przecie ich rozmach, ich potęgę, sama wielkość tych zjawisk musiała zadziałać na mój charakter, na moje usposobienie, na moje pojęcie o świecie. Cóż dziwnego, że sprawy polskie wydały mi się czasami sprawami mialkimi i ograniczonymi, a świat, zwłaszcza światek warszawski, czasami sprawiał na mnie wrażenie ciasnego podwórka.

Trzeba sobie zdawać z tego sprawę, że Polska była dla mnie krajem egzotycznym, że opowiadano mi o niej w dzieciństwie jako o czymś dalekim i nieosiągalnym, że chwilami przemieniała się dla dziecka w krainę baśniową, że jej onomastyka brzmiała

— co tu dużo gadać — i brzmi w dniu dzisiejszym jak onomastyka Odysei czy Ramajany. Do dziś dnia na słowa Bzura czy Pilica, Ilza czy Ogrodzieniec odczuwam w sercu lekkie piknięcie, którego nie odczuwam nawet przy słowie Paryż czy Oksford. Na owym piknięciu, na owym spojrzeniu na topiący się w dali asfalt, który mnie ciągnie w zaczarowaną krainę, polega moja odwaga przystąpienia do sporządzenia książki noszącej tytuł Podróże do Polski i mającej ewidentnie na celu opisanie tej krainy.

Pomimo spędzenia w Polsce długich lat życia, nigdy nie stała się ona dla mnie czymś zwyczajnym i zawsze mnie zachwyca jednakowo. I to chyba będzie przedmiotem mojego opisania.

Bo przecie nie mogę mieć pretensji do opisania jej pod względem przyrodniczym, statystycznym, historycznym czy społecznym. Mogę tylko opowiadać, jak w codziennym moim z nią współżyciu działała ona na mnie, jak pobudzała moją myśl, ochotę do syntezy, lęk przed konieczną analizą, jak działała na mnie codziennie swoją mocą życiową, swoimi klęskami i swoimi tryumfami, które przeżywałem jak własne klęski i tryumfy.

Będę się starał to wszystko opisać, zgromadzić, co już opisałem, ale przestrzegam czytelników, że świadomość moja, moja samowiedza bierze w tej książce mniejszy udział niż w innych moich książkach. Pisząc o Polsce pozostawię całą masę spraw nie wyłożonych, nie wytłumaczonych, niejasnych. Czasem nawet

spraw pierwszorzędного znaczenia i bardzo wielkiej wagi. Bo mimo wszystko przyznać muszę, że tak wielu spraw nie wiem, z tylu innych nie mogę sobie zdać sprawy.

Dlaczego na przykład, wjeżdżając w lasy starachowickie, między Iłżą a Brodami Iłżeckimi, za każdym razem doznaję uczucia głębokiego, niewytłumaczalnego szczęścia? I las ten jest jak las, i wieś pośrodku lasu, naiwne Marcule, jest jak wieś, i jest w Polsce może wiele więcej piękniejszych lasów. A tutaj czy to na wiosnę, czy w jesieni, kiedy pomarańczowe graby tak kontrastują z ciemnią jodeł, czy w zimie, kiedy każdą gałąź, każdą igłę pokrywa szreń, jak w opisach Żeromskiego, nawet nie zastanawiając się nad tym, nawet nie widząc tego wszystkiego, tylko niejako czując naskórkiem, jestem taki szczęśliwy.

Tak samo nieokreślonym uczuciem radości napęlnia mnie pejzaż z okolic Brzezin. Tu już bardziej uzasadnione uczucie radości, bo wywołuje on wspomnienie wczesnej młodości, niepokoje i radości tej epoki, kiedy przemierzałem ten pejzaż różnymi drogami, to bryką, to karetką żydowską, to piechotą. Kiedy ściany okolicznych domów przykrywała gęsta siatka wiśniowych owoców, kiedy noc pokrywała te drogi zapachem lipowym albo świeża ulewa pozostawiała na nocną wędrówkę niewyraźne kałuże. Nie wiedziałem wtedy dokładnie, czy kochałem, czy tęskniłem, czy jakby mi się tak wydawało.

Z takich nieokreślonych uczuć, impresjonistycznych obrazów, bezideowych rysunków będzie składać się moja książka.

1975

Warszawa

Jakoś nie bardzo mogę wytłumaczyć ani tym, którzy mi przyznawali nagrodę miasta Warszawy (co sprawiło mi niezwykłą przyjemność), ani tym, którzy robią ze mną wywiady i zadają mi najrozmaitsze i czasami nawet dość nieoczekiwane pytania, że z Warszawą jestem związany nie od roku 1918, jak głosił komunikat oficjalny, ale od 1902 — co jest bardzo dużą różnicą.

Warszawa w oczach dziecka musiała być zupełnie czym innym niż w oczach młodzieńca i dorosłego człowieka, w Warszawie skończyłem dziewięć i dziesięć lat. Potem znowu wróciliśmy na Ukrainę.

Te wrażenia wczesnego dzieciństwa wracają ze szczególnym natężeniem w starości i wspomnienia pierwszych dni spędzonych wówczas w mieście, z którym później związałem się na stałe, odżywiają z niezwykłą plastyką. Była to Warszawa prowincjonalna, uboga, cicha, jeszcze przed rewolucją 1905 roku, a już pełna najrozmaitszych materiałów, z których wysnuły się i przygody mojego życia, i perypetie moich książek — nie mówiąc już o dziejach samego miasta.

Pamiętam, kiedy przyjechaliśmy na Pragę, na dworzec Teres- polski, jechaliśmy potem przez most Kierbedzia. Na moście spotkaliśmy ubogi pogrzeb, dążący oczywiście na Bródno, i tak mi się jakoś to poplątało, jak na obrazie Gieryskiego, kraty mostu Kierbedzia, szare wody Wisły, piaszczyste brzegi rzeki i ten pogrzeb w jednego konia. Wiem, że coś w tym pogrzebie było różowego — może nawet trumna? — a pewnie wieniec z jaskrawych, różowych papierowych kwiatów.

A potem jechaliśmy Wareckim Placem dopiero co oczyszczonym z gmachów szpitalnych i przytułkowych „Dzieciątka Jezus”. Od Poczty Głównej widać było na wprost nowy, wspaniały, przykryty niebieskawym dachem gmach Filharmonii. Zaraz mi mama i siostry objaśniły, co to jest, i tak mi w oczach został ten budynek, z którym następnie związało się tyle moich przeżyć I I pierwszy koncert symfoniczny orkiestry, i dziecinny Miecio Horszowski, grający preludium Chopina, i następne wielkie sprawy: moja narzeczona, pierwsze wykonania Koncertu skrzypcowego Karola Szymanowskiego i jego symfonie, i muzyka Ravela, i Debussy'ego, co było wielkim ewenementem, i konkursy Chopinowskie, i to, że później przemawiałem na otwarciu odbudowanej Filharmonii, i Włodzio Sokorski, i wiotka królowa belgijska, jubileusz tej niezwyklej gwiazdy Lucyny Messal i to, co o Filharmonii napisałem, wszystko to już było in nuce 1 w tym spojrzeniu, które niemałym węzłem związało mnie z Warszawą.

Mieszkaliśmy na początku na Nowogrodzkiej 21. Dziś ten dom od frontu nie istnieje, ale myśmy mieszkali w podwórzu, w trzech pokojach w amfiladzie. Widok na to podwórko to był cały świat: był tam i syn praczki Heniek, którego matka melodyjnie wołała na górę, i handlarze podwórzowi, i piaskarze, i „lody Ludwika, lody!”. Najsmaczniejsze lody na świecie.

Stąd to zaprowadziła mnie matka do szkoły pana Karola Szulca, wysokiego pana z podwójną długą, rudą brodą, gdzie rozpocząłem poważną naukę. Szkoła mieściła się na przeszlicznej uliczce Świętej Barbary, z której dzisiaj został tylko cień. Ci, co Warszawę odbudowywali, jak gdyby specjalnie zawzięli się na małe uliczki Śródmieścia, z którymi było związane moje dzieciństwo, na tę śliczną uliczkę Barbary z ogródkami, na miłą ulicę Sadową — które nie mogły znieść wielkich domów w stylu tramwajowym, jakimi je teraz zabudowano. Bo potem mieszkaliśmy na Hożej 27, i okna mieszkania wychodziły na Sadową. Było tam wielkie weneckie okno, które przetrwało wojnę i powstanie i dopiero teraz zostało zmienione na banalne, stereotypowe okno mieszkania warszawskiego. Z tego okna rozciągały się na Sadową ciekawsze widoki niż na podwórko, jak na Nowogrodzkiej. Tutaj przechodzili krewni, znajomi, czasami mijała nasze okno niezwykle wysoka pani Karolcia Bienkiewiczowa, o której Feliks Szymanowski mawiał, że „Karolcia nie męczy się chodzeniem, upadnie dwa razy i jest już t Sadowej na Placu Teatralnym”. Jakim żalonym widokiem jest dzisiaj ulica Sadowa.

Ale wracajmy do szkoły!

Bądź co bądź, były to moje pierwsze szkolne wrażenia i właśnie związane z Warszawą. Tutaj nauczyłem się siedzieć w ławce, tutaj nauczyłem się gadać na lekcji z sąsiadem, tutaj nauczyłem się czytania spod ławki, co jest przecie także wielką umiejętnością życiową.

Tutaj miałem nauczycieli, którzy wydawali mi się półbogami i których z wielkim zdziwieniem spotykałem „po cywilnemu” na ulicy, na wystawie w Zachęcie albo w Filharmonii, gdzie pan Karol Szulc i jego żona, ustrojona w wielką kokardę pod szyją, siadali akurat naprzeciwko mnie i mojej matki na balkonie pierwszego piętra.

Tu przecie oprócz Filharmonii zaczęła się ta magia teatru, która działała na mnie przez długie lata. Pierwsze przedstawie-

I nia, jakie widziałem, były związane z Teatrem Letnim w Ogrodzie Saskim. Nie wiem, czy to wtedy odbywały się jakieś remonty w Wielkim i w Rozmaitościach, czy też były po temu inne jakieś przyczyny, ale dwa spektakle, które obejrzałem i które zostawiły wrażenia na całe życie, odbywały się właśnie w Teatrze Letnim, w tej budzie „tymczasowej”, a która trwała tyle lat i tyle pięknych przedstawień widział, zanim zgorzała w pożarach 1939 roku.

Zanim obejrzałem pierwszą operę w życiu, już byłem przygotowany do niej przez to, że chodziły na nią moje siostry i że czytałem o niej w owoczesnym „Kurierze Warszawskim”, który był prawdziwą encyklopedią najlepszych i najciekawszych wiadomości z dziedziny kultury i sztuki. Pamiętam, jak moja siostra Hela szła „do opery”, jak ubierała się w przyciasną już dla niej suknię „z wesela Henia” — i jak potem wróciła oczarowana nie tyle śpiewem gościa włoskiego Anselmiego, co cudownym głosem, łatwym sposobem śpiewania i wstrząsającą aparycją barytona Grąbczewskiego. Był to oczywiście Rigoletto.

Na pierwszy spektakl operowy wybrano dla mnie Halkę. Siedziałem na balkonie Teatru Letniego (z którego w kilkanaście lat potem gwizdaliśmy ze Słonimskim na jakiejś tam sztuce) jak trusia, zapatrzony, zachwycony, nie wiedząc, skąd się wzięło to Helczyne dziecko, które matka wkładała „do trumienki”. Śpiewaczka była znakomita, chyba Zboińska-Ruszkowska, a mazur omal całej budy nie rozwalili.

Innym spektaklem, który oglądałem w tym samym teatrze z aktorami Teatru Rozmaitości, był dramat Niech żyje życie! Sudermanna, jak dziś mi się wydaje, mieszczańskie dramidło, zupełnie oczywiście dla mnie nieodpowiednie. Były tam jakieś poważne komplikacje erotyczno-salonowe, rozmowa pomiędzy mężem a kochanką, którą do dziś pamiętam, a byli to Ładnowski i Żelazowski, było jakieś przyjęcie w salonie, kiedy mi się niezwykle podobała Majchrzycka w granatowej aksamitnej sukni. Oczywiście bohaterką dramatu była Helena Marcello-Palińska. Musiała być już bardzo stara, ale zrobiła na mnie wrażenie, skoro długo potem pokazywałem w domu, jak „dramatycznie” chodziła po scenie, robiąc jeden krok powoli, a potem dwa szybko. Zaś jej ostatni gest przed samobójstwem, zaciąganie firanek na oknach z powiedzeniem: „Żegnaj, dniu!”, do dziś dnia

widzę przed sobą i mógłbym wymalować. Była to ta aktorka, którą zachwycał się Żeromski.

Nie bez tego oczywiście, żeby nie zadziałała na mnie magia cyrku. Chociaż dzisiaj na Okólniku stoi piękny gmach Wyższej Szkoły Muzycznej, chociaż królują tu inne muzy, nieraz, kiedy przechodzę tamtą stronę, wyrywa mi się westchnienie żalu, że nie widzę tutaj krągłej, solidnej budowli, w której królował papa Ciniselli. Ach, jakie tam były konie, jaka cudowna pantomima Tomcio Paluch, z fantastyczną muzyką, która ilustrowała kroki olbrzyma zamierzającego pożreć małego Tomcia, i jakie cudowne łóżeczka, w których spał Tomcio i jego sześciu braci, i w jak cudowny sposób spływała spod kopuły dekoracja, która przekształcała arenę w las, gdzie zabłądził Tomcio!

I to zauroczenie teatrem polskim już pozostało na całe życie. Przecież w Kijowie był bardzo dobry teatr rosyjski i niezwykle teatr ukraiński, ale tutaj to, że to było polskie, stawało się czarodziejskie i zarazem święte. Kiedy tylko przyjeżdżałem do Warszawy, biegłem do teatru. A poczynając od rajsp^l^zn^by

łem tu częstym gościem. Młody Jaracz jako Napoleon w Napoleonie i Józefinie Bahra, Zelwer jako Masynissa w Irydionie na Bielańskiej w 1912 roku, to były przeżycia! A potem już od 1913 roku zaczęły się spektakle Teatru Polskiego. Byli to Krakowiacy i Górale i niezapomniana premiera Burzy Szekspira. Zelwerowicz, Jaracz (Kaliban), Iza Kozłowska (Miranda) i niezwykła dekoracja Frycza, przedstawiająca jedno jesienne żółte drzewo, zapelniające całą scenę i odsłaniające coraz to inną stronę swej rzeźbionej sylwetki.

W Teatrze Polskim pracował Felo Zbyszewski, kuzyn Karola Szymanowskiego, a ponieważ ówczesną podróż do Warszawy odbywałem w towarzystwie siostry Karola, Nuli, więc przez niego mieliśmy te pierwsze moje „kartki” do Polskiego Teatru, a po Krakowiakach i Góralach poszliśmy z nim do „Nadświdrzańskiej” na kwaśne mleko („Nadświdrzańska” była na rogu Alei Jeruzolimskich i Nowego Świata, tam poznał Żeromski panią Anne) i mogliśmy rozmawiać o teatrze, jego aktorach, o Jerzym Leszczyńskim, wspaniałym Bryndasie, i o niezwykle młodym dyrektorze Szyfmanie. Nie przeczuwałem tego, że po pewnym czasie ten świat, świat Teatru Polskiego, stanie się moim światem.

Boć przede z tym teatrem i z jego filiami związane były wszystkie „wielkie” i radosne dni mojego życia, premiera Lata w Nohant, Maskarady, Hamleta w moim przekładzie, który to przekład kosztował mnie wiele trudu; wreszcie wielki dzień premiery Lilii Wenedy z Broniszówną, Barszczewską, Osterwą, w odbudowanym teatrze, w pierwszą rocznicę wyzwolenia Warszawy, która to premiera była jak zapalenie lampy w ciemności, jak odzew silnego głosu w śmiertelnej ciszy ruin. Wreszcie w tym teatrze i w okresie mojej w nim pracy odbyła się premiera Dziadów Bardinięgo. Nie były to przeakcentowane Dziady Dejmka, ani wysofistykowane Dziady Swinarskiego — były to po prostu „Dziady raz!”, ale które wstrząsnęły mną, nami, społeczeństwem, jako klasyczne e pur si muove!*

W epoce, kiedy już mieszkałem w Warszawie na stałe i kiedy przedstawienia teatralne stały się dla mnie chlebem powszednim, brałem udział w szeregu „spektakli narodowych”, które też miały swoje widowiskowe znaczenie. Były to przede wszystkim pogrzeby. Na przykład pogrzeb Sienkiewicza. W pogodny październikowy dzień 1924 roku towarzyszyłem marszałkowi Ratajowi przy tym obrzędzie, a więc byłem bardzo blisko trumny, rodziny, biskupów. Był to obrządek spokojny, wielkich rozmiarów, ale nie odznaczający się jakimś specjalnym nastrojem. Tyle tylko, że chowanie Sienkiewicza w podziemiach katedry warszawskiej było czymś nowym i osobliwym. Omijało się Kraków. Natomiast niebывałym spektaklem w parę lat później był pogrzeb Słowackiego. Przybicie statku do nabrzeża wiślanego przy moście Poniatowskiego z malutką trumienką na pokładzie, i z Or-Otem i Janem Lechoniem, stojącym przy trumnie na warcie, zostało w moich oczach na całe życie. I ta krótka czerwcową noc warszawska, pełna tłumów i kwiatów, kiedy trumna stała w katedrze, a wszyscy tłoczyli się przez noc całą, aby przechodząc koło niej rzucić na nią garść czerwcowych kwiatów, i potem ten wschód słońca nad bezsenną Warszawą, i pełnia letnich zapachów — jeszcze wtedy nie była Warszawa zatłamszona wylotami spalin — to było przedstawienie niebывałe. I śmiesznie pomyśleć, że brałem w nim udział odziany we frak i w pożyczonym cylindrze, bo wymagał tego ceremoniał pogrzebowy. Pogrzeby Żeromskiego i Reymonta były jesienne, późnojesienne. Ale cała Warszawa szła za tymi trumnami. Wtedy szło się piechotą na Młynarską czy na Powązki i pochod ten trwał godzinami. Na pogrzebie Żeromskiego nieśliśmy z Lechoniem i Wierzyńskim (byliśmy jednego wzrostu) poduszkę z orderami pana Stefana. Dzisiaj mi się wydaje, że tych orderów było bardzo mało, jak na takiego pisarza. Aleśmy szli od Zamku do Młynarskiej całe trzy godziny, noga za nogą, tak jak szły kryte kirem rumaki wiozące trumnę. Pogrzeb Reymonta, który się odbył w dwa tygodnie później, był inauguracją Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim, tej biegnącej bezpośrednio za katakumbami. Jednocześnie był to pierwszy pogrzeb, na którym przemawiałem „nad trumną”. Od tego czasu wygłosiłem tych przemówień żałobnych tyle, że mógłbym z nich stworzyć osobną książkę, jak Bossuet. Oddawałem warszawskiej ziemi i Kruczkowskiego, i Dąbrowską, i Morstina, i Jana Dembowskiego i Ostapę Dłuskiego, i Brzechwę, i Gojawiczyńską, i ukochanych moich poetów: Tuwima i Gałczyńskiego, i Zawieyskiego, i Horzycę. Stałem się czymś w rodzaju warszawskiego biskupa, grzebiącego co wybitniejszych warszawiaków!

Jeżeli chodzi o warszawskie żałobne uroczystości, to niezapomniany był dzień 1 listopada 1939 roku, kiedy zapłonęły światła i zakwitły skromne kwiaty na wszystkich trotuarach, skwerkach, ogródkach i podwórkach, gdzie byli pochowani ci, co zginęli podczas oblężenia Warszawy. Ponieważ wczesny śnieg ubielił już wtedy domy i ulice, widok to był jedyny, niezapomniany i rzeczywiście godny „Warszawy w kwiatach”.

Nie brakło także mrozących krew w żyłach „widowisk ludowych”, jakie urządzali nam hitlerowscy barbarzyńcy. Cały obrządek, jaki towarzyszył ulicznym egzekucjom, miał w sobie też coś ze strasznego, ale wspaniałego teatru. Cześć, jaką oddawano miejscom kaźni zaraz po egzekucjach, była czymś poruszającym do głębi. Skromne tablice, które dzisiaj znaczą te miejsca i o których mówią wszyscy cudzoziemcy, są bardzo nikłym pomnikiem tych wstrząsających widowisk, pamiątką tych kwiatów, świec i modłów, które zjawiały się natychmiast po egzekucji.

I jeszcze jedna dzisiaj zapomniana sprawa: stworzenie pomnika ciszy nad zniszczonym miastem. Ten, kto nie pamięta tych czasów, nawet nie może wyobrazić, czym była cisza ruin warszawskich. W ciągu całego roku przyjeżdżając codziennie od siebie wcześniej uruchomioną kolejką, na róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej, piechotą przemierzałem Aleje Jerozolimskie i Nowy Świat, aby się dostać do Teatru Polskiego, w którego odbudowie brałem skromny, ale stały i serdeczny udział. Po drodze czasami zachodziłem do opustoszałych podwórek rozwalonych domów. Natychmiast w takim podwórzu ogarniała mnie specyficzna, pamiętna, osobliwa cisza, okraszona nieco swądem pogorzeliśka i lekkim trupim fetorem. Cała trasa była zrujnowana, cała pełna takich podwórek i cała pełna takiej martwej ciszy.

I pomyśleć tylko, że było się świadkiem, jak z tej ciszy, jak z tych ruin poczynało się rodzić nowe życie i jak powstawało to, co jest dzisiejszą Warszawą. A każda cegielka, każda płyta trotuaru była położona czyjąś ręką, każda wprawiona szyba umocowana jakąś dłonią, wszystko musiało być wywiezione i zwiezione. Na początku konnymi furmankami i nędznymi wozami, potem platformami, wreszcie ciężarówkami, które zdawały się zrazu czymś osobiście luksusowym.

I to szczęście, że długie życie pozwoliło mi skonstatować, jak w tych wielkich odbudowach aktywny udział brali znani nam

od dziecka czy od młodości ludzie. Jak przepiękną ścianę wschodnią zbudował skromny studencik, który się kiedyś zjawił w MSZ z prośbą o ułatwienie wycieczki do Hiszpanii, jak równie piękny stadion powstał zaprojektowany przez tego malca, który ze swoimi rodzicami przychodził ze Skoszew do Byszew i tak zabawnie siorbał herbatę przy podwieczorku w wielkiej byszewskiej jadalni, a kolumnę Zygmunta podniósł ten chłopak, którego jeszcze widzę, jak spada z wysokiego drzewa, ze złamanej gałęzi w lesie pod Kal-nikiem.

Chodzi się po tej Warszawie i myśli: tutaj była redakcja „Wiadomości”, tutaj był „Gebethner i Wolff”, tutaj przychodziłem do Arcta po „Moje Pisemko”, w tym miejscu poznałem na ulicy Jana Lechonia, tutaj spotkałem pierwszy raz po oblężeniu Warszawy Światka Karpińskiego, tutaj mieszkały ciotki Szymanowskie... wszystko to są już tylko miejsca imaginacyjne; nie istnieją już te domy ani te ulice, ani te trotuary. Jest tylko jedna kawiarnia, która dawniej była cukiernią na rogu Alei Ujazdowskich i Placu Trzech Krzyży, gdzie przychodziłem z moją matką na czekoladę z ciastkami. Choć nie ma tam już dawnej kasy i nie ma zegara, gdzie godziny wyskakiwały same, bez wskazówek, ale lokal wydaje się taki sam. Nie zmieniony. I gdy pewnego dnia ktoś tam był dla mnie w tej kawiarni niegrzeczny, powiedziałem: „Na Boga, ja już siedemdziesiąt dwa lata przychodzę tutaj na kawę, a wy mnie tak traktujecie!”

Cóż robić, ludzka pamięć nie jest trwała, ale miasto trwa i przechodzą nad nim letnie i zimowe burze, jesienne noce i wiosenne odrodzenia.

Kocha się więc to miasto i wybacza wiele grzechów jego mieszkańcom. Pamięta się jego stare domy i ogrody, chce się podziwiać jego domy nowe. Kiedyś, kiedy byliśmy młodzi, umówiliśmy się z gronem przyjaciół, że spotkamy się przed Pałacem Łazienkowskim w maju 1921 roku. Termin wydawał się nam bardzo odległy. Ale wierzyliśmy, że piękny Ogród Łazienkowski przetrwa. A teraz, śmiesznie o tym pomyśleć, jakże dziecinne były nasze myśli o przemianach. Dzisiaj spotykamy się z przyjaciółmi najczęściej na Powązkach. Ale to jest także bardzo piękny ogród.

1974

Trawa na Trasie

W tych dniach przyszło mi do głowy, aby zrobić sobie mały „spacer po Warszawie”! Mimo iż głowę miałem zaprzątniętą jakimiś tam zmartwieniami, kłopotami i irytacjami, postanowiłem przejść się na piechotę dobrze mi znaną i od tylu lat pamiętną linią Belweder—Plac Z&mkowy.

Warszawa zawsze wydawała mi się piękną w takie letnie dni, bardzo prześwietlone blaskiem niebieskiego i nie pokrytego chmurami nieba. Lekki wiatr porusza liśćmi lip w alejach i sypie kwiatem, który jak złoty pył spada na trotuary. Niestety teraz wiatr ten porusza oprócz tumanów lipowego kwiecica także chmury ceglatego prochu sypiącego się z ruin. Ruin tych jest jednak coraz mniej i już wynurza się z nich prawdziwy i wzruszająco piękny kształt nowej Warszawy.

Gdy się tak idzie tym starym i znajomym szlakiem, pomieszanie wspomnień z nowymi wrażeniami napęnia zdziwieniem i daje to najprzyjemniejsze uczucie, jakie się ma wychodząc po raz pierwszy na ulice nieznanego miasta w podróży. Takie każde przejście ulicami Warszawy jest podróżą — tającą w sobie więcej wrażeń niż przemierzanie obcych, choć pięknych krajów.

Tutaj, gdzie teraz stoi wyniosły Dom PZPR, pamiętam, w 1902 roku wzniesiono pierwszy „secesyjny” dom w Warszawie — i chodziło się specjalnie go oglądać. Dziwiły skrzynki na kwiaty przy oknach, zdobione blaszanymi liśćmi kasztanów, powyginane oparcia balkonów. Dzisiejsza spokojna elewacja i duża przestrzeń przed Domem Partii jakże się wydają odmienne od tamtej podejrzanej nieco wiedeńskiej nowości. Prawie naprzeciw pałac Poznańskich

(Lubomirskich) wraca do dawnej świetności, szczęśliwy, że pozbył się ohydnej, pseudogotyckiej kamienicy w sąsiedztwie. Plac Trzech Krzyży: trochę miasto, trochę miasteczko, trochę nawet stolica — odmienia ruinę kościoła Świętego Aleksandra, która przypominała rysunki Piranesiego, na krągłą rotundę o szlachetnym kształcie. Nowy Świat — gama różowych i kremowych domków biegnących precyzyjnie zakreślonym łukiem. Na pałacu Staszica kopułka pokrywana miedzią, uwieńczona „drzewkiem” ozdobionym wstążkami — znak zakończenia budowy. Wiele takich „drzewek” spotyka się po drodze. U stóp pomnika Kopernika kamieniarze ciosają kamienie na cokół. Jest ich dwóch, jeden stary, w okularach, miarowo kuje siedząc okrakiem na złomie bazaltu, drugi młody, jasny, z zaciętą miną uderza młotkiem w dłuto, jak gdyby atakował wroga bagnetem. Ułamki kamieni odskakują na wszystkie strony i ludzie czekający tutaj na autobus stoją w kamienistej chmurze połyskującej w Nielitościowych promieniach prążącego słońca. Ułamek kamienia zadrapał w policzek młodszego robotnika, ale on na to nie zważa.

A dalej wszędzie praca, budowa, czerwone dachówki pałacu Potockich, który się staje ministerstwem kultury, na Prezydium Rady Ministrów rząd czarnych posągów — i naprzeciw, na szczycie ruin „Hotelu Europejskiego”, szereg posągów z brązu: to żołnierze na dachu tego budynku pracują gromadą.

Ale to wszystko jeszcze jest Warszawa, piękniejsza, nowa, wynurzająca się z mułu ruin, jak syrena z piasku Wisły, ale Warszawa. Pełno tu rzeczy znajomych, znanych, nie tylko zresztą pięknych. Z chwilą jednak, kiedy się przekracza płot z napisem: „Budowa trasy W—Z, wejście wzbronione”, przechodzi się do innego, specjalnego, bardzo dziwnego i bardzo pięknego świata. (Wzbronione nie jest tak groźne, co krok spotyka się ludzi, którzy tak samo weszli jak i ja i tak samo zagapieni i zadziwieni nie wiedzą, gdzie się znajdują.) To także jest Warszawa, ale nie taka Warszawa, jaką znaliśmy w przeszłości: to jest Warszawa śmiałych, nowych pomysłów, pracowitych urzeczywistnień, słowem — Warszawa przyszłości.

Myślę, że ludzie, którzy pracowali na trasie W—Z w ciągu półtora roku, wspominać będą ten okres życia jako istnienie w innych wymiarach. I to najbardziej uderza, kiedy się wchodzi na teren budowy, atmosfera tam panuje zupełnie osobiwa.

„Jeden ze spotkanych inżynierów powiada mi: „J— No, widzi pan tutaj tę garstkę wariatów, którzy nie wiadomo z czego robią nie wiadomo co!”

Nie zdaje mi się słuszne to powiedzenie i gwałtownie oponuję. Oczywiście atmosfera jest tutaj nieco podniecona, ale to nie jest gorączka choroby, to jest gorączka twórczości. Jest to jakieś wzniesienie ponad przeciętność, podekscytowane i radosne. Przypuszczam, że taka atmosfera panowała na próbach tragedii Ajschylosa, kiedy ze zbiorowego przeżycia wyłaniał się nowy kształt sztuki i nowy kształt życia. Każda epoka wypowiada się inaczej, szuka swojego zbiorowego wyrazu: Grecja starożytna przez teatr tragiczny, średniowiecze przez zespołowo budowane katedry, współczesność przez takie dzieła, jak trasa W—Z.

Gdy się poruszamy w tym tłumie statystów i protagonistów — ciągnę tutaj to porównanie przygotowań otwarcia Trasy do próby teatralnej, z tą różnicą, iż jest to przygotowanie nie efemerycznego widowiska, przelotnego jak obłok lub deszcz, ale przygotowanie budowy przeznaczonej na wieki całe — uderza nas przede wszystkim to przejście się wszystkich swoją i cudzą pracą, ta staranność, ta uwaga, jaką nawzajem obdarzają się wszyscy pracownicy. Pracuje tutaj dzień i noc przeszło 3000 pracowników i, zdaje się, nie ma ani jednego, który by nie czuł powagi swojej pracy. W rozmowie, którą prowadzi młody architekt z robotnikiem, dotyczącej pewnych poprawek rusztowania przy tynkowaniu kolumn Tepperowskiej kamienicy, w geście, którym naczelny inżynier usuwa mnie z drogi przed chłopcami dźwigającymi piasek — jest pełne godności poczucie wielkiej wagi tego zbiorowego wysiłku, gdzie każde kółeczko jest jednakowo niezbędne.

Na terenach Mariensztatu jeszcze bardziej potęguje się wrażenie jakiejś potężnej inscenizacji. Perspektywy tej kolonii: rzeźby, domki z podcieniami tynkowane na róż, na popiół, na złoto; młody malarz, który pilnuje przymocowywania na pomarańczowej ścianie domu potężnej, przez niego wykonanej mozaiki; półnaczy robotnicy, którzy siedząc w progach domów, na dole, jedzą śniadanie, a z góry, z daleka zbiegają junaczki w białych koszulkach, rzucając się do pracy na olbrzymich stokach skarpy wiślanej z taką gwałtownością, że zdawałoby się, trawa urosłoby im, wytryśnie jak woda spod gwałtownie atakujących grabi — wszystko to wydaje się czymś podobnym do bajki.

Twórcza pomysłowość budowniczych Trasy wyraża się w zadziwiającym połączeniu pietyzmu dla piękna minionych czasów, dla uroku pamiątki — ze śmiałym nowatorstwem. Pietyzm ten posunięty jest dość daleko: świadczy o tym umieszczone obok wiaduktu prowadzącego na most Śląski lapidarium, gdzie złożono szczątki starej kolumny Zygmunta, dziwaczne posągi z syberyjskiego granitu, których pochodzenia nie umieli mi wyjaśnić młodzi przewodnicy, dopiero inżynier, mój rówieśnik, który pamięta dawną Warszawę, przypomniał mi, że te figury pochodzą z carskiego soboru zdobiącego dawniej Saski Plac.

Przez ten pietyzm dla dawnego piękna Warszawy uzyskujemy niespodziewane, wprost zdumiewające efekty. Jednym z najmniej spodziewanych jest odsłonięcie pałacu Radziwiłłowskiego. Za dawnych czasów stał on sobie na ulicy Bielańskiej, przytłoczony brzydkim budynkiem Banku Narodowego, kryjąc swoją skromną fasadę za płotem czy murem; tylnej fasady, jej pięknego rozbudowania, jej rozczłonkowania nikt nawet nie widział i nie podejrzewał. Zupełnie nie zauważało się tej pięknej budowli, setki razy przechodziło się obok pałacu, bywało się w nim nawet, a nie spostrzegało się jego plastycznej wartości. Dzisiaj — powtarzano mi — nawet się ktoś zapytał: cóż to za pałac zbudowaliście pośrodku Trasy? A tu, o dziwo, nie tylko nic nie zbudowano, ale nawet nic nie dobudowano: pokryto pałac miedzianym dachem, otoczono francuskim ogródkiem, z uwagą „pokazano” stare platany przed pałacem (tak rzadkie drzewa w Warszawie!) i otrzymano efekt architektoniczny nadzwyczajny. Te odsłonięcia, pokazania dawniej zagubionych w tłoku budynków to chyba najpiękniejsza zasługa twórców Trasy. Kościół Kapucynów otoczony nowym, charakterystycznym, może trochę nazbyt wiejskim murkiem ze zbyt niską bramą, pałac Pacy, perspektywa na Arsenał, na wieże kościołów na Lesznie, kompleks skarbowych budynków Coraziego na nowej Marszałkowskiej (dawniej na Rymarskiej), widok na pałac Mostowskich, wreszcie „Gruba Kaśka” połączona trawnikiem z pałacem Radziwiłłów, fasada pałacu Mostowskich — wszystko to niespodziewanie ukazało swoje piękne oblicze. Nawet brzydki w zasadzie gmach Hipoteki dzięki

otoczeniu, dzięki pięknemu gajkowi lipowemu, na który spogląda przez drogę, nabrał jakiejś godności, a nawet okazałości.

A obok tego nowoczesne linie tunelu, obu jego wylotów, jezdni prowadzącej na lekki, strzelisty most, bardzo piękne operowanie przestrzenią, rzeczy dotychczas w Warszawie nie widziane. Konstatuję to patrząc na perspektywę wylotu Trasy na zachód. Stoję na wiadukcie i zdaje mi się, że jestem w jakimś nowym, niespodziewanie pięknym mieście, gdzie tylko tu i ówdzie jak we śnie poznaje się znajome z dawnych lat obiekty, inaczej jak gdyby ustawione: kościół Kapucynów, przepiękne domy rzemiosła odziane w nowe hełmy miedzianych dachów, pałace wzdłuż Senatorskiej, gdzie się już nawet urządza! Ale wszystko, co nowe, harmonizuje ze starym, zadziwiające, jakie wszystko to polskie, jak związane z tradycją i charakterem miasta. Canaletto zachwyciłby się tym na pewno, tak samo jak ja!

Z perspektyw wiaduktu otwiera się szeroki widok na zbrocza po obu stronach wylotu linii. Z lewej te zbrocza biegnące wzdłuż Senatorskiej są jeszcze w rękach junaków i ogrodniczek. Szare, starannie zagrabione, zapewne już zasiane trawą, z ciemnymi krzaczkami cisów posadzonymi tu i ówdzie. Na prawo, pod pałacem Paca i pod Hipoteką, zielenią się dużą gęstą trawą. Trawa ta jest już tak silna, iż trzeba ją podkosić, Mocny chłopak z ogorzałymi ramionami kładzie ją szerokim zamachem kosy.

Przyznam się, że nic na mnie nie zrobiło równie silnego wrażenia na trasie W—Z jak to koszenie trawy. Jak to? Więc to, co mnie otacza, już jest tak rzeczywiste, tak utwierdzone, tak zastygłe w swojej formie, tak bardzo dokonane, że nie tylko zasiana na nim trawa wzeszła, ale już tak bujna, że trzeba ją kosić? Czyś, bracie, nie przespał trochę tego czasu, kiedy ta trawa rosła, kiedy zakorzeniła się i kiedy szła w górę?

Przypatruję się kosiarzowi. Bardzo podobny do niego ogrodnik przybija małymi kółkami kwadraty darniny na zbroczu w innym miejscu. Podobny junak pomaga robotnikom na lewym trawniku, obok elektrowni ukrytej w ścianach sztucznego wąwozu. Taki sam wyraz twarzy miał i ten architekt, który schodami wzdłuż kościoła Świętej Anny prowadził mnie do operowej trochę dekoracji Mariensztatu... Coś tych ludzi wszystkich łączy, jakiś wspólny wyraz, jakiś sposób poruszania się, nie pośpieszny, ale bardzo pewny siebie, przekonanie o wadze każdej sprawy: czy wyryso

wanie planu Trasy przeznaczonego do książki o tej pracy, czy przybicie kawałka darniny, czy skoszenie trawy, czy otynkowanie kolumny, czy włożenie jednej kostki bruku — wszystko jest ważne i od harmonii tych wszystkich czynności zależy całość. Odnoszę takie wrażenie, że powstał tutaj pewien typ „człowieka Trasy”: uświadomiony, trochę dumny, dzielny i niezwykle sympatyczny typ. Wszyscy upodobnili się do siebie w swej pracy, a przecież zgromadzili się tutaj ludzie wszelkich rodzajów i z wszelkich okolic: Krakowiacy, którzy brukują „serce Polski”, plac naokoło kolumny Zygmunta, Ślązacy, którzy pracują na moście, Rosjanie, którzy montują ruchome schody. Wszyscy: i inżynierowie, i robotnicy, i artyści, jak gdyby są jacyś inni, jacyś nowi. „Pewnie — powiada ktoś do mnie — szaleńcy z Trasy to nie są już zwyczajni ludzie”.

Z okna biura mojego brata roztacza się wspaniały widok.

I Na obszernej białej płaszczyźnie Zamkowego Placu, początku Kra- kowskiego Przedmieścia i mostu — tysiące ludzi porusza się, oddając się najrozmaitszym pracom. Sprawia to wrażenie jakiegoś płótna flamandzkiego, Brueghla na przykład, gdzie na białej pościeli śniegu widzimy drobne, rozproszone, zajęte figurki ludzkie. Żałuję, że żaden z malarzy zaabsorbowanych teraz plenerem czy malowaniem czerwonych raków na tle niebieskiej kotary (funkcje, których zawsze i z wielkim przekonaniem bronie!) nie oderwał się od tej pracy i nie namalował takiego brueghlowsko-pol- skiego obrazu. Wielka szkoda! Postaram się go zastąpić:

A więc po prawej stronie, w rogu, przed zielonkawą fasadą kościoła Świętej Anny, wysunięta z drewnianego prowizorycznego baraku leży szara i błyszcząca kolumna przygotowana dla posągu króla Zygmunta; nadzy polerowacze jeszcze coś tam koło niej robią, ale mam wrażenie, że są to już tylko takie gesty prawie pieszczotliwe, którymi żegnają swoje dzieło, przed chwilą jeszcze tak codziennie bliskie, a które zaraz wzniesie się w niedostępne regiony i stanie się tam w górze obce już i jakby niczyje; obok oddział cieśli kleci sianie, na których kolumna powędruje na miejsce sobie przeznaczone. Tam właśnie po lewej stoją nad gotową już podstawą pomnika dwa wielkie żelazne żurawie, których przejrzyste, najeżone bloki przypominają trochę opadłe części wieży Eiffla, trochę jakiś wielki szafot, jak ten, na którym zginęła Jaonna d'Arc w Rouen czy Savonarola we Florencji; przygotowane są do podniesienia wielkiego szarego bloku i postaci króla, z którą tak niedawno rozmawialiśmy familiarnie w Muzeum Narodowym. W głębi obrazu przy kościele Świętej Anny rośnie czerwony mur kaplicy Loretańskiej, którą w ostatnich dniach dopiero postanowiono odbudować. Ale i ona również będzie gotowa na 22 lipca. Jeżeli dom na Mariensztacie zbudowano w dziewiętnaście dni, to co tam znaczy taka kaplica? Furda! Na murze kaplicznym roi się od robotników w niebieskich i szarych koszulach, inżynierowie w kapeluszach stoją tam także, mur rośnie w oczach — ale tego już żaden malarz nie wymaluje, malarstwo jest, psiakrew, statyczne w założeniu i nic już na to nie pomoże! A tutaj ruch! Za kaplicą i za całym kościołem Świętej Anny, za czerwonym szkieletem jej nowego, nakładanego teraz dachu otwiera się olbrzymia, daleka perspektywa. Nareszcie przestrzeń! Cała piękność Paryża, jak ktoś powiedział, polega na

I rozrzutności przestrzeni. U nas ta rozrzutność dotychczas nie była znana, a i teraz stosuje się ją z pewną nieśmiałością. Środkiem obrazu, jak nerw, prosty, lekki, o białej nawierzchni, przebiega

_ |most Śląski, a dalej mgielka oddalenia, drzewa niebieskie parku

Praskiego, głębiej ostatnie nadwiślańskie topole Saskiej Kępy, dawniej takie piękne. W lewym kącie obrazu za żelaznymi żurawiami jeszcze ruiny ciemne, poczerwieniałe, nietknięte ruiny, na które dopiero potem przyjdzie kolej. Nad nimi poczyna się wznosić mur katedry. Przy samym placu, obok wspaniałych nowych schodów wiodących do pałacu Pod Blachą, skromna kupka cegieł; to resztką Zamku. Ledwie uchwalono jego odbudowę, w ruinach tych powstał już barak.

— Panie — powiada jeden z robotników — jak skończymy Trasę, to będzie nudno: Bierzemy się od razu za Zamek!

— Nie — mówi inny — ja się wynoszę na Żerań. Mam dosyć tej starzyzny, będę budował fabrykę samochodów!

— Panie kochany — powiadam — gdzie pan widzi tę starzyznę? Kiedy tunel już stoi, to się wydaje głupstwem, jak gdyby on zawsze był, ale jakeście go budowali?... To chyba nowość taka praca?

— I to w półtora roku — dodaje inny.

Patrzę na tę starzynę!

Jakież to piękne i jakie harmonijne pogodzenie starego z nowym.

Przelotna rozmowa z robotnikami odkrywa mi jakieś załączki dramatów, jakieś echa konfliktów. Ileż tutaj musiało być walk, wysiłków, rozczarowań, zwykłych ludzkich małości i upadków, zwykłych ludzkich poświęceń i lęków. Jakież dramatyzm w nagłym zarysowaniu się skarpy, na której stoi kościół Świętej Anny, i co za pomysłowość inżyniera Cebertowicza, która go ocaliła, zastrzykami cementu! Ileż drobnych rywalizacji, ile wielkich wyścigów pracy ile zdobyczy! Chociażby wielkie współzawodnictwo tynkarzy, o którym mi tutaj tak opowiadano jak o boju Achillesa z Hektorem!

Po całym placu — wracam znowu do owego obiecanego obrazu — rozrzucone tłumy brukarzy, furmanki, konie, młodzi i starzy woźnice, ciężarówki, przyczepy, proste wozy chłopskie, czego tu nie ma? Przewija się to, mija, krzyczy, żartuje, żyje. Zapominam o wszystkich moich porannych zmartwieniach i niepokojach, uważam za chandryczenie wszystko, czym się od rana kłopotalem — i nagle staje mi się wśród ludzi bardzo dobrze. Żałuję, że muszę się już stąd oddalić, czuję się niepotrzebny. Zazdroszczę po prostu mojemu bratu, że ma możliwość pracować tutaj, być „człowiekiem Trasy W—Z”.

1949

Podróże do teatru

Te wszystkie moje „podróże do Polski” były jednocześnie podróżami do wielu innych miejsc i spraw; były podróżami do miłości, podróżami do życiowych zadań, podróżami do literatury. Najwyraźniej ten różnorodny charakter moich podróży zaznaczał się w podróżach do teatru.

Tak. Bardzo dużo z tych moich jazd do Polski było podróżami do teatru, częściowo, a nawet i całkowicie. Bo trzeba wam wiedzieć, że od bardzo wczesnego dzieciństwa interesowałem się i bawiłem teatrem; najwcześniej pamiętam polskie przedstawienia amatorskie w Kalniku, jakaś sztuka francuska Dwaj nieśmiali, polska jednoaktówka Kalosze, widzę na scenie moją matkę, brata Bolesława, kuzyna Henia Ditkowskiego, Adolfa Nowickiego i moją najmłodszą siostrę Jadwigę przebraną za chłopca, przynoszącą na scenę właśnie owe kalosze. Potem wędrownie trupy ukraińskie, które zajeżdżały do tych zapadłych kątów z Cyganką Azą, czyli Chatą za wsią przerobioną na scenę. A przecież te wędrownie ukraińskie trupy miały już wspaniałych aktorów i z ich szeregów wyszły takie gwiazdy ukraińskiego teatru, jak Saksagoński, Sadowski, Zinko- wiecka i wielu innych, i tacy pisarze dramatyczni, jak Karpenko- -Karyj, który wzbogacił repertuar tych teatrów mnóstwem popularnych sztuk. Potem oczywiście przyszedł okres, gdy sam miałem teatr — zrobiony z kwadratowego pudełka do kapeluszy mojej matki — wycinałem dekoracje i stroiłem kukielki, ale nie pamiętam sztuk, które tam przedstawiałem.

Właściwie mówiąc, ten teatr papierowy był tylko przygotowaniem terenu pod mój utwór dramatyczny, który podówczas pisałem. Były to Pieśni olimpijskie, dramat symboliczno-współ- czesny, który się dzielił nie na akty, ale na „pieśni”, i w którym głównymi osobami była sztuka, Wyspiański i Przybyszewski. Było to w roku 1903 i 1904, kiedy miałem dziewięć i dziesięć lat.

Wtedy już uderzyły we mnie pierwsze wrażenia teatralne, które — o dziwo! — były związane z Teatrem Letnim w Ogrodzie Saskim. Tam widziałem niezapomniane przedstawienie Niech żyje życie! Sudermanna, tam też ujrzałem pierwsze przedstawienie Halki z bardzo dobrą primadonną, bodaj czy nie Zboińską-Ruszkowską w roli tytułowej.

Oczywiście z dramatu Sudermanna nic nie rozumiałem, chodziło tam o zdradę małżeńską, o jakieś wiarołomstwo. Rola główną grała Marcello-Palińska. Tak, ta sama, którą jeszcze Żeromski podziwiał z jaskółki. Musiała być stara, ale musiała też być bardzo wybitną indywidualnością skoro do dziś dnia pamiętam jej ostatnią scenę. Przed otruciem się robi jeden krok powoli, a potem dwa szybko, zaciąga kotary na oknach i mówi patetycznie: „Żegnaj, dniu!” Jeżeli chcecie, to mogę wam dziś jeszcze, pokazać, jak to robiła i jak to mówiła, z całym patosem starej aktorki, ale jak, skoro to „żegnaj dniu!” do dzisiaj brzmi mi w uszach. Matce mojej nie podobała się ona, mówiła, że jest „nienaturalna”, bardziej do gustu jej przypadła, rzeczywiście bardzo realistyczna, Wanda Majchrzycka, grająca przyjaciółkę bohaterki (w aksamitnej sukni, bardzo salonowa). A ja — widać zawsze sentymentalny jak Żeromski — ubóstwiałem Marcello-Palińską. Towarzyszyło jej dwóch znakomitych aktorów: jeden, na pewno wiem, że był to Żelazowski, drugi, nie jestem pewien, kto, Rapacki czy stary Leszczyński. W kulminacyjnej scenie rozmowy „ostatecznej” w trójkę byli wspaniali, zwłaszcza Żelazowski. Widzę go jeszcze.

W umysł dziecienny wraziło się także inne przedstawienie. Kiedyś poszliśmy do sali teatralnej na Karowej, w owym olbrzymim, niezdarnym i wiecznie niedokończonym gmachu, na jakieś przedstawienie, które urządzali tak zwani Miłośnicy. Był to teatr na pół amatorski. Owego wieczora grano cztery jednoaktówki polskich autorów. Jedną z tych sztuk był dramat mojej kuzynki Natalii Dzierżek, która pisała pod pseudonimem Jerzy Orwicz. Ona dała bilety na to przedstawienie i dlatego byliśmy na nim. Oprócz sztuki Natalii nie pamiętam co było. Wiem tylko, że

w jednej ze sztuk grała Laura Pyłłńska. Zdaje się, w takiej samej czarnej aksamitnej sukni, w jakiej poznałem ją w piętnaście lat potem. Wiedziałem (zapewne przez Natalkę), że jest córką Konopnickiej i dlatego zapamiętałem ją sobie.

Wśród tych sztuczek, pamiętam, że była jedna, którą krytyka uważała za osobliwą. Była to jednoaktówka Inteligent Bolesława Gorczyńskiego. Pamiętam, że dekoracja przedstawiała ubogi studencki pokój i że zapalona świeca stała na stole, a aktorzy grali w studenckich czapkach z szafirowym otokiem. Gorczyński sam jeszcze wtedy był młodziutkim studentem i zapowiadał się genialnie. Zapowiedzi te nie zrealizowały się, napisał parę zręcznych sztuk, między innymi Wyzwanie, ze świetną rolą Przybył-ko-Potockiej. Ale to wszystko.

Znałem go później bardzo dobrze jako wiecznego kierownika literackiego Teatru Polskiego. Rozmawiał ze mną o moich sztukach, był inteligentnym, miłym człowiekiem — ale wtedy oczekiwano po nim znacznie więcej.

Potem wynieśliśmy się z Warszawy i miałem już tylko do czynienia z ukraińskim i rosyjskim teatrem. Antygona i Hamlet przyszły do mnie po rosyjsku. Antygona wystawiona przez teatr objazdowy Gajdeburowa. Sam Gajdeburow czytał wszystkie chóry, stojąc w parterowej loży, przy akompaniamencie preludium Chopina. Pamiętam ten najpiękniejszy chór: „O, Dionisie...”, mówiony przy dźwiękach preludium A-dur Chopina. Może to były głupie pomysły, ale na trzynastoletniemu chłopcu duże zrobiło wrażenie to widowisko, pamiętam je dość szczegółowo.

Hamleta widziałem w inscenizacji stałej trupy elizawetgradzkiego teatru, której dyrektorami byli Diakonow i Poliakowa. Z samego przedstawienia pamiętam niewiele, chyba tylko ostatnią scenę i śmierć królowej, którą grała Poliakowa.

Dość lekkomyślnie traktowałem teatr rosyjski i zawsze idealizowałem przedstawienia warszawskie. Tęskniłem do ich oglądania. Toteż kiedyś, kiedy mogłem, przed samą maturą pojechałem na tydzień do Warszawy tylko do teatrów. To była prawdziwa podróż do teatru.

Jest to jedno z najmilszych i najosobliwszych moich wspomnień. Pożyczywszy od Jury Mikłucho-Makłaja pieniędzy (coś trzydzieści rubli!), podczas gdy cała moja klasa przystępowała do spowiedzi, w pierwszym tygodniu postu roku 1912 pojechałem do Warszawy. „Jak wariat” — mówiła moja matka, która podejrzewała, że chodzi mi tutaj o spotkanie z Zosią Kurkiewic-zówną, która była wówczas moją stałą korespondentką. Zosia — i owszem, ale chodziło mi o teatr i Filharmonię. Byłem wtedy tydzień w Warszawie i pięć razy w teatrze i raz w Filharmonii. W teatrach widziałem: w Rozmaitościach Cyganerię warszawską Nowaczyńskiego i Pannę Maliczetoską Zapolskiej; w Małym (który później stał się miejscem, gdzie udało mi się przedstawić pierwszą sztukę Witkacego w Warszawie, Pragmatystów, w 1921 roku, a w roku 1936 tutaj odbyła się pamiętna premiera Lataw Nohant), otóż w Małym w Filharmonii widziałem komedię Bahra Napoleon i Józefina z młodym Jaraczem w roli Napoleona i z Bru-zówną w roli Józefiny; w takim dziwnym teatrze na Bielańskiej, gdzie później była operetka Hellera, widziałem Irydiona z Zelwerowiczem w roli Masynissy. Musiałem widzieć jeszcze jeden spektakl, ale już nie pamiętam ani w jakim teatrze, ani co. W Filharmonii dyrygował Birnbaum, grała jakaś węgierska pianistka koncert Schu

manna, a poza tym był to pierwszy występ w Warszawie cudownego dziecka z Wilna (jeszcze w krótkich spodenkach), ucznia profesora Auera, Jaschy Heifetza. Grał bardzo dobrze koncert skrzypcowy Czajkowskiego i wszyscy się dziwili, skąd wzięło się to dziecko?

Muszę się przyznać, że teatry mnie rozczarowały. Spodziewałem się czegoś więcej i nie chciałem się przyznać przed samym sobą do tego, że jednak teatry rosyjskie i ukraińskie w Kijowie są lepsze. Do przedstawień byłem przygotowany: Pannę Mali- czewską widziałem w Kijowie ze słynnym Niedielinem (Niedzielskim, Polakiem), w roli Dauma. (Niedzielski grał również Blaksa w rosyjskiej wersji Erosa i Psyche Żuławskiego, która miała szalone powodzenie w Rosji. W Kijowie grała Psyche piękna Jure- niewa). Tutaj Lubicz-Sarnowska była nieporównana, cudowna była ze swoimi „ślepiami” próbująca Szekspirowską Julię, ale co mnie uderzyło, to brak całości, słaba obsada w rolach epizodycznych, zadowalanie się byle czym. Bardzo słaba np. była Żelazna, a przecież to rola pierwszorzędna, sama Wysocka kiedyś podobno ją grała.

To samo było w Cyganerii warszawskiej, którą z zachwytem czytałem w książce, bo już była wyszła. W wyobraźni widziałem ostatnią scenę, tak w gruncie rzeczy wstrząsającą, kiedy Gor- goniusz mówi ten smutny i niezdarly wierszyk:

...i urodzi nam się dziecko pod tą strzcchą mazowiecką, urodzi się, będzie gniło, o wolności śniło, śniło...
a baba tymczasem kwaczem zamalowuje portret Napoleona naszkicowany węglem na ścianie.

Tymczasem Frenkiel grający Gorgoniusza (Frenkiel u roli bądź co bądź amanta!) sychnął się w wierszyku, a baba była tak prymitywna w swej grze i w swoim krzyku, że efekt przepadł. Tak samo dwie „salonowe” specjalistki od eleganckich ról, Pichor i Sulima, okazały się drewniane i sztywne. Szczególniej odczułem żal do Sulimy. Otoczona była u nas w domu legendą, moje siostry opowiadały o jej roli jako Racheli, w albumie tkwiła pocztówka z Sulimą jako Tytanią — a tu nic z wdzięku, nic z gry. Po prostu dama.

Poznałem potem Sulimę osobiście, nosił się z nią Jan Lechoń — była ładną i miłą kobietą, ale i w życiu, i na scenie była bardzo sztywna. Może była tylko kukiełką Racheli i to dlatego tak wszystkich wzięło? Jako pani Kalergis nie wydała mi się dobra. Jedyna rola, jaką z Cyganerii warszawskiej pozytywnie zapamiętałem, to była rola Brydzińskiego, który grał tego młodego zapaleńca. Był naprawdę młody, ruchliwy, o nieprzesadnym głosie, już z tą słynną dykcją Brydzińskiego, nieładny, a przejmujący. Pierwszy raz wtedy widziałem pana Wojciecha na scenie.

Tak samo z Napoleona i Józefiny zapamiętałem sobie Jaracza, którego potem tak często w Kijowie i w Warszawie widywałem. Był wówczas zupełnie młodym aktorem, brzydkim i fascynującym. Jako młody Napoleon wyglądał znakomicie, z długimi włosami, w trójkątnym kapeluszu nałożonym na poprzek, zupełnie jak Bonaparte w bitwie na moście pod Arcole. Ze sztuki — musiało być jakieś głupie sztucznydo wiedeńskiej fabrykacji, Hermana Bahra — nie pamiętam ani okruszyny. Wiem tylko, że Bru- czówna była w żółtej sukni, a Mila Kamińska, którą także pierwszy raz widziałem, czarująco mówiła prolog, wychylając się spomiędzy fałdów kurtyny i zaczynając od słów: „Ja jestem muzą samego pana autora...” Słowa te dźwięczą mi w uszach, widocznie były dobitnie powiedziane, a Mila była miłą i ładną kobietą. Znałem później całą rodzinę Kamińskiej, jej brat Zygmunt, architekt, profesor Politechniki Warszawskiej, zrobił kiedyś — już po wojnie — mój portret. Ale niedobry.

Z inscenizacji Irydiona w tym teatrze, przerobionym z music- -hallu, też niewiele pamiętam. Tyle tylko, że Zelwer wziął bardzo po diabelsku swego Masynissę i nawet miał rodzaj tiary na głowie, która przypominała rogi. Bardzo śmiało się z tego z Zosią Kurkiewiczówną, która mi towarzyszyła na przedstawieniu, bo tiara ta przypominała mi rogi zrobione z rurek do fryzowania włosów, które dźwigał w ostatniej scenie Erosa i Psyche Michał Kruszyński w Tymoszwówce. Inscenizacja ta była dowolną improwizacją na temat Żuławskiego, wszystkie role były improwizowane, i to bardzo bujnie, przez nas, a ostatnia scena była jakby apoteozą, gdzie Karol był czymś w rodzaju Erosa czy Pana Boga, Psyche — Zioka Szymanowska — spowiadała się przed nim z wszystkich wędrowek i upadków (klęczała pośrodku korytarza, a Karol tronował w głębi), a Michał jako Blaks sięgał po

nią jako po swoją własność, znów tak jak diabeł w szopce po Heroda, jak Mefisto w Fauście, spierający się z Panem Bogiem. To mi się przypomniało (niedawno odbyło się to przedstawienie w Tymoszówce). Opowiadałem o tym Zosi i śmieliśmy się z deminizmu Zelwera. Byliśmy jeszcze bardzo młodzi.

Szyfman budował już wtedy Teatr Polski. Mieszkałem u mojej stryjenki, niedaleko miejsca, gdzie miał stanąć teatr, i już zapowiadano Irydiona. Inicjatywa Zelwera była więc finfą zagrana pod adresem Teatru Polskiego, ale to Szyfmanowskiemu teatrowi nie zaszkodziło.

Samego przedstawienia nie pamiętam nic. Wiem tylko, że jedną z ról kobiecych grała Arkawin. Zapamiętałem to zapewne „dla śmieszności tego nazwiska”.

Powrót z mojej podróży był cudowny, z piękną parą młodych podróżnych. Zresztą i droga w tamtą stronę także: zatrzymałem się na dobę w Malinie, u Jury; Malin tym razem tonął w półtorametrowych zaspach śniegu. Jura odprowadzał mnie na stację sankami w jakichś strasznych szubach i kominiarkach. Jura już wtedy porzucił gimnazjum i przekazał mi w spadku mundurową czapkę, zrobioną w kształcie maciejówki, co było niesłychanie sztywne i całkowicie wzbronione przez władzę szkolną. Zresztą czapkę tę musiałem w Warszawie natychmiast zamienić na kapelusz Wacka Iwaszkiewicza, bo moi kuzyni nie chcieli się ze mną pokazywać na ulicy, jeżeli miałem na sobie mundur gimnazjalny. Okrywało to hańbą młodego człowieka w „Królestwie” w owym czasie. W rok później otwarto Teatr Polski i zaczęły się moje jazdy „do Szyfmana”. Oczywiście na otwarciu Teatru w 1913 nie byłem — zaproszeń mi jeszcze nie przysyłano i środków na pokrycie kosztów podróży nie miałem żadnych. Ale tak złożyły się okoliczności, że pojechałem z Kijowa do Warszawy i widziałem parę pierwszych premier Szyfmanowskich. W roku 1913 zaproponowano mi posadę lektora i sekretarza u senatora Gotowcewa, który spędzał lato w swoim majątku „donacyjnym”, w Puszczy Mariańskiej pod Skierniewicami. W maju tego roku po zdaniu paru egzaminów z pierwszego roku prawa, na uniwersytecie mogłem jechać do „Staro-Radziwiłłowa” pod Skierniewice. Miałem jakiś ■ tam termin wyjazdu, ale Nula Szymanowska, która była wtedy w Kijowie, powiedziała: „Przyśpiesz o dzień twój wyjazd, ja jadę wtedy do Warszawy, pojedziemy razem i zaraz pierwszego dnia pójdziemy sobie do Teatru Polskiego. Felo Zbyszewski jest tam zaangażowany, on da nam kartki i obejrzymy sobie nowy teatr”. Propozycja była znakomita. Pojechaliśmy z Nulą do Warszawy, zatrzymaliśmy się razem w jakimś pensjonacie, których wtedy pełno było po obu stronach Alei Jerozolimskich, Nula naciągnęła swego kuzyna, Fela Zbyszewskiego, na kartki i poszliśmy na przedstawienie Krakowiaków i Górali — cudowne.

Oczywiście gdy oglądałem gmach Teatru Polskiego — jeden z najładniejszych i najpraktyczniejszych gmachów teatralnych europejskich owej epoki — do głowy mi nie przychodziło, że do tego stopnia i przez tyle lat los mój będzie związany z tą sceną, że ją tak pokocham, że będę pracował przy jej odbudowie. Kto mógł myśleć o tym w roli 1913!

A przecież szło tam nie tylko Lato w Nohant i Maskarada, związane było z tą sceną tyle moich przekładów teatralnych: i Gał- ganek Niccodemiego, i Zakładnik Claudela, i Rogacz wspaniały Crommelyncka, i Od wieczora do poranka Kaisera, i wreszcie Hamlet Szekspira Tutaj szedł Majątek albo imię, sztuka wierszem Korzeniowskiego, z dużą sceną dopisaną przeze mnie, tutaj przeżyłem takie wieczory, jak 17 stycznia 1946 roku, kiedy Lilia Weneda inaugurowała nowy sezon, nową epokę tego teatru i wszystkich teatrów polskich w ogóle.

Młody Jerzy Leszczyński, młody Józef Węgrzyn to były wtedy rewelacje Krakowiaków i Górali. Po przedstawieniu poszliśmy z Nulą i Felem do „Nadświdrzańskiej”, aby się nagadać. Miałem wtedy dziewiętnaście lat.

Jerzego Leszczyńskiego już widziałem przedtem na scenie. Szyfman miał całą trupę zorganizowaną, a teatr jeszcze nie gotowy. Wysłał więc aktorów na gościnne występy do Petersburga, Moskwy i Kijowa. Były to najlepsze polskie przedstawienia, jakie widziałem; miały w sobie pewną dozę improwizacji. Otóż Leszczyński grał w tych występach Głupiego Jakuba. Chyba później nigdy nie grał tej roli, jakiz był znakomity przy Sosnowskim- -Szambelanie i przy Hance Duninównie. (Widziałem wtedy Wyzwanie Gorkczyńskiego z Marią Przybyłko-Potocką, Srebrne szczyty Konczyńskiego i jeszcze parę sztuk. Repertuar cały był polski.)

Jeszcze tego lata odbyłem już z Puszczy Mariańskiej dwie podróże „do teatru” do Warszawy. Tak się złożyło, że moja matka otrzymała dwumiesięczne zastępstwo właścicielki w jednym z tych pensjonatów w Alejach Jerozolimskich i miałem gdzie przemocować. Wybrałem się znowu do Letniego na Romantycznych Rostanda, a właściwie mówiąc na Osterwę. Zobaczyłem go po raz pierwszy tutaj; wraz z Szyllinżanką stanowili tak czarującą parę młodych! Przystawienie było głupie i urocze. Może właśnie taki powinien być teatr? Grali Frenkiel, Wojdałowicz, Rapacki i właśnie ta para. Na zakończenie wszyscy pięcioro biorą się za ręce i idą na przód sceny mówiąc każdy po strofie końcowego wiersza o miłości i romantyzmie, i tu opada kurtyna. Szyllinżanka sypnęła się w tym wierszyku, a Osterwa jej podpowiedział. Uczynili to z takim wdziękiem, menuetowym ruchem podciągnęli kurtynę, że cała sala zatrzęsa się od braw.

Wielokrotnie widziałem potem Osterwę, był to znakomity aktor komediowy, człowiek o nieprzepartym wdzięku, o bardzo wątlej umysłowości — cała Reduta była jednym wielkim nieporozumieniem. Ale co za spektakle! Jakież Osterwa był jako Fircyk (w Kijowie) i jak mu się nie udawał mętny Wiktor w mętym dramacie Żeromskiego Ponad śnieg...

Drugim przedstawieniem, na które jechałem z Puszczy Mariańskiej, była premiera Burzy Szekspira w Teatrze Polskim. Jeszcze przedtem (kiedy, nie pamiętam) byłem w tym teatrze na francuskiej sztuce Panny. Nic nie pamiętam ani ze sztuki ani z aktorów. Ale wtedy już siedziałem w łożu dyrekcyjnej Szyfma- na, widać Felo przedstawiał mnie Arnoldowi, bo nie pamiętam momentu, kiedy go poznałem. W czasie wojny nie stykałem się z nim, a potem już przyjechałem do Warszawy jako dobry znajomy. Zresztą pokrewieństwo z Karolem Szymanowskim było zawsze dobrą rekomendacją. Panny więc były ważnym momentem w moim życiu z powodu zetknięcia się z Arnoldem Szyfma- nem. Stał się on bliskim przyjacielem — o ile można było się z nim przyjaźnić — i od roku 1918 do jego śmierci, przez lat blisko czterdzieści, byłem jego współpracownikiem, pomocnikiem, przyjacielem, nawet powiernikiem. Jego wakacji spędzonych w moim domu na dwa lata przed śmiercią, jego ostatniej ze mną rozmowy, w której nagle począł się zwierzać — nigdy nie za pomnę. Zawsze zostanie w mojej pamięci jak drogi przyjaciel, taki prawie jak Grydzewski. Nieznośny, ale którego bardzo się ceni i kocha.

Ostatnią wyprawą moją teatralną tego lata było właśnie to przedstawienie, które zostawiło mi żywe wspomnienie zarówno ze względu na swoją treść, jako też na skład towarzystwa, w jakim je oglądałem — Burza Szekspira w tymże Teatrze Polskim. Najstarsza moja siostra, Helena, przyjechała wtedy do matki do Warszawy i postanowiliśmy pójść z nią na tę premierę. Towarzyszyła jej przyjaciółka Helena Mniszek, autorka Trędowatej, mnie Zosia Kurkiewiczówna, doprzęgliśmy też do siebie niejaką Ankę Iwanowską, towarzyszkę mych zabaw dzieciennych (i teatralnych) z Brailowa, z 1906 roku.

Co mnie niepomniecznie zdziwiło to to, że bilety mogliśmy kupić w teatrze w dniu premiery, na parę godzin przed przedstawieniem. O czymś podobnym w Kijowie, jak i w całej Rosji, mowy być nie mogło. Bilety na wszystkie ciekawsze przedstawienia były wykupione na wiele dni naprzód, a kolejki studentów i młodzieży często nocowały przed teatrem Sołowcowa. Tak było na przykład podczas występów Isadory Duncan. A jeżeli był mróz — to nocowano przy rozpalonych ogniskach.

Tu na szczęście mrozu nie było, zaczynała się piękna część tego okropnego, najgorszego, jakie pamiętam, w kronikach mojego życia lata (1913) i przed teatrem nocować nie trzeba było.

Zadziwiający nasze towarzystwo jednogłośnie zachwyciło się Burzą. Bo też to było bardzo ładne przedstawienie. Przedziwna dekoracja Frycza stanowiła jedno wysokie, plastyczne, poźółkłe jesienne drzewo, które dzięki obrotowej scenie pokazywało coraz to inną stronę, stanowiąc coraz to inne tło dla odgrywających się scen. To było czarujące.

Na tym tle poruszały się Szekspirowskie postaci — dostojni panowie i świat fantastyczny. Zelwer był niezwykłym Stefanem, Trynkulem Jarniński, Jaracz był groźnym Kalibanem, Iza Kozłowska cudną Mirandą. Nie bardzo podobał mi się balecik, przeładowany ozdobnymi kostiumami, i cały ten teatr w teatrze, zawsze najtrudniejszy do zrealizowania w Burzy.

Wkrótce potem widziałem pewne Szekspirowskie przedstawienie w Kijowie. I zrozumiałem, w czym zasadzała się siła teatru

polskiego: nie w jego realizmie, nie mógł w tym rywalizować z teatrem rosyjskim, ale w romantyzmie, w fantastyce, w stwarzaniu postaci romantycznych stanowczo przewyższał on teatr rosyjski.

Tacy aktorzy, jak Osterwa, Jaracz, Szyllinzanka, Kozłowska, tworzyli teatr osobliwy. I dlatego opłaciło mi się robić te „podróże do teatru”.

1976

Żelazowa Wola

Żelazowa Wola. Tu stała kołyska Fryderyka Chopina Sto kilkadziesiąt lat temu. Nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak wtedy wyglądało to miejsce. Jak wyglądała Żelazowa Wola, kiedy stał tu jeszcze pałac zamieszkiwany przez rodzinę Skarbków, kiedy panował tutaj ożywiony ruch. Podwórze i ogród pałacowy pełne były najrozmaitszych figur, dzieci, dorosłych, domowników, nauczycieli. Były jakieś kontakty z wsią, jakieś gospodarstwo, pługi, konie, krowy, stodoły i stogi siana.

Nic nie zostało z tego życia. Jak powiedziałem, trudno jest nam sobie nawet wyobrazić to dawne ożywienie. Żelazowa Wola przechodziła burzliwe losy, jej dzieje — jak dzieje całej Polski — pełne są niepokojących zdarzeń i niewytłumaczonych upadków. W dziewiętnastym wieku zapomniano o tej miejscowości. Rozsypywała się ona w proch, niby trumna. Pożary, ruiny i nieudolność niszczyły ten dwór i jego oficyny. Mało kto już pamiętał nie tylko wysokiego i chudego nauczyciela języka francuskiego, który się tu kręcił przez lat parę, ale i samych właścicieli, których ściagała tragiczna Nemezis. Z całego kompleksu budynków, z całego skomplikowanego bytu właścicieli ziemskich została tylko ta skromna oficyna, mały domek, gdzie wydzielono ubogie mieszkanie owemu nauczycielowi i jego małżonce, dalekiej krewnej państwa domu. Ale widocznie unosił się nad tym domkiem jakiś blask, czy ogień, coś go odznaczało od innych domków okolicznych — skoro ocalał. Przeszedł przez trudne czasy, kiedy nikt nie pamiętał, kto się w nim urodził — i dotrwał do dziś dnia, aby w swej skromnej samotności stać się jedną

43

Iz najcenniejszych pamiątek, jaką naród polski posiada. Stał się miejscem pielgrzymek i uczt duchowych, stał się celem wyciel czek i wypraw nie tylko Polaków. Jak pierwszym, który dał hasłol do odnowienia owego domku i wystawienia na tym miejscu trwa-J lego pomnika, był cudzoziemski pianista — tak i do dziś cudzo4 ziemscy muzycy, pianiści i kompozytorzy uważają za swój obowią- j zek odwiedzić tę kolebkę wielkiej sztuki, to miejsce, z którego wytrysnęło nie kończące się nigdy bogactwo wielkiej muzyki Fry-j deryka Chopina.

Stoi ten ubogi domek wpobok od głównej drogi, zagubiony! gdzieś w polu i w zaroślach ogrodowych, aby dać raz jeszcze świadectwo prawdy sentencji: Spiritus fiat, ubi vult*. Bo prze-J cież nic nie wskazywało na to, że właśnie tu, w ubogiej oficynie magnackiego domu, narodzi się jeden z największych geniuszów] muzycznych świata, jeden z tych ludzi, dzięki którym kultura , europejska stała się tym, czym jest. Nie tylko kultura muzyczna -4- ale kultura w ogóle, bo potężna, a tak świadomie ograni- j czona twórczość Chopina jest składnikiem niezaprzeczanym tego, ■ co się ogólną kulturą światową nazywa.

Niewątpliwie twórczość poszczególnych artystów w głęboki sposób bywa związana ze środowiskiem, z którego wyszli, z pejzażem, wśród którego żyli. Związek artysty z krajobrazem, który go ukształtował, jest głębszy, niżby to się zdawało. Dzieciństwo i młodość zawsze kładą zasadnicze piętno na cały już potem żywot — w dziełach dojrzałego twórcy raz po raz powraca nuta, która zapadła w jego serce od najwcześniejszych czasów. Odkrywa się tu na pół uświadomiona lub czasem zupełnie nie uświadomiona łączność między krajem lat dzieciennych a dojrzałym okresem twórczości.

Kiedy się pierwszy raz przyjeżdża do Francji, powiedzmy wczesną wiosną, kiedy się dojeżdża do Paryża mijając zrudziałe lasy Fontainebleau, spokojne płachty wody, zarośla i owe łąki drogie Teodorowi Rousseau — poczyną się dopiero wtedy naprawdę rozumieć sztukę impresjonistów. Ale nie tylko wielkie francuskie malarstwo staje się rewelacją, widzi się, jak cała muzyka francuska, do ostatnich czasów, związana jest z tą mgiełką, która okrywa tutejsze pejzaże, z wyrazem tych drzew i łąk, ze światłem od

l

bitym od ziemi i załamującym się na obłokach i na wrzosowiskach. Pojmuje się wtedy łagodny smutek Debussy'ego i Deodat de Severaca, nieokreśloną barwę sekund Ravela i to, co jest z francuskiej pieśni ludowej u Francisa Poulenca.

Nigdzie się lepiej nie pojmuje, jak bardzo muzyka Fryderyka Chopina jest związana z pejzażem wsi polskiej jak właśnie tutaj, w tej skromnej wsi mazowieckiej j] w Żelazowej Woli. Na pozór może się to wydawać paradoksem. Co może mieć wspólnego to ubogie pole, ta równinna droga i chaty słomą kryte — z tym nieograniczonym bogactwem, z tym wrażeniem obfitości, które nam daje muzyka Chopina? Ale kiedy temu zagadnieniu przyjrzymy się z bliska, to widzimy, że sprawy mają się całkiem inaczej. Myślę, że nie doceniamy mazowieckiego pejzażu.

Przyznać trzeba, że jest on mało efektowny. Ale tai w sobie te drobne niuanse, te delikatne odcienie kształtów i barw, które się dopiero wtedy widzi i docenia, kiedy się z tym pejzażem zżyje tak głęboko, jak tylko może się zżyć stały mieszkaniec tych okolic.

Nic wiem, czy może się on podobać cudzoziemcowi. Zastana-
_ | wiał się nad tym polski pisarz okresu międzywojennego Juliusz
Kaden-Bardowski.

„Czy mu się to układa harmonijnie — pisał on — że tu droga prowadzi, a tu już trochę dalej zachwiała się i przetoczyła, i z piaskiem u brzegu łąk zanikła. Czy mu się to układa, że tam drzewa, a tutaj chaty stoją słomą kryte, prowadzące ku wzgórzom jakimś, na które kiedy wejdiesz, rzeczkę w parowie dojrzysz szemrzącą i wykrętną, która się tu mozoli bardzo, choć przecież niczego nie opływa, niczego nie omija, bo za nią znów równina senna, jakby przyziemnym dymem zamroczona rozwlekła kępą krzaków.”

„Ot, taki widok, co się ani nie zaczął, ani się żadnym kształtem skończyć nie chce. Deszcz przez to wszystko mży, mgła się czepia, gdzie może.”

Tak jest na jesieni. Ale są i inne pory roku. Każda z nich ma swój wdzięk i barwy.

Przez cały rok trzeba się przyglądać tym barwom: trzeba widzieć kwitnienie bzów na wiosnę, bujność rozplecionych drzew latem, złoto i mgiełkę tutejszej jesieni i wreszcie ten biały całun śniegu, na którego tle wierzyby z poobcinanymi gałęziami wyglądają jak siostry w tanecznym szeregu. Jakże skromna jest piękność zawarta w tym czworakim pejzażu — ale jak jest trwała i jak jest głęboka.

Pejzaż tej ziemi jest znakomitym wprowadzeniem do muzyki Chopina. Każdy, kto chce naprawdę wnikać w ducha tej muzyki i zrozumieć, jak bardzo jest ona związana z Polską, musi się wżyć w ten „błękitny ton”, jak go nazywał Eugène Delacroix, wspólny dla polskiego krajobrazu i dla muzyki tego artysty, który się urodził na tej wielkiej równinie.

Malowniczość tego pejzażu nie rzuca się w oczy. Jest to równina, gładka równina. Nie ma tu urwisk czy też przepaścistych wąwozów. Perspektywa odsłania się tu daleko, ale monotonna. Meandry Bzury czy też domowej chopinowskiej rzeki Utraty przebiegają płaskimi łąkami. Jak okiem rzucić, widzi się pojedyncze drzewa, stare i wyniosłe, albo też niskie zarośla. Widzi się domki stare pod drzewami, zgrzybiałe, ale świadczące o dawnej kulturze, widzi się aż po horyzont sięgające uprawy, łąny żyta czy owsa, czy białej gryki, czy też szmaragdowej naci buraczanej.

Pięknie o ziemi polskiej, o tych „polach rozmaitych”, o tych miedzach, na których „ciche grusze siedzą”, pisał Adam Mickiewicz. Ale Mickiewicz nie znał rdzennej Polski, nigdy nie był na tym tęsknym Mazowszu, na owych płaszczyznach, z których wynurza się jak kwiat nadrzeczny Warszawa.

A Chopin tutaj się urodził. Wprawdzie każdy pedant powie, że spędził on w Żelazowej Woli tylko parę pierwszych miesięcy swego życia, potem rodzice jego przenieśli się do Warszawy. Ale czuł się przywiązany do miejsca, gdzie ujrzał światło dzienne, powraca tutaj bardzo często razem ze swoją ukochaną siostrą Ludwiką. Jako młody człowiek siadywał tu nad rzeczka, pod tym drzewem, koło tego mostku. Jechał z Warszawy tą typową drogą wysadzaną wierzbami. A wierzyby były wtedy takie jak dzisiaj. Nawet na parę tygodni przed wyjazdem do Paryża przyjechał tutaj ze stolicy, aby się pożegnać z Żelazową Wolą. Była może ta wieś dla niego jakby symbolem całej wiejskiej ojczyzny. Wszystko to, co i dzisiaj jeszcze widzimy przemierzając w skupieniu i zamyśleniu mazowieckie okolice, widział i on, i on to kochał i on ogarniał to skromne piękno. Żegnał je w tych jesiennych dniach, gdy wyruszał „en passant par Paris”* — w swoją wędrówkę, która miała się stać niepowrotną wyprawą po złudne złote runo.

Chyba właśnie ten pejzaż miał przed oczami Chopin, kiedy pisał w roku 1848 z Edynburga do swego przyjaciela Grzymały: „A więc o żonie nie myślę wcale, ale o domu, o Matce, Siostrach. Niech im Bóg pozwoli zostać przy dobrej myśli! Tymczasem moja sztuka gdzie się podziała? A moje serce gdzież zmar- nojął... Ledwie że jeszcze pamiętam, jak w kraju śpiewają”. Nie tylko więc pejzaż widzi przed oczyma duszy, ale i pieśń pamięta chyba tutaj właśnie po raz pierwszy posłyszana.

Bo właśnie pieśni tej równiny odnajdujemy w mazurkach, w nokturnach Chopina — wszędzie tam, gdzie ta kraina odcisnęła bezpośrednio swój obraz.

Życie, wielka kultura, trudne przejścia — wielkie mniemanie, jakie o swoim posłannictwie żywił zawsze Chopin — skomplikowały i przesłoniły mgłą oddalenia te obrazy. Wielka twórczość Fryderyka daleko odeszła od Żelazowej Woli. Widoki wspaniałych stolic, podróże i przeżycia inne narzuciły wrażenia. Ale jeżeli pod koniec życia w dalekim i chłodnym Edynburgu powracały myśli

I „o domu, o Matce, Siostrach” — to wolno nam myśleć, że powracał także daleki pejzaż wsi rodzinnej. Te drzewa, krzewy, płachty wody, które obecnie ze wzruszeniem oglądamy. I jeżeli teraz posłyszemy czy przegramy sobie ostatnie przedśmierne mazurki wielkiego kompozytora — usłyszymy w nich daleką nutę pieśni, które w kraju śpiewano. Przefiltrowane przez pryzmat tęsknoty i oddalenia, przez wszystkie życiowe komplikacje, dalekie od wiejskiej prostoty, a jednak niewątpliwie z tą ziemią związane i z tej ziemi pochodzące.

Domek, cudem ocalały w ciągu tak długich lat, który przez pewien czas służył za stajnię czy chlewek, zmienił się przecież ogromnie.

„Ukochana prostoto! — pisał Kaden-Bandrowski — pierwsza część oficynki użyczona bydełku, kurki, świnki, krowiny chroni, w drugiej części rodzina właściciela przemieszkuje doraźnie...”

Podziwiać należy, jak potrafią z takiego zaniedbania wy- dziwnąć to miejsce. Oficynka przekształciła się w dworek polski, którego wnętrze tak skromne i piękne przywołuje na myśl owoczesny styl polskiego mieszkania. Nie ma tam ani jednego mebla, ani jednego przedmiotu, który by pochodził z prawdziwego mieszkania Chopinowskiego, a jednak, kiedy spojrzymy przez otwarte drzwi z jednego pokoju do drugiego, kiedy zobaczymy w oddali zarys fortepianu — zdaje się nam, że On tu jest, chodzi między tymi ścianami i kiedy nikogo tu już nie ma, siada do klawiatury i kontynuuje swoje liryczne lub dramatyczne improwizacje. #

Kiedy w alkwowie, w której się urodził, ujrzymy tę olbrzymią wazę wybuchającą kwiatami czy liśćmi — wyda się nam, że to nie waza, ale źródło obramione, z którego wytryska strumień złocisty, strumień niewyczerpalny jego muzyki.

Do tego strumienia przychodzą ludzie z całego świata, aby czerpać w nim i poić się tym upajającym winem. Nic bardziej wzruszającego jak widok ludzi, którzy w jesienną czy letnią niedzielę otaczają ten skromny dom słuchając koncertu. Najwięksi pianiści świata za zaszczyt sobie uważają, jeżeli mogą zagrać w tym domu, jeżeli mogą oddać hołd temu miejscu odtwarzając tutaj jedną z kompozycji Chopina.

A dom otaczają wtedy słuchacze. Młodzi i starzy, nowi ci, którzy się dopiero wtajemniczają w przepiękny świat, jaki

odsłania geniusz Chopina — i dawni, dla których to jest już wspomnieniem. Wspomnieniem całego życia, przeżyć niezmiernie głębokich związanych z tą muzyką. A czasami także wspomnieniem tych czasów, gdy muzyka Chopina była zakazana i brzmiała w małych zakonspirowanych pokoikach, w salkach, gdzie jej tylko parę osób słuchało, aby świadczyć nie tylko o wielkości naszej kultury, ale i o tym, że życie narodu zagłuszy się nie da. Bo ta piękna muzyka bywała także orężem w walce. Nie darmo Schumann nazwał ją armatami przykrytymi kwieciami.

Biorąc udział w niedzielnych koncertach, pomimo otaczającego nas różnorodnego audytorium, możemy powtórzyć słowa markiza de Custine skierowane do Chopina: „Słuchając Pana czuję się zawsze sam na sam z Panem, może nawet z czymś lepszym niż Pan, a przynajmniej z tym, co jest najlepszego w Panu.”

Jednym z największych uroków Żelazowej Woli jest właśnie to, że czujemy się tu zawsze „sam na sam” z Chopinem.

Jeżeli czasami w pośpiechu codziennych zdarzeń, w tłoku prac i zamierzeń, które nie zawsze mogą być dokonane należycie i z precyzją; jeżeli w nawale zdarzeń kulturalnych, z których niejedno jest objawem powierzchownym lub irytującym — ogarnia nas wątpliwość co do wartości kultury masowej, to wystarczy pojechać na koncert niedzielny do Żelazowej Woli, aby nabrać zaufania i do polskiej kultury, i do jej przenikania w najgłębsze warstwy narodu.

Kto tak słucha Chopina, potrafi spod zewnętrznych zdarzeń, spod codziennych trosk, spod drobnych bied i nieznośnych kłopotów wydobyć to, co jest w życiu i najgłębsze, i najwartościowsze.

Można się w Żelazowej Woli naocznie przekonać, co warta jest wielka sztuka jako najmocniejsza więź narodu, jako opoka i podstawa. Poezja Mickiewicza, muzyka Chopina są dla Polaków taką opoką.

Ze zdziwieniem i rozczeniem patrzymy na ten domek skromny — kwintesencję polskości — jak płynie niby okręt pośród zieleni parku posadzonego tutaj troskliwą ręką, parku, który chciał być godny muzyki Chopina.

Wraz z innymi przychodzimy tutaj oddać hołd pamięci wielkiego artysty. Stajemy na progu domu onieśmieleni i zachwyceni prostotą tego miejsca.

Cel pobożnej podróży każdemu domowi Podobny, pośród innych stoi tak zwyczajnie. Z tej izby w świat wybiegłeś... Wszakże trzej królowie Szli drogą gwiazdy także do ubogiej stajni..

Tak mówi poeta, a my zastanawiamy się przez chwilę, kiedy ten dom, ten park są najpiękniejsze. Czy w jesieni, czy latem, czy na wiosnę?

Wiosną młode liście kasztanów prawie żółte wiszą nad tym domem jak skrzydełka dopiero co wygmatwanych z kokonów motyli. Różowa zarośl japońskiej wiśni jest niby chmura, co o wschodzie słońca spadła na dach dworku, i tak delikatna jest w kolorycie jak najslabsza melodia, jak zwiewny pasaż spadający na czarno-białe klawisze.

Latem na wodzie kwitną białe i żółte lilie, ich płaskie liście rozkładają się jak tratwy zielone dla wazek i żuków. Odbicia zarośli wodnych przeglądają się w wodzie jak refreny pieśni. Lato w Żelazowej Woli pełne jest wspomnień o najdojrzałych utworach Chopina. Zwłaszcza o zmierzchu woda pachnie jak arpedzia Barkaroli, a liliowe, wyniosłe pnie drzew stoją równe i precyzyjne jak pierwsze takty Ballady f-moll. I tak samo od tych szmerów i zapachów kręci się w głowie, jak kiedy w skupieniu i wielkim zamyśleniu słuchamy kroczących taktów, biegnących, nadbiegających fal dźwiękowych tej jedynej na świecie muzyki.

W jesieni różnie bywa Jest to pora godów weselnych na wsi i czasami dolatuje tu, pod poźółtkle korony drzew, na oniemałe łączki jakiś skrzypcowy ton, który nam przypomina, że oto jesteśmy w ojczyźnie mazurka. Gdy przemierzamy alejki parku, gdy wchodzimy na piękny łuk mostku, szeleszczą nam pod nogami opadłe liście. Liście, które „ogadują” wszystkie minione zdarzenia jak owe niezapomniane triolki w finale żałobnej sonaty, liście, które przywodzą swym suchym szmerem tyle myśli, tyle wspomnień i tyle muzyki. Spoglądamy na obnażone gałęzie i nucimy piosenkę:

Lecą liście z drzewa, Co wyrosło wolne...

i poczynamy rozumieć śmiertelną melancholię człowieka, który umierał w dalekim Paryżu i już nawet ledwie pamiętał, „jak u nas w kraju śpiewają”.

Ale najpiękniej tu jest, zapewniam was, w zimie. Spójrzycie. Otulony śniegiem śpi dom. Drzewa zmieniają się w kryształowe cacka. Dzwonią, zda się, jak dzwonki ze srebra, jak srebrne janczary, które tu niegdyś na szyje koniom zakładano. Nie ma już ani koni, ani sanek, ani tych futer, ani tych pięknych kobiet, które się w nie otulały. Nie ma ani Marii Wodzińskiej, ani Delfiny Potockiej, ani nawet tej pierwszej — Konstancji Gładkowskiej. Nie ma Matki, nie ma Sióstr — jest taka wielka cisza Wszystko przeminęło.

A tylko On tu mieszka, chodzi samotny po wdzięcznych pokoikach. Nikła muzyka jego fortepianu przeciwstawia się owemu śniegowi i wiatrom, i ciszy. Ona tylko istnieje.

I kiedy staniesz w taki dzień późny zimowy przed domem, kiedy spojrzysz na ten łamany dach, na gołe gałęzie i na ciemne okna, poczujesz się nagle sam na sam.

Sam na sam z Chopinem.

1965

/ f

Z Warszawy do Krakowa

Stoję spokojnie na warcie przy trumnie prostej, czarnej, drobnej. Ale drobna ta trumna cięży straszliwie. Jak gdyby jej waga _była symbolem wagi duchowej. Nad trumną Matka Boska, czarniawa i łagodna, podobna do Ostrobramskiej, uśmiechnięta.^ W purpurowych drzwiach wagonu-kaplicy ucieka Polska. Okryła się w ten dzień pogodą i zapachami. Pomiedzy Piotrkowem a Radomskiem wzdłuż kolei ciągną się cudowne łąki. Właśnie rozsypane kopce zbierają na wozy. Albo za Kuluszkami brzegi nasypu kolejowego pokryte całe dzikimi różami. Wątle eglantyny niby różowe motyle zasypały naszą drogę.

Wszędzie tłumy. Nie wiedzą, gdzie jest trumna Słowackiego. Dopiero gdy pociąg mija, dostrzegają otwarte tylne drzwi. Rzucają się ku nim ruchem fali. Gdy z okien wagonu śledzimy ten ruch, ma się wrażenie, że wir mijającego pociągu niby liście suche czy płatki kwietne pociąga za sobą ludzi...

W pociągu duszno i gorąco, ale za oknami pole ściele się jak dywan. Najpiękniejsza to pora lata.

Stoimy więc na warcie. Oto jest Częstochowa. Armaty wałą wpobok pociągu. Fabryki zbiegły się do toru kolejowego i ryczą ogłuszająco. Gdy cichną chwilami, słychać dzwonięcie wszystkich jasnogórskich dzwonów. Most zawieszony nad koleją czerni się tłumem ludzi i paciorkami różowych twarzy dzieci. Skauci z pochodniami stoją wzdłuż toru. Pociąg staje, warta częstochowska przeży się przed purpurowymi drzwiami, biskup z księżmi śpiewają prostą i wzruszającą pieśń. Każą nam odmówić pacierz za duszę Juliusza.

Za Częstochową tłumy biegną torem, wyciągają ręce. Dwie panie płaczą. Wjeżdżamy w wielką chmurę. Przed nami strzelista sylweta jasnogórskiej wieży, otoczona rojem kominów. Długo je tak widzimy. Nie darmo w przemówieniu swym burmistrz Częstochowy powiedział, że bicie dzwonów kościelnych i ryk syren zlewa się w jeden hymn modlitwy i pracy na cześć poety. Czy może powiedział inaczej (bo jest socjalistą), ale coś w tym rodzaju. Tak sobie przynajmniej dzisiaj tę uroczystość częstochowską wyobrażam.

Gdy wyjeżdżamy więc za miasto, chmura zakrywa nam niebieską siatką widok na miasto. Ale do wycia syren i do bicia dzwonów przybywa dźwięk nowy: potężny grzmot. Nagle w oczach naszych piorun zapala olbrzymią stertę słomy. Płomień bucha gwałtownie do góry i w minutę wielki ciąg dymu, jak nad gigantycznym zniczem, przekreśla w powietrzu widok miasta, błękit szafirowej chmury, tuman rześistego deszczu.

A potem zaczynają się śląskie miasta i znowu takie tłumy wzdłuż toru, na wiszących mostach, szkoły, dzieci, straże ogniowe, Sokół, Strzelec, organizacje robotnicze: napisy, sztandary, hymn państwowy w coraz to innym tempie grany.

W Katowicach przemówienie biskupa Lisieckiego. Jedyne, które przypomniało Polsce wieszczą rolę jej poetów i przyrównało ich do proroków Izraela. Wzruszające olbrzymie tłumy. To samo w Sosnowcu, Szopienicach, Mysłowicach — wszędzie.

Dzieci tworzą szpaler z obu stron pociągu i zasypują mnóstwem kwiatów pędzące wagony. Całe chmury lecą maków, bławatków, trawek puszystych. Przez okno wpada bukiet prostych goździków („kartuzki”) związany silnie śliczną nitką fioletowej włóczki. Składamy go na trumnie: i tak dojechał do Krakowa.

Wszystko to jest niczym w porównaniu z przyjazdem do Krakowa. Pociąg zatrzymuje się na stacji, po czym odczepiony wagon z trumną przetaczają na most wznoszący się nad ulicą Lubicz. Zatrzymał się i zaraz otoczony jest gronem oficerów, literatów, przedstawicieli magistratu. Profil biskupa Sapiehy i krótkie, śpiesz- ne modlitwy. Schodzimy z wagonu ze srebrnym wieńcem literatury w rękę. Wskazują nam schody.»

U stóp mam jakąś olbrzymią salę, pełną światła i kwiatów. Muzyka gdzieś gra, a my zstępujemy, z wieńcem jak z monstrancją, przepaścistymi purpurowymi schodami w ten olbrzymi i śmier-

teinie cichy tłum. Mijamy czworobok biało ubranych kobiet, ze snopami białych kwiatów, sznury mnogiego duchowieństwa, staje- my przed tak zwanym ścisłym komitetem. Muzyka cichnie, robi się jak makiem zasiał i stromymi schodami spelza czarna ciężka trumna Jak mrówki oczepiają ją ze wszystkich stron ludzie, przeważają się, wysilają, podtrzymują, niosą, okrążają, a ona z wolna i majestatycznie obniża się ku wspaniałym noszom, ustawionym u stóp zmienionego w monumentalny gmach mostu. Cisza taka, że słyhać lot muchy. W tej ciszy wałą armaty. I nagle odzywa się Zygmunt.

1927

Kraków

Kraków jest pierwszym miastem, do którego się wybrałem jeszcze za czasów mojego porannego dzieciństwa. Podróże do Krakowa to były jazdy bajkowe, razem z Kopciuszkiem, karetą zrobioną z dyni, czyli harbuza, zaprzęgiem w sześć szczurów...

Za stołowym pokojem w Kalniku był pokój moich sióstr. Odznaczał się tym, że miał szerokie, tak zwane weneckie okno i wymalowany był na niebiesko czy na szaro, tak jak ściany niektórych chat. W pokoju tym stały dwa łóżka — jedno po prawej stronie od wejścia, drewniane, szerokie, gdy nastawała pora zmięzchu dwie siostry mogły się tu położyć. Śpiewały, jak nieraz to już wam mówiłem.

Ale także mówiły. Opowiadały o Krakowie. W Krakowie mieszkały na pensji panny Roguskiej. Jeszcze nie miałem pojęcia, jak wygląda miejska ulica w ogóle, a tym bardziej ulica w Krakowie, a już widziałem koperty — jakbym je dzisiaj widział — adresowane drżącym, dziwnym pismem mojej matki: Krakau, Ga- lizien, Kraków, ulica Świętego Jana 14, Pensja Pani Roguskiej, dla Nuci czy tam dla Jadwini Iwaszkiewiczówny. Wiedziałem już, że to jest ulica Świętego Jana, że w dżdżyste dni chodzi się na spacer na Planty (co to są, u licha, te Planty?), że się robi un tour des Plantations *, a w piękną pogodę na Błonie (co to są te Błonie?) albo do Lasku Wolskiego.

Na Boże Narodzenie chodzą pensjonarki na Pasterkę do felicjanek. Do dziś dnia nic wiem, gdzie te felicjanki są i co to za

I zakon te felicjanki, ale już jako kilkuletni malec wiedziałem, że u felicjanek w kościele jest ciepło i że tam bardzo ładnie zakonnice śpiewają: „Lulajże Jezuniu” i „Przybieżeli do Betlejem pasterze”. I zaraz dostawałem próbki tych pięknych koled. ;

A potem opowiadanie o krakowskim teatrze: jakbym tam był, jakbym widział Bonę, króla Zygmunta Augusta i nieszczęsną królową Barbarę. A potem Grube ryby — aż wreszcie i opowiadanie o 16 marca 1901 roku, kiedy poszła ta dziwna sztuka pana Wyspiańskiego. Kiedy już w mojej trzeciej podróży do Polski do- brnąłem wreszcie do Krakowa, doświadczenia moje były już tylko sprawdzeniem tego, co wiedziałem. I co najdziwniejsze, stary, zaniedbany Kraków, wykluwający się zaledwie z wojennych zaniedbań, i Wawel — gdzie tylko katedra była taka, jak dzisiaj —■ nie sprawiły mi zawodu. Były tylko realizacją bajki, opowiadania, scenariusza, który nigdy nie był fantastyczny, którego romantyzm był 5 jak i dziś — jak gdyby przygaszony i który w swych realizacjach: Kościele Mariackim, podwórzu Collegium Maius (jeszcze z Kopernikiem), kościele Świętej Katarzyny, Skałką, synagogą kazimierską i kościołem Bożego Ciała przywołał entuzjazm; j ożywił dawne uczucia.

Zawsze to samo, witraże u Franciszkanów — o których opowiadała pani Wentzlowa siedząc na ganku folwarku białoцеркiewskie^ go cioci Masi — posąg Włodzimierza Potockiego, który był właścicielem Daszowa, gdzie pochowany był mój ojciec, wreszcie wizyta na Salwatorze u pani Marylki Pietraszkiewiczowej, toż to było wszystko odbiciem i echem dzieciństwa i młodości, które nie były jeszcze takie dalekie.

Wizyta u Pietraszkiewiczowej! To była najmłodsza z trzech siostr Słowińskich, siostra Janiny Szatrowskiej, przyjaciółki mamy, i Łońci Chmielewskiej, u której na imieninach położono moich starzejących się rodziców w jednym pokoju, z czego wynikła moja osoba. Te trzy siostrzenice pani Sabiny Iwaszkiewiczowej, „baba z torbową”, która w tej torbowie zawsze przywoziła coś dla mnie z O rato w a, to te siostrzenice pani Sabiny, z którymi razem jeździło się do lasu i w powrotnej drodze śpiewało „Rewe taj stohne...”* Były tam jeszcze Amelka Załuska, Kostunia Witwicka, Bogusia Orłoś... Czyż to nie były dostatecznie silne więzy łączące jmnie z widokiem klasztoru norbertanek, zakfetu Wisły i kościoła Świętego Salwatora? Marynia Pietraszkiewiczowa była jeszcze taka śliczna, kiedy witała mnie w swoim mieszkaniu na ulicy Gon- tyny i kiedy mówiła nie wymawiając „r”: „Jaki oghomny ten syn pani Mani Iwaszkiewiczowej! Tak dawno go nie widziałam, a przecież K haków leży tak blisko Kalnika!”

Niewiele pamiętam z tego pierwszego pobytu w Krakowie. Pamiętam dobrze ten drugi pobyt, kiedy byłem już „w środku” spraw, do wizyty w Krakowie przygotowałem się kilkudniowym pobytom w Ojcowie (do którego przyszedłem z Olkusza piechotą, dlaczego?), kiedy wykańczałem egzemplarz Jedermarma dla Or- dyńskiego na podstawie tekstu staroangielskiego, sztuki Hofmann- stahla i dodatków samego Ordyńskiego, obliczonych na Amerykę.

Wtedy już nie miniony Kraków oglądałem, ale Kraków współczesny. Tu już był Boy i Witkacy.

Zupełnie abstrakcyjnie, jak wspomnienie snu, jak wizję teatralną widzę zawsze z tamtej epoki pochód następujący: chyba

ulicą Batorego, środkiem jezdni, bo samochodów licznych wtedy nie było, kroczą Boy w letnim ubraniu, pani Zofia Żeleńska w czarnej sukni, ale z gołą głową (kobieta z gołą głową, dama, w owych czasach, na ulicy!) i Witkacy wyprostowany, wyprężony jak on to był zwykł chodzić, w jasnym, szarym letnim garniturze, w czarnym żalobnym toczku pani Zofii na głowie, którego czarny welon w obfitych fałdach spadał mu na plecy.

Było to w dzień premiery Tumora Mózgowicza w Teatrze im. Słowackiego. Witkacy był bardzo czuły, bo zamierzałem wprowadzić jego dramat na sceny warszawskie i byłem gorącym obrońcą jego sztuki wobec Skamandrytów, a szczególnie wobec wszechpotężnego Grydzewskiego, który czuł nosem wartość i siłę Witkacego, ale sam sobie nie dowierzał.

Jakoż byłem tego wieczora w Teatrze im. Słowackiego na premierze Tumora Mózgowicza i asystowałem przy paradoksalnym momencie, kiedy odsłaniająca się kurtyna Siemiradzkiego ukazała perwersyjne gniazdko „salonu” Mózgowiczów. Siedziałem w łoży Trzczińskiego na pierwszym piętrze i klaskałem entuzjastycznie spektaklowi, Witkacemu, pięknie wyglądającej Panciewiczowej. Wszyscy klaskali.

Kraków z pierwszych lat odzyskania niepodległości ma we wspomnieniu moim jakąś mglistą atmosferę bajki czy przedstawienia teatralnego. Kie prowadziłem w tamtych czasach dziennika, zapiski z owej epoki zaginęły, nie wiem więc, kiedy odwiedzałem to miasto, ale zdarzało się to bardzo często, mimo że podróż droga okólną przez Trzebinę nie była zachęcająca. Kolei przez Radom-Tunel jeszcze długo nie było.

Bywałem w Krakowie sam albo w towarzystwie Mięcia Kozłowskiego, którego matka była wówczas gwiazdą teatru Bagatela i mieszkała przy ulicy Sławkowskiej nad mieszkaniem Julii Giżyckiej-Berezowskiej, koleżanki mojej siostry Heli. Przyjeżdżała ona ongi do Kalnika.

Myśmy mieszkali albo u rodziców pięknej Reli Szmajdlerówny, na kolonii kolejowej za ulicą Lubicz, albo w jednym z hoteli, w „Grandzie”, w „Saskim” albo „Pod Różą”, w którym w swoich zagranicznych podróżach zatrzymywali się moi rodzice.

Jeżeli przyjeżdżało się latem w nocy, to się szło przez Planty, gdzie pachniało wtedy różami. Ale najczęściej przyjeżdżało się z rana po uciążliwej drodze, po tłuczeniu się trzecią klasą — cza* sami jechało się w tak zwanym breku, takiej dziwnej przybudówce sterczącej przed wagonem, jeżeli pociąg był przepełniony, to można było przytulić się w takim breku. Można tam nawet było spać.

Z takich jesiennych, cichych, intymnych odwiedzin Krakowa zostały mi dziwne wspomnienia, których nie mogę do niczego przyłączyć, spotkania bez początku i bez dalszego ciągu. Tak na przykład nie wiem, skąd się wzięły te jesienne posiedzenia w małym pokoiku z Kacprem Pochwalskim. Skąd znałem Kacpra? Nie wiem. Zapewne był to krakowski kolega Mięcia Kozłowskiego. Kozłowscy byli z Krakowa, Mićcio przed wojną chodził tu do którejś szkoły, kolegował z Adamem Żeromskim, może kolegował i z Kacprem Pochwalskim.

Kacper był bratankiem „wielkiego” Pochwalskiego, Kazimierza, słynnego portrecisty. Czym był jego ojciec, nie pamiętam — albo adwokatem, albo też malarzem minorum gentium. Kacper chodził do Akademii Sztuk Pięknych, malował, odnawiał obrazy. Ale na razie, wtedy kiedyśmy się z nim widywali, pisywał wiersze; do dziś dnia mam przechowane bruliony z jego poezjami, o ile mi się gdzieś nie zapodziały, drukowałem też jego rzeczy w „Kurierze Polskim”, kiedy byłem kierownikiem literackim tej gazety.

Godzinami można było z Kacprem rozmawiać o wierszach, o poezji. Już nawet dobrze nie pamiętam, jak Kacper wyglądał, myli mi się ze Stasiem Piętakiem, miał taki sam uroczy sposób mówienia wierszy swoich i cudzych. Od razu zrozumiałem, że wiersze Kacpra to zwiewna, delikatna materia, że brzmią tak muzykalnie i pięknie mówione, a raczej szeptane jego półgłosem — ale że już w druku będą wyglądały pokracznie; że nic z nich nie będzie.

Spędzałem u Kacpra długie godziny, moje wiersze, które mu czytałem, były za konkretne, za wyraźne w porównaniu z jego, utkanymi z babiego lata. Wiedziałem, że nie będą mu się podobać.

Ale jego poezja zdawała się mnie kołysać, a jednocześnie wzbogacać o jakieś nikłe odcienie, cienie. Był mi bardzo drogi przez parę tygodni. A potem i jego wiersze, i jego osobowość zatarły zdarzenia wyraźne, jaskrawe przyjaźnie, miłości, wiersze jak symfonie, grzmiące i pełne, a nie takie obrysowane tylko konturami.

Nawet nie wiem, co się później z Kacprem działo. Niedawno ktoś mi coś o nim wspomniał. Był malarzem, znanym obywatelem miasta Krakowa; właśnie o nim myślałem ostatniej jesieni, kiedy* spacerowałem Plantami i liczyłem wszystkie cienie, które mi to* warzyszyły w tej przechadzce. Wszystkie cienie jesienne.

Ale są w Krakowie dla mnie i inne cienie: wiosenne, piękne/ ubarwione zielonymi liśćmi późnego maja.

Był taki maj w Krakowie. Kto nie był w maju w Krakowie, ten nie wie, co to jest maj. Liście i kwiaty kasztanu powpinane wszędy - 9 dzie w tej starej architekturze działają upajająco. Ja nie rózu-® miem, jak można być krakowskim studentem, jak można się tutaj uczyć, w tym pejzażu, w tej naturze. A właściwie mówiąc, tylko w Krakowie można w pełni zrozumieć, jak mogła się narodzić Lilka Pawlikowska. „Staroświecka pani z Krakowa” — jak ją nazywał Tuwim — była krakowską mniszką, od felicjanek, od norbertanek, z tych wszystkich klasztorów zamykających w swych murach bujne ogrody.

Lilkę poznałem w Warszawie. Moja żona знаła wcześniej obie Kossakówny. Były kiedyś u nas na obiedzie w samych początkach istnienia Stawiska. Boże! jak to już strasznie dawno.

Stół był nakryty w hallu na górze, na sześć osób. Były Lilka, Madzia, Tonio Sobański, Achilles Breza przezywający wtedy sam rozkwit swej zadziwiającej urody, i nas dwoje.

A wtedy na wiosnę w Krakowie, przyjechałem, że tak powiem, w interesach, na tydzień, mieszkałem w „Grand Hotelu”, u Skrzyńskich. Czas był wyjątkowo piękny, sprawy do załatwienia nosiły raczej charakter towarzyski, chodziło o przygotowanie i zorganizowanie Kongresu Unii Intelektualnej, który miał się odbyć na jesieni tego roku w Krakowie. Trzeba było rozmawiać z dyrekcją „Grand Hotelu”, z Uniwersytetem, z Karolem Hubertem Rostworowskim, z Franciszkiem Potockim, z Akademią Umiejętności (zebrania Unii toczyły się w Collegium Maius i na Sławkowskiej), słowem nuda.

Lilka już była wtedy Jasnorzewska, miała tego swojego Lotka, już było po naszych spotkaniach zakopiańskich i paryskich, gdzie zwracałem raczej uwagę na pięknego Jasia Pawlikowskiego, już było po pierwszych sukcesach literackich Lilki, po tym, jak Gry- dzewski okrzyknął: „genialna”, a Leszek marszczył nos wskazu

MSHHBH

jąc jej różowe tomiki. Mieszkała naprzeciwko Kossakówki, w nowych domach oficerów lotnictwa.

W ciągu tego tygodnia bywałem u niej codziennie. Lotek był rankami na lotnisku. Madzia mieszkała w Warszawie czy Bukareszcie. Była sama. Pewnego dnia wróciliśmy ze spaceru Plantami, ze spaceru pod zielonym nawiasem kasztanowych liści, w przepiękny dzień czerwcowy. Lilka zmęczona usiadła na krześle i jednym ruchem obu dłoni podniosła białą woalkę, nie zdejmując bladoróżowego jedwabnego kapelusika, i zwróciła na mnie swoje oczy. Zobaczyłem nagle, że jest piękna, żalosna, smutna, że jest niezwykłą, osobliwą, przejrzystą kobietą i poczułem, że mógłbym ją kochać do szaleństwa. Powiedziałem jej o tym. Uśmiechnęła się: „Za późno, Jarosławie” — powiedziała.

Że wszystko niemożliwe, powiedzmy od razu, Nie ma dla nas Krakowa, jak nie ma Szyrazu.

Moja żona miała też swoje koneksje krakowskie. Zaraz po naszym ślubie złożyliśmy wizytę jej ciotce, pani Wandzie Lilpopo-

wej, która tu mieszkała. Ciocia Wandzia, jak myśmy ją nazywali, mieszkała w swoim czasie w Zakopanem i obracała się w zaklętym kręgu Nietoioy. Pani Dembowska, Stanisław Witkiewicz, Sabała, resztki Chałubińskiego i księdza Stolarczyka. Ciocia Wandzia była żoną Wiktora Lilpopa i matką dwóch synów, z których starszy, Jerzy, był botanikiem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Zakopanem mieszkał i inny wuj mojej żony, najstarszy brat mego teścia, Karol Lilpop, co prowadzi komentatorów tych czasów i wydawców starych listów tej epoki do nieporozumień. Wuj Karol był przysięgłym starym kawalerem, a ciocia Wandzia mieszkała w Zakopanem i w Krakowie bez męża; w momencie naszego ślubu wuj Wiktor jeszcze żył.

Ciocia Wandzia była urocza. Miała w sobie tyle tej „krakowskiej” kultury, tyle wdzięku, tyle uroku — i tyle tej dobrej ze- szłowiecznej inteligencji, w miarę bezpretensjonalnej, w miarę głębokiej.

Tylko dwa razy byłem u cioci Wandzi, a jednak jej obraz pozostał mi na całe życie. Było coś w tych czasach Chałubińskiego i Matlakowskiego, co nakładało na ludzi specjalne piętna. A stary Witkiewicz był chyba najmądrzejszym człowiekiem w Polsce XIX wieku, już naznaczonym zresztą piętnem dziwactw, które odbiły się na wychowaniu i wykształceniu ukochanego „Kalunia” — ale po którym został ten podwójny pomnik wielkości ojca i syna, Lelum i Polelum.

Już samo obcowanie z tymi ludźmi kładło na osobowość ich U przyjaciół specyficzne piętno. Człowieka krakowsko-zakopiańskiej kultury poznawało się na odległość.

Nawet na tle wyrafinowanej francuskiej kultury ta specyfika krakowska odbijała. Ona mnie tak od razu, od pierwszej wizyty na rue d'Athènes, pociągnęła do Idy Godebskiej. Nawet tam — w tym kulturalnym, nieco snobistycznym towarzystwie kultura Idy odznaczała się. Była nasza.

I myślę, że jej bratowa, Misia Godebska-Sert, tak nie cierpiała jej po cichu, że mimo całej swojej piękności, całego wyrobienia, całej swobody towarzyskiej — odbijała jednak od Idy comme une parvenue *

I ten łagodny uśmiech cioci Wandzi, i ten bardzo wyrafinowany sposób bycia (to już tylko Pawlikowskie, Lela i Beata, to znały, oczywiście Lilka, Madzia też, choć starała się zatrzeć pokrewieństwo), ten rozum w traktowaniu spraw sztuki i życia, jakieś łatwe i zarazem wyrozumiałe przyjęcie mnie jako męża ukochanej w rodzinie Hani zrobiło na mnie wielkie wrażenie.

Krakowskie mieszkanie cioci Wandzi było takie jak wszystkie „intelektualne” mieszkania krakowskie. I tyle tam było malarstwa. Pamiętam tylko dwa duże — tej wielkości co w Muzeum Narodowym r- obrazy Stanisława Witkiewicza, oba górskie widoki, których nigdy nie widziałem potem ani w reprodukcji, ani w naturze w żadnym muzeum, ani na wystawie. Co się z nimi mogło stać?

W pejzażach tych zawarty był cały późny romantyzm Witkiewicza i późny romantyzm cioci Wandzi, która była pełna zawsze entuzjazmu — nawet emfazy — i ona to była dla mnie ową „staroświecką panią z Krakowa”.

Witkacy miał swój „album osobliwości”. W przystępie dobrego humoru pokazywał go przyjaciółom. Czego tam nie było! Kartki, rękopisy, pamiątki, zapiski, notesy. Zresztą Roman Jasiński uformował podług tego wzoru swój „album osobliwości” i można z tego okazji sądzić, jaki był pierwowzór. Tylko że sięgał o parę dziesiątków lat wstecz w stosunku do albumu Jasińskiego.

Wśród tych osobliwości z całkowitą swobodą Staś pokazywał cykl pocztówek (drukowanych) malarza Stanisława Eliasza Radzikowskiego (syna zakopiańskiego Walerego), który dostał pomieszania zmysłów na tle miłości do Ireny Solskiej.

Staś z taką dezynwolturą dawał do obejrzenia te pocztówki, że oglądającym do głowy nawet nie przychodziło, że dotyczą w tej chwili bolesnej sprawy z życia samego Witkacego.

Pocztówki były nader dziwaczne, wszystkie przedstawiały zgrupowane sylwetki nagich kobiet, wszystkie one miały rysy jednakowe i wszystkie przedstawiały nagą Solską. A więc naga Solska czerpała wodę ze źródła, podawała ją drugiej nagej Solskiej, inna naga Solska kąpała się przy tym źródle lub nachylała się nad nim z góry. Całe gromady nagich Solskich siedziały na nagich gałęziach drzew jak stada wróbli, i tak dalej.

Kiedy to oglądałem w Zakopanem, nie znałem jeszcze Solskiej, poznałem ją potem w Warszawie, w Warszawie bywałem u niej

w domu, w Warszawie widziałem jej najświetniejsze role. A prga cież zrosnięta była ona cała, jej powierzchowność, jej sylwetkaj jej kapelusze, jej głos osobliwy, zrosnięta z Krakowem. Wyobraź żam ją sobie tylko na tle Krakowa i na tle tej niezwyklej sceny'- która dla nas — dzieci dziewiętnastego wieku — zawsze będzigi nosiła charakter świątyni, na tle sceny Teatru imienia Juliusza Słowackiego, na której nigdy jej nie widziałem, a zawsze sobie; wyobrażałem.

Solska była dla mnie zawsze dzieckiem, emanacją, muzą Krakowa. Spotykałem ją w najrozmaitszych miejscach, na ulicy (raz z Witkacym), w teatrze, w domu, na estradzie, zawsze mnie zaskakiwała, zawsze fascynowała.

Miała w najwyższym stopniu siłę obecności, na scenie czuło się ją zawsze. Pamiętam, w Nie-Boskiej Schillera w Teatrze im. Bogusławskiego, jako Zona, siedziała w głębi sceny, prawie za kulisami, widać ją było tylko poprzez dekoracje, a była, istniała na tej scenie, znaczyła coś, imponowała.

Głos miała skrzeczący i dziwaczną wymowę, łatwą zresztą do naśladowania — nie tylko Lechoń i Słonimski naśladowali ją do złudzenia, ale ja nawet potrafię do dziś dnia powiedzieć jak ona nagle przy stole powiadała:

„Dio mio!”, albo:

Bo Mendele Endele kocha, A Endele Mendele — nie!

Owo „nie” — oderwane, osobne, z przychrypem, coś niebywałego. Mówiła ten wierszyk Heinego w jakimś nowym kabarecie, który zmajstrował Walery Jastrzębiec-Rudnicki, kabaret splajtował, nikt nie chciał słuchać Solskiej, było to przeszło pół wieku temu, a ja mam wciąż w uszach owo: „A Endele Mendele p nie!”

I owo dziwne spotkanie, nie jedno z ostatnich, ale pamiętne. W przykry dżdżysty, choć letni dzień pojechaliśmy pod szarą katedrę we Fryburgu, w Szwajcarii. Weszliśmy do środka i doznaliśmy olśnienia: wszystkie okna katedry paliły się ogniem tysiąca barw, witraże Mehoffera jaśniały w całej swej krasie. A z witraży zaczęły nam kiwać ręką i głową same znajome postaci krakowiaków i krakowianek. Profesorowie uniwersytetu w togach sie-

dzieli słuchając Jezusa w świątyni. Rydel żął snopki Booza i oto odsłoniła się nam scena u Heroda: Jerzy Żuławski jako Herod siedzi tam za stołem obficie zastawionym jak u Hawelki, a przed nim płąsa jako Salome, ktoż? Sama Solska, w krótkiej tunice (mowy nie ma o siedmiu zasłonach), młoda jeszcze i taka, jaką ją kochał Radzikowski i za jaką szalał Witkacy. Pani Akne!

Solska była dla mnie symbolem Młodej Polski, Lady Godiwy Staffa Patrz Głosy w ciemności S tryjkowskiego, który także jakoś tę sprawę kojarzy.

Na przeciwnym biegunie wszystkiego, fascynacji, uroku, kobiecości, zagadkowości, stoi inna krakowska aktorka, ta już zupełnie z krakowskim teatrem związana, tyle że nie ze świątynią imienia Słowackiego, tylko z bardzo mieszczańską i pospolitą salą, teatrem Bagatela, który w swoim czasie przeżywał także czasy blasku i świetności, jak cały „Ilustrowany Kurierek” i Maniusz Dąbrowski, którego był ekspozytą. Mówię o Izie Kozłowskiej.

Iza była piękną kobietą. Wysoka, smukła, zgrabna, z wielkimi niebieskimi oczami, głos miała ładny, ale bez charakteru. Pierwszy raz zobaczyłem ją na scenie Teatru Polskiego w Warszawie któregoś tam sierpnia 1913 roku, można sprawdzić, na premierze Burzy Szekspira. Grała Mirandę, odtąd sobie zawsze tak Mirandę wyobrażam.

Toteż kiedy mi w dobrych parę lat potem Stanisława Wysocka, za kulisami teatru Studya, przedstawiła młodego człowieka mówiąc „To jest Miecio Kozłowski, syn Izy” — to wiedziałem, o kogo chodzi

W tym Krakowie sprzed mojego ślubu, dziwnym i trochę wariackim — jak Miecio, jak Kacper, jak Piękna Rela — Iza odgrywała dużą rolę. Była primadonną teatryku Bagatela i grała tam z oszalamiającym sukcesem rolę po roli To „kobietę bez skazy”, to „kobietę, która zabiła” — w sztuczynie amerykańskim granym po wszystkich teatrach z nieprawdopodobnym sukcesem. Widziałem ją wtedy w jakiejś sztuce włoskiej, gdzie grała młodą matkę pięknego syna i w końcu wychodziło na jaw, że ten syn się w niej kocha. Grała znakomicie. Uwierzyłem w jej aktorstwo. Byłem przedtem trochę sceptyczny.

Wtedy to z jej inicjatywy zdarzyła się rzecz nadzwyczajna. Wyrobiła jakimiś tam drogami dwutygodniowy urlop z wojska dla

Mięcia w momencie niesłychanie groźnym — bo był to przełom czerwca i lipca 1920 roku. Miecio zadepeszerował do mnie, że czeka na mnie u matki i pojechałem do Krakowa. Przyjechałem późno w nocy, stróżka na Sławkowskiej wpuściła mnie na schody, a do mieszkania pani Izy trzeba było dzwonić. Bałem się ją budzić w nocy, przesiadzałem więc całą noc na schodach. Pani Iza bardzo dbała o swoje zdrowie i nie lubiła takich rzeczy, jak nocne przyjazdy. Doczekawszy rana zadzwoniłem do drzwi. Aż tu okazało się, że nie spała całą noc i dopiero nad ranem udało się jej zasnąć. Miałem za swoje!

Ale potem pojechaliśmy do Zakopanego i mieszkaliśmy przez dziesięć dni nad Morskim Okiem w zupełnie pustym schronisku, sami we trójkę, w przecudne dni tego niezwykłego pod względem piękna pogody lata

Do Morskiego Oka szliśmy przez Szpiglasową. Nigdy nie zapomnę tych zakosów, słońce tak stało, że były do połowy w cieniu, do połowy w upale. Szliśmy więc tak (Miecio oczywiście poszedł naprzód i czekał na nas na górze, a ja tryndałem jego matkę), że za każdym razem, co wchodziliśmy w cień, pani Iza wkładała sweterek i zawiązywała szalik, gdy wychodziliśmy na blask, zdejmowała sweterek i szalik. A na każdym rogu zakosów zatrzymywaliśmy się i pani Iza zasilala swe serce garścią coli. Można sobie wyobrazić, jak długo trwało to wchodzenie.

Ale w schronisku było pięknie, ta kobieta jak z cukru i cała w różowych falbankach, w kremowych koronkach, w tym prymitywnym otoczeniu, wśród poziomek i kwaśnego mleka, i my dwaj, czarni i opaleni jak juhasi. Byliśmy wszyscy troje bardzo szczęśliwi. Prosto stamtąd Miecio pojechał na front, a ja do Rembertowa, gdzie formował się mój pułk ochotniczy.

A pani Iza zapewne wróciła na Sławkowską i do tryumfów w Bagateli. To był ten teatr frywolny, gorszący jak cały „Ikac”, ale tamten na Plantach, z popiersiem Fredry przed nosem, to była świątynia.

Nie pamiętam, kiedy byłem pierwszy raz w tym Teatrze im. Słowackiego, ale bywałem tam często. Dostyc często na przedstawieniach, ale znacznie częściej za kulisami, bo całe to wejście od kulis, niszę woźnego i biuro sekretarzy (Alfred Wóycicki) tak sobie świetnie wyobrażam jak własny dom. A na tle tych kulis najmilszych ludzi świata, Frycza, Osterwę.

A tu od przodu, to już nie tak dobrze widzę. Coś jakby wzruszenie zaciera mi świeżość spojrzenia, wejście jak do katedry wawelskiej. I nawet nie pamiętam, kiedy gdzie siedziałem. Ten teatr to także z opowiadań: najpierw oczywiście siostry, potem reprodukcja kurtyny Siemiradzkiego w „Tygodniku Ilustrowanym” — wielkie zastanowienie dziecka przed tym symbolem „Geniusz łączący Piękno z Prawdą”, a ja naprawdę nie wiedziałem, że to jest kicz, to mnie bardzo wzruszało; a potem Wysocka opowiadająca, jak Wyspiański stał, o, tu, za kulisami, był małego wzrostu, miał nastroszone wąsy i wielkie niebieskie oczy i nic nie mówił, tylko patrzył, a potem sobie poszedł. Stał, o tu!

Ta wielka pusta scena. Jak mogą współcześni reżyserzy skreślać ostatnią scenę Wyzwolenia, tę mękę Konrada z Eryniami na wielkiej pustej scenie?

No i właśnie — nie pamiętam, co widziałem pierwszy raz na tej scenie. Co to mogło być?

Bo później, później to pamiętam. Siedziałem z Leszkiem w fosie orkiestrowej, w białej koszuli mojego byłego ucznia inżyniera Jerzego Jaczewskiego (nigdy mu potem jej nie oddałem) i we fraku pożyczonym od dyrektora teatru Tempki-Nowakowskiego i z szumem w głowie i chaosem w sercu oglądałem Balladynę. Byłem na pół przytomny po dniu w pociągu, po wieczorze na ostatniej warcie przy tej trumnie, a czekała mnie jeszcze kolacja z Piłsudskim i z kardynałem Sapiehą w Starym Teatrze. Bo to był pogrzeb Słowackiego. O! te momenty pamiętam doskonale.

Krakowska połowa pogrzebu Słowackiego była mniej udana. W Warszawie była ta cudowna czerwcową pogodą, która sprawiła, że podjazd statku z trumną pod most Poniatowskiego, pochód z przystani do katedry, wreszcie krótka noc letnia spędzona pod katedrą w olbrzymiej kolejce osób, które chciały dorzucić choć jeden kwiatek do góry kwiecia, która piętrzyła się przed trumną, tej samej wysokości co katafalk — to wszystko zlało się w feeryczną grę, grę świateł, kwiatów, ludzi, w nieprawdziwe jak gdyby widowisko, które historia wyreżyserowała na cześć jednego z Polaków, chyba najbardziej ze wszystkich pozbawionego za życia honorów.

W Krakowie od rana padał deszcz. Z wieczora, kiedy pociąg wiozący trumnę Słowackiego stanął na moście nad ulicą Lubicz, było już parno. Nigdy nie zapomnę tej parnej, śmiertelnej ciszy,

jaka zapanowała nad całym miastem, gdy trumna spełzała^adyby z mostu ku ulicy, gdzie czekał karawan. Spełzała oblepiona mrowiem rąk ludzkich, które się udźwigały niepomierne: trumna była malutka, dziecinna, zawierała bowiem nikiel szczątki Słowackiego: czaszkę z grzywą ciemnych włosów, jedną piszczel i jedną skarpetkę, a poza tym gęsty czekoladowy proch, w jaki się obróciło ciało i kości poety.

Widziałem fotografie odkopanego paryskiego grobu, mówił mi

O tym Leszek, który był świadkiem otwarcia trumny. Fotografie były tajemnicą państwową. Dlaczego? Przechowywano je w sa- fesach Ministerstwa Spraw Zagranicznych i tam też zginęły w roku 1939.

Czaszka była duża jak na człowieka małego wzrostu. A na kościach twarzy widniały niezwykle szeroko otwarte oczodoły, oczy musiały być ogromne, nienaturalnie ogromne jak na portrecie Kurowskiego (zresztą takie oczy nadnaturalnej wielkości miała także I pani Salomea).

Ale to wszystko umieszczone choć w małej, ale łożowanej trumnie, i jeszcze w dodatku niesione z pieca na łeb, gniotło ramiona ciężarem grobu. Olwid (Witold Hulewicz), który był tuż przy mnie, powiedział: „Słowacki musi mieć ciężar całego świata”.

Ja zresztą razem z Lechoniem bardzo szybko znalazłem się w dole, na ulicy Lubicz. Trzymaliśmy w ręku srebrny wieniec „od literatury” i patrzyliśmy jak mała i ciężka trumienka spełzała w dół. Było śmiertelnie cicho i parno, przed deszczem.

Padał deszcz, gdy staliśmy z wiancem koło Barbakanu; Leszek robił głupie dowcipy i uroczysty nastrój się rozwiewał.

Powrócił dopiero na podwórku wawelskim, gdzie ustawiono trumnę, gdzie na pierwszym piętrze kolumnady ukazał się Piłsudski i skąd odniesiono prochy do krypty i złożono obok Mickiewicza.

Gdyśmy po złożeniu wianków w krypcie wyrzeli na świat Boży, deszcz przestał padać i ukazało się słońce. Ale już miało się ku wieczorowi, cały dzień zszedł na tym korowodzie.

Wieczorem odbyła się kolacja w Starym Teatrze. Przed kolacją poproszono nas do stołu z zakąskami. Piłsudski poszedł do Lechonia i powiedział: „Jedz, moje dziecko, zasłużyłeś na dobrą kolację”.

Lechoń z Or-Otem konwojowali trumnę Słowackiego od Paryża przez wszystkie jej morskie i rzeczne perypetie. Chyba nie „byli mu równi”.

Nie tylko na tym pogrzebie, ale i teraz, kiedy jestem w Krakowie, uderza mnie jednak obcość i Mickiewicza, i Słowackiego dla tego miasta, w którym nigdy nie byli. Jednak największa literatura polska powstawała poza Krakowem. Tak samo zawsze mnie jak gdyby dziwi samotny grób Karola Szymanowskiego na Skałce.

Co prawda ani Mickiewicza, ani Słowackiego nie było gdzie pochować poza Krakowem, ale Szymanowskiemu tak się należał stary cmentarz w Zakopanem.

Jeden tylko jest bezsprzeczny geniusz łoci* Krakowa, ktoś, kto z tym miastem połączony wszystkimi fibrami swej twórczości, wszystkimi elementami swej istoty — oczywiście tylko Stanisław Wyspiański.

B i&isiat^yjpji^

I.

Właściwie mówiąc, jest to dość rzadki przykład tak dosłownego zrośnięcia się pisarza z miastem. Miasto to można tłumaczyć poprzez pisarza, a pisarza poprzez miasto.

Tak mnie to bardzo uderzyło zaraz na początku mojej znajomości z tym miastem, w czasie jednej z pierwszych moich podróży do Krakowa. Dr Włodzimierz Żuławski chciał Izie Kozłowskiej pokazać swoje zbiory Wyspiańskiego, a ona zabrała nas z sobą, to znaczy mnie i swego syna Mietka.

Nie pamiętam już, z czego składały się zbiory |H rozproszone i częściowo zagubione obecnie — Żuławskiego. Mój podziw i serdeczne wzruszenie wzbudziły przede wszystkim „zielniki” i je też najlepiej sobie przypominam. Precyzja i pietyzm rysunków zawartych w zielnikach sporządzonych przez młodzieńca, który już wiedział, czym jest i do czego losy „tajemnicze, niewiadome moce”, władające życiem ludzkim i losami narodów, przeznaczyły go od zarania życia.

Właśnie to jest najbardziej uderzające w tym życiu — ta linia. Od pierwszego pociągnięcia ołówkiem w uczniowskich jeszcze rysunkach brzmi już ona jak muzyczna struna. Są utwory muzyczne poczynające się od jednej nuty — Polonez As-dur Chopina, Sonata h-moll Liszta — i w tej jednej nucie zawarte jest jądro

całego utworu. Gdy tylko tę nutę posłyszemy, wiemy, jak się dalej opowieść potoczy. Tak samo z jednej linii Wyspiańskiego rodzą się najbardziej pełne treści utwory.

I co jest najdziwniejsze, najgłębsze treści otwierają nam, zdawałoby się, najmniej „mówiące” obrazy. Dziewczyna gasząca świecę, dziewczyna w niebieskim kapeluszu, wreszcie zielniki i rysunki prawie geometryczne, schematyczne rysunki roślin — przemawiające do nas trwalej i wymowniej niż umieszczone obok nich na stronicach „Życia” młodopolskie poematy.

Nasza wizyta u Włodzimierza Żuławskiego trwała może dwie godziny. Nic mi to nie przeszkadzało, że pani Iza Kozłowska zrobiła, zdaje się, tak zwane „wrażenie” na Żuławskim i że dla niego oglądanie tych zbiorów było tylko pretekstem zawarcia znajomości.

Dla mnie przeglądanie papierów, szkiców, notat rysunkowych — czasami były to tylko ręce urwane ze zniszczonego przez kapryśnego artystę portretu — było przeżyciem bardzo głębokim i bardzo krakowskim.

Świadomość, że to są rzeczy pozostałe po wielkim pisarzu i wielkim malarzu, relikwie, które on miał w ręku, których dotykał, nad którymi pracował, znaczyła bardzo wiele. I jak teraz sobie myślę, moment, w którym nasza wizyta u Żuławskiego się odbywała, nie był tak bardzo odległy od daty śmierci Wyspiańskiego; dziś mi się wydaje dwanaście lat jedną chwilką. Te wszystkie rzeczy przed chwilą wyszły z ręki wielkiego artysty.

I chyba od tego momentu wizyty u Włodzimierza Żuławskiego wydaje mi się, że „nastrój” Wyspiańskiego jest rozlany jak gdyby w tym mieście, unosi się nad domami niby krakowska mgła, i widok na Błonie, na kopiec Kościuszki, nenufary i słoneczniki w kościele Franciszkanów są niejako wrysowane, w malowane — pastelami i temperą — w sam byt Krakowa.

A jeszcze kiedy się wie, że te dzieła drobne i wielkie rozproszyły się, znikły częściowo, gdzieś zginęły albo przechowywane są w tajemnicy, ma się do nich stosunek jeszcze intymniejszy, żyją jeszcze mocniej we wspomnieniu, w westchnieniu, w cieniach ludzi, których się pamięta i których tak samo nie ma.

I wielki witraż u Franciszkanów, ten niesamowity Bóg Ojciec, w którym odżyły echa wielkiego włoskiego renesansu, staje się symbolem tego zamieszkania twórczego ducha mistrza Stanisława w tym dziwnym mieście, w tym staroświeckim grodzie, który ma własny styl, ma własne życie, własną kulturę i swoje własne, takie urzekające wspomnienia.

1975

To samo z królową

Do przeżyć krakowskich w moim istnieniu należy zaliczyć także interesujący epizod przeżycia tu paru dni w towarzystwie królowej Elżbiety belgijskiej.

Przyjechała ona w lutym 1955 roku na Konkurs Chopinowski do Warszawy, a ponieważ ja byłem wtedy prezesem komitetu organizacyjnego Konkursu, byłem niejako gospodarzem tej imprezy. W tym charakterze witałem królową na lotnisku, odprowadzałem ją do Belwederu, gdzie zamieszkała, i towarzyszyłem jej prawie wszędzie.

Nie towarzyszyłem jej do kościoła Świętego Krzyża w Warszawie, które to nabożeństwo dało asumpt do powstania anegdoty, powtarzanej przez całą prasę europejską. Królowa miała mnie zapytać, czy jestem katolikiem, na co miałem odpowiedzieć: „Tak, wierzący, ale nie praktykujący”. A więc jest pan komunistą, miała pytać dalej monarchini. „Nie, nie wierzący, ale praktykujący” — miała brzmieć moja odpowiedź. Anegdota zabawna, ale nieprawdziwa. Puścił ją w obieg zapewne któryś z literatów, gdyż użyto w niej słów wypowiedzianych kiedyś przez Nałkowską, że jest komunistką nie wierzącą, ale praktykującą.

Wśród innych wycieczek zrobionych z królową była i ta wyprawa do Krakowa. Lecieliśmy samolotem, zamieszkaliśmy w po- austriackim skrzydle Wawelu, tam gdzie mieszkał Frank. Królowa była z damą dworu panią d'Avignon, z muzykiem, z mistrzem ceremonii, całym dworem. Na Wawelu było ciasno, umieszczono nas w jednym pokoju: mnie i ambasadora Krajewskiego, którego znałem z Brukseli, a który teraz stale towarzyszył królowej. Bardzo lubiłem Krajewskiego, jak również jego brata malarza, było w nich coś kresowego, swojskiego, naszego. Jeszcze w 1949 roku, kiedy miałem odczyt o Chopinie w Brukseli, poznałem go i chociaż ograł mnie fatalnie w brydża, co w podróży ze skromnymi zasobami nie należy do przyjemności, zachowałem o nim jak najmiłsze wspomnienie. A najzabawniej było nam przychodzić razem do sypialnego pokoju i rozpamiętywać wszystkie gafy, jakie w ciągu dnia popełniano. Nie przywiązywaliśmy do tego najmniejszej wagi (np. gdy zupę roznoszono w wazie, po rybie, i każdy sobie musiał sam nabierać) i z niektórych spraw śmieliśmy się serdecznie. Królowa specjalnie interesowała się grobowcem i historią Jana Sobieskiego, bo był to jej praszczur.

Przeżyłem z królową także wyprawę do Oświęcimia, która zostawiła duże wrażenie. Ja też byłem pierwszy raz wtedy w Oświęcimiu. Dzień był chmurny, zimowy bez mrozu. Mała królowa, cała ubrana na czarno, stała bardzo poruszona pod ścianą śmierci, a gdy przyniesiono wieniec, odebrała go od niosących go żołnierzy i sama przydźwigała pod ścianę, i ułożyła przy murze. Mała czarna osoba uginająca się pod ciężarem wieńca kwiatów pozostała mi na zawsze w oczach.

Gdyśmy wrócili na Wawel, Elżbieta, zmarznięta i wzruszona, łyknęła spory kielich wódki.

Oglądaliśmy z nią dzieła sztuki. Ołtarz Wita Stwosza był wtedy rozebrany i w jednej z sal Wawelu można było z bliska obejrzeć wszystkie szczegóły, które w ołtarzu złożonym umykają przed wzrokiem. Skorzystałem więc bardzo na pobycie królowej. Tak samo Damę z łasiczką można było oglądać w jednym z wawelskich pokoi.

Królowa niczemu nie darowała. Hasaliśmy z nią przez cały dzień po mieście. Wieczorem siedzieliśmy przy okrągłym stole w jej salonie, bawiąc się konwersacją i słuchając dalszego ciągu Konkursu Szopenowskiego przez radio. Wszyscy byli zmęczeni, tylko nie królowa Elżbieta.

Przemiała pani Ogrodzińska, która była polską damą do towarzystwa królowej, powiedziała mi po cichu, abym zajrzał pod stół. Uczyniłem tak i zamarłem. Pod stołem nogi wyrażały to, co ukrywały twarze nad stołem: dzikie zmęczenie. Damy pozrzucały

pantofle i siedziały w pończochach, a stopy męskie wyglądały jak po wielogodzinnej wspinaczce.

Ale Kraków był równie piękny w te dni zimowe jak we dni wiosenne przed równym ćwierćwieczem.

1976

Dojazd do Zakopanego

13. Zakopane (1936)

W wagonie duszno. Niechętnie podnoszę rozklekotaną rytmicznym turkotem głowę. W promieniu — ledwie iż go kawałek widzę przez rozrzuwione powieki — trzępią się przelotne pyłki. I duszno wciąż, nie mogę oddychać.

Wszystko — włosy, powieki, serce zdaje się zakurzone całonocną drogą. Na pół jeszcze snem napelniona tęsknota gna do

okna. Spojrzeć na dworze roześmiane. I oto, nim jeszcze potrafię ramę okienną — szerokie to jak lustro hetery — odciągnąć ku dołowi, to co biegnie za oknami, zdaje się jakimś gronem zielono ubranych dzieciaków. Wzgórki — może o tym pisało Pismo Święte? — płasają radośnie, a zielone są jak... no, do czego to porównać to, co samo już jest najśmielszą metaforą?

A potem wpada przez okno (wraz ze wzmożonym tętentem tętna pociągu) wiew, mający coś w sobie z lodu, z alkoholu, z zieleni i z kryształowej przejrzystości. Tylko że mieszanina ta nie upaja jak alkohol, oszałamia raczej jak piosenka wzruszająco prosta.

Bo są takie momenty: parę nut nagle uderza do głowy, zawraca ją, wzbudza wszystkie minione, najskomplikowańsze dźwięki i alkohole i nagle krystalizuje się, jak życie całe, w dwóch śmiesznych kroplach, zawieszonych na rzęsach. To samo pierwszych parę powiewów powietrza podhalańskiego.

Wychyłam się z okna i oto: jest ten wał siny, wieczny, wzruszający swą dobrotliwą powagą. Już są one, góry, Tatry, najpiękniejsze na świecie. A pociąg zwalnia, sapie, węszy, a brzegiem drogi biegają jakieś barwne płatki: nie rozpoznasz, czy to jastruny kwitną, poziomki dojrzewają, czy góralskie dzieci machają zielonymi wtkami.

Niebo

Utwór poniższy jest usiłowaniem możliwie ścisłego oddania w słowie formy sonatowej. Oczywiście nie mogłem tu zachować wymagań tonacyjnych i modulacyjnych, starałem się zaznaczyć je tylko, podając na przykład w pierwszej części temat drugi w tonacji „r”, w re- przyzie modulując do zasadniczej tonacji »”

I

Niebo otwarte, namiot błękitny. Gdy tłoczą dziwne przywidzenia i gniewają drobnostki, jedno spojrzenie w dzwonną przestrzeń zmazuje i zaciera krzywizny smętnych ścieżek, którymi codziennie zaznacza swoje namiętne panowanie. Ogarnia nudność zwyczajnego życia — ależ nad naszymi głowami niebo otwarte, namiot błękitny. Niebo siwiejące o wschodzie i młodniejące z ranka w dzień. Jakby sterany starzec odradzał się w młodzieńca, otrząsa ono noc i świeżość brzasku pić poczyna. A potem rośnie wzwyż, obłoki, ten szron rana, strąca i roztacza się nad nami — namiot błękitny. Festony jego, jak spadające fontanny niebieskości, aż ku nam przynoszą nieco szklanej barwy. W oczach naszych szmatki nieba jak niezwyčajne niespodzianki odbijają nieklamana radość — jedyną radość, która nie kłamie.

Jedno spojrzenie ku pierwiastkowi, który jak może, stara się rozradować, abyśmy się nie błakali jak stroskane owoce po strasznej pustyni; spójrzcie dobrze i długo w szafirowe rozciągnięcie gromadzące nad nami promienie radości. Uspokoi się serce roz- tkliwione i zahartuje na żarty niepogody; równina chabrów roz- barwi warownie szarych miast. Skrzydlaci obywatele krainy niebios z kranów promiennych rozbryzgują krople turkusowe, aż kontury wieżyc i kominów drgać zaczną prężącą się mocą lazurów.

Rano radosne i wieczór, zawierający ze skrzypem wrota warowni nieba na tle namiotu szafirów, mają uśmiech dla nas prosty.

Otwarte gromom, błękitne wieczorom, niebo rozciągnięte, roztworzenie na świat drobnych cudów; bo czyż szron rana, obłoki, które wciąż inaczej kształtują się, szare, puszyste, futrzane, nie rozpraszają naszej nudy szeregiem kosztownie zmieniających się pejzaży? Spojrzenie jedno ku tym szeregom szynszylowych owiec, rozszerzających swe władztwo nad niebem szafirowym aż po szemrzącą na horyzontach puszcę, wystarczy, aby szelest wieczności dobiegł do uszu naszych, zanurzonych w wodę szarzyzny.

Uśmiech prosty, sakrament smętnych dusz, schowany w fałdach fontanny niebieskiej, spływa ku nam: niebo otwarte, namiot błękitny. Tłoczą cię inne, mniej górne fantazje i drobiazgi samotności, zadumanej nad sennością nieruchomych tafli życia, jedno spojrzenie w dzwonną przestrzeń zniszczy krzywizny smętnych ścieżek; codziennie szlakiem tym samym idziemy znudzeni. W źrenicach naszych niebieskie kamienie, rozdrobnione na ułamki drobne, zamierają — oczyścić trzeba je otarłszy o niebieskość nieba.

Jedno spojrzenie ku niebieskiej konsze nieba naszym niezmiennym staje się pocieszeniem, abyśmy nie krążyli niewidomi jak piorunem oślepienie owce. Spoglądanie uważne i godzinne nawet kontemplacje z rozciągnięcia nad nami wytoczą drobne smugi uciechy — wielka dolina bławatków ucieszy granicę dzwoniących miast. Aniołowie uskrzydleni z wodociągów trysnąć mogą pogodę na opętane kominy i dachy smutnych zgromadzeń. Niebieskość, natężona do niemożliwości, wysączy się i padnie na uśmiechy smutku.

Niezmiennie obnażone rano i koniec dnia, odmykający wie- rzeje nocy, panny ciemnej, wstępującej pod namiot niebieski z pochyłą głową i dłonią na ustach, mają dla nas uśmiech naiwności, gdy niebu oddamy życia władny ton.

II

W nocy czarny płaszcz przykrywa je; na razie niewidzialne i niedoścignione, obejmować poczyna niezmierną mocą, pełne jest mocnego trunku, wpatrujesz się w nie, i zaczyna wsysać cię w lej przejrzysty, za którym szeleszczą jedwabne fale wieczoru. Ułóż się na kamieniu i patrz na zenit. Pomału utoniesz w niezmiernym oceanie, który cię nie zadławi, i owszem, ukoi. Kołysząc się z ziemią razem, ojczystą planetą, słyszysz wahanie świata. Płaszcz czarny nocy, który pokrywa niebo, napelnia i ciebie nieprzebraną ciszą. Chyba że ucho przyłożysz do ziemi; usłyszysz wtedy tętent życia, które jest twoim życiem.

Wrócisz doń zaraz; zapomnisz o niebie. Przedmioty, które cię otaczają, zajmują cię, rozerwą, rozproszą. Życie twoje nie sięgnie wyżej niż dach twojego domu; nie polecisz myślą wyżej niż szczyt topoli, która stoi przed twoim oknem; nie podniesiesz się wyżej duchem niż gołąb biały, który na gwizd twój z podniebia na ziarny grochu opada. Zaraz się ograniczysz. Bądź tylko przez chwilę tak nieskończony, jak niebo, ojciec twój, nieskończone jest. Spójrz.

W nocy płaszcz czarny przykrywa twego ojca; nocami nie widzisz go i nie dościgasz, ale obejmować cię poczyna niezmierną mocą, pełen on jest wina, które cię upoi, wpatrujesz się weń, i zacznie cię wsysać w lej duchowy, którym szeleszczą jedwabne fale wieczoru. Ułóż się, jak Jakub, głową na kamieniu i patrz w jego źrenice. Pomału utoniesz w niezmiernym oceanie, który cię nie zdławi, i owszem ukoi. Kołysząc się z ziemią-siostrą, córką twojego ojca, słyszysz wahanie wahadła świata. To serce twego ojca, który płaszczem nocy przykrywa niebiosy i ciebie napelnia nieprzebraną ciszą. I nawet kiedy ucho przyłożysz do ziemi, usłyszysz tylko tętent słów jego, które są twoim życiem.

Brzmi wicher, świst chmur, lecą, lecą, lecą; przez chmur wręby gwiazd świeci sznur, jak pogubione perły; kto je pogubił w wędrówce po czerni nieba, kto?

Może gwiazd snop rozsiał Bóg, może strącił je z swych szat, może lecą one w niewiadomy świat, może nie ma ich? Może wicher tylko je gna bezcelowy, lecą, lecą, lecą, gwiazd stada, gwiazdy jak żurawie, czy widzi żuraw-przewodnik świt, w który lecą?

Brzmi wicher, świst chmur, lecą, lecą, lecą; przez chmur wręby gwiazd świeci sznur; dokąd gwiazdy lecą?

I ja dokąd zmierzam, ptak oślepiiony, z jednej ciemności do drugiej lecający, nagle przykryty kopułą świątyni, która, wybita wiecznymi gwiazdami, zatrzymuje mnie na chwilę i każe zgadywać, kto ją gwiazdami okrył, kto mi gwiazd nasypał pełną duszę? Dokąd ptaki lecą w jesieni, dokąd idą liście spadające, dokąd odlatują obłoki na niebie, dokąd odchodzi serce ludzkie, które żyło w przymierzu z gwiazdami?

Brzmi wicher, świst chmur, lecą, lecą, lecą; przez chmur wręby gwiazdy błyskają jak pogubione dusze. Kto zgubił dusze, które wędrują po czerni nieba, kto?

Może Bóg strącił nas, błakających się, z swych szat, abyśmy odlecieli w przepaść, niewiadomy świat, a może nie ma nas? Może tylko wicher gna bezcelowy, lecą, lecą, lecą nasze dusze jak żurawie. Czy widzi świt żuraw prowadzący? Nie, noc, a ptaki lecą.

IV

Namiat najdroższego koloru, rozpięty nad naszymi głowami, jednolity, jak ż jednego turkusa wykuty, równy, podobny do równości, jaką mają oddychać nasze myśli, kiedy się przechadzamy ścieżkami ogrodu o dostałym lecie — to niebo, niebo niebieskie.

Zatoka niebiańska, pełna fiordów ukrytych, gór śnieżnych, które się budują i rozpadają w ciszy, jedynie po to, aby dać piękno przemijające i napaść oczy nasze, kiedy się przechadzamy łąkami zieleniejącymi o wczesnej wiosnie — to niebo, niebo błękitne.

Step różany okryty jak gdyby brzoskwinowym kwiatem, osypany puchem pachnącym, aż zdaje nam się, że to jakieś potrawy huryszek wonne i niedotykalne przepelniają złoty półmisek firmamentu, kiedy w czerwcowy poranek wschodzi bóg promienny — to niebo, niebo różowe.

Szara stajnia, pełna skłębionych, zagniewanych olbrzymów, którymi potężny wicher pogania, rozczesane grzebieniami Bo- reasza grzywy rumaków ją napelniają, a zdziczałe zwierzęta rzucają się na siebie, uderzają kopytami, aż dudnią lasy, w których chowamy się przed łoskotem — to niebo, niebo zagniewane.

Czarna czara, w której płoną nasze nienasycone dusze w postaci niedościgłych gwiazd, zamyka ona nas jak gdyby w onyksie, ale objijają się o nią nasze pragnienia niedościgłe i nieprawdopodobne — to niebo, niebo czarne, duszy naszej odbicie, duszy naszej wyzwolenie, duszy naszej zamknięcie wieczyste.

Muzyka gór

Helenie Roj-Rytardowej

Pamiętasz, kiedyśmy po raz pierwszy z gór schodzili? Było to dosyć dawno, ale przepierzenie mnóstwa drobnych i rozlicznie zabarwionych faktów oddzieliło nas od tamtych czasów. Zaszliśmy wtedy do karczmy, piliśmy Diwo, mając jeszcze w płucach resztki górskiego powietrza i głowy kamienne ze zmęczenia. Byliśmy po prostu ludźmi wracającymi z wycieczki, jak tysiące innych, i nie rozumieliśmy, dokąd idziemy ani w co wchodzimy. I nie chcieliśmy tego rozumieć.

W karczmie grała muzyka; jak zwykle, basy i gęśliki, chłopcy tańczyli zbójnickiego; posiedzieliśmy trochę, pogapiliśmy się i poszliśmy w dalszą drogę. Skóra na twarzy i obnażonych ramionach piekła, spalona wiatrem, poobtłukiwane nogi bolały i sen obciążał skronie. Minęliśmy ten czarodziejski świat, nie zatrzymawszy na nim zbytnej uwagi. Ale rzucony czar w sercu pozostał i wróciliśmy, ileż to razy wracaliśmy do tych rytmów, do tańca tego i do tej muzyki.

Gędźba to bowiem czarodziejska, złożona z nici różnorodnych, wplecionych w osnowę, podobną do kilima. Tyś w niej zawsze starał się rozpoznać echa czasów nieprawdopodobnie odległych. Jak gdyby ku tobie w niezmiernej odległości na skrzydłach tych tonów nadchodził orszak dawnych mieszkańców naszego świata. Echa tego świata gdzieś nad Wisłą się jeszcze kryją, w głębi Gór Świętokrzyskich — i tutaj, tutaj oczywiście. Dla mnie ta muzyka to znów perspektywa, ale przyszłych dni. Choć niby to myślę, że człowiek się nie zmienia i zawsze pozostaje jednakowy, ale serce mówi co innego, i wydaje mi się, że „nowy człowiek” będzie kroczył po ziemi, po naszej ziemi przy dźwiękach tej muzyki.

Wracaliśmy więc do niej. Było potem kiedyś weselisko. Buńczucznie, huczno, strojnie, radośnie. Konie, zdobne małymi piramidkami jodeł, jakże zabawne świecidła, jak barwne papierki. I przed nami na wozie ta sama muzyka. Bartuś stary grał melodię — myślę, że tą samą, której słuchaliśmy potem na złożonych parkietach paryskiej ambasady.

Ale jeden wieczór mam w osobiwej pamięci. Raz była noc księżycowa i błada, lejąca się poświata obdarzała własnym blaskiem sterczące przed nami wierzchoły. Pomiędzy gankiem a czernią regli lśniło białawe morze wzrastającego tumanu, które niebawem miało objąć nas i ukołysać. Muzyka Bartka wydawała mi się bardziej przenikliwa niż zazwyczaj i sabałowa słynna nuta cenniejsza. Podobna była do migotliwego, zębatego wieńca, który ktoś zanurzał w nadpływającej mgle, a on połyskiwał perłami, to znowu gasł, przytłumiony monotonną kwintą basu, jaka, podobna do owej mgły, poczyniała chwilami napępiać chatę, ganek, łąkę, góry wreszcie, starając się nas ukołysać w tumanie swoją naiwną monodią. W ten jeden wieczór zobaczyłem, że Giewont podobny jest do obalonego rycerza i leży, patrząc w miesiąc. I wtedy także wydało mi się, że najbanalniejsze legendy nabrzmiewają mocą i całkowitym znaczeniem. Było mi, jakbym po raz pierwszy słyszał o wesołych menestrelach, którzy chadzali — kto wie? — przy akompaniamencie tej naiwnej kwinty, z sabałową może na ustach, na gęślikach piosenką, przez rozkwiecione zielone łąki pod mury ciasnych miast, skąd łatwo odpowiadały im weselne głosy.

*

Ale to innym razem — mieszkałem kiedyś czas jakiś w zapadłej wioszczynie, hen, za Rabką, za Obidową Górą i nawet nie w wioszczynie, lecz w chacie, która wraz z drugą stanowiły placówkę ludzkiej pracy, wsuniętą głęboko w łono jarów, głęboko w porośl smrekowych lasów. Z okna tej chaty roztaczał się widok na morze ciemnej świerczyny, która zębatymi hakami wbijała się w lazur nieposzlakowanego w owo lato nieba. W dół schodziło się do strumyka, mała grobelka kamieni zatrzymywała pieniste

wody w tym miejscu, gdzie pod krzakiem jarzębin prałem bieliznę i kąpałem ciało, spalone słońcem upalnego czasu.

Zapomniano to był od wszystkich zakątek, tylko nie od samego Pana Boga. Tyle tam łask zlał on w postaci barw i kształtów, tylko w błogosławionej ziemi rodzą się tak wesołe ptaki, tylko w błogosławionej ziemi rodzą się tak dorodne kobiety. Dzięki jeno, w niezmiernej ilości żyjące w tych lasach, podchodziły nocami miesięcznymi do chat i do polan zamienionych w nie żyzne wprawdzie, ale wytrwale uprawiane pola. I terkotki, młynkowym zastawiane sposobem po wartkich strumykach, musiały chciwego zwierza odstraszać od nędznych łąków, gdzie kartofle i jęcz- miona wabiły dzicze podniebienia. Terkotki te w nocy, kędyś w głębi lasu odzywały się i dochodziły uszu budzących się ze snu niby pogłos wiecznego czuwania przyrody.

Tam to dowiedziałem się, że góry grają. Kiedyś, tak po wieczery, do białej izby, odstąpionej mi gościnnie przez gospodarza, przyszedł stary góral, który mieszkał jeszcze głębiej w obidowskim lesie i z rzadka tylko odwiedzał niższe okolice. W izbie upalne ciepło mieszało się z zapachem jodłowego dymu i ze swądem słoniny; jak zwykle na moich włóczęgach, smażyłem dorodne płatki tego przysmaku i pobrzękując widelcem w patelnię, słuchałem, co stary gada. Usiadł na ławie pod szklanymi obrazami. Suchy był w sobie, nos miał orli, ale oczy już przygasłe nie budziły się do życia ani na słowo „taniec”, ani na słowo „muzyka”. Gdy go zapytał o „złubcaki”, czy nie ma jakich starych instrumentów, odpowiedział niechętnie: „Albo to w górach potrzebna muzyka? Góry same grają!”

Słowo po słowie, pytanie po pytaniu — z jakimiz to trudnościami nie są połączone badania takowe? — dowiedziałem się, że góry mają swoją muzykę. Tylko trzeba o północy, najlepiej w miesięczne noce, ale można także i na nowiu, wejść w gąszcz zarośli górskich, czyli nawet na jaki wyższy wydrapać się szczyt. Tam, ucho przyłożwszy do ziemi na sposób archaiczny, albo i nie przykładając ucha, usłyszeć można, jak góry grają. Nie bardzo wyraźnie, ale trzeba dość cicho siedzieć i wsłuchiwać się długo. Wtedy się posłyszysz. A do kogo dojdzie taka muzyka, jak mnie uprzedził stary, to już jej nie zapomni nigdy, i będzie mu ona zawsze przytomna i w polu, i w lesie, i podczas roboty, i podczas zabawy. Chciałem się dowiedzieć, czy w mieście także owa muzyka będzie szła za mną i grała do ucha. Tego stary nie umiał powiedzieć.

Spytałem Anuśki, co mieszkała w tamtej drugiej chacie, czy słyszała kiedyś muzykę gór. Ale nie słyszała.

Właśnie była Święta Anna, uroczystość w górach, odpust w jakimś oddalonym kościele, wesele w sąsiedzkiej chałupie. Siostra Anuśki wychodziła za mąż i od tygodnia już przeszło mnóstwo się o tym weselu mówiło. Pieczono placki, chowano je do komory, brat jeździł już raz po piwo, ale w nocy jechał, coś go nastraszyło i nie tylko beczkę z piwem, wóz nawet na kamienistej drodze mu połamało w drzazgi. Pojechał drugi raz i po dniu wracał.

Wczesnym rankiem obudziła mnie już monotonna kwinta basu, późnym wieczorem jeszcze brzmiała za nami ozdobiona gzygza- kowatym ornamentem melodii, gdyśmy schodzili z Anuśką ku strumykowi. Postanowiliśmy bowiem, choć noc była ciemna na nowiu, posłuchać o północy ze szczytu Obidowej Góry, czy nie zagra nam lepsza niż w chacie muzyka.

Zeszliśmy ku strumykowi, brzęczał za nami trzmiel basetli, coraz słabiej dokuczając, nad strumykiem połączył się z nim i pokrył go brzęk wody. Kołatka na dziki stuknęła w łonie jaru. Led- wieśmy znajdowali ścieżkę i wspinali się w górę; znów echo strumyka gasło, a poczęła dolatywać muzyka basetli. Głos osamotnionego świerszcza mieszał się dalekim rytmem kołatki. Kiedyśmy w gąszczu świerkowym stanęli naprzeciwko chat, wyrzały one ku nam z przeciwległej strony parowu oczami oświetlonych okien i posłały za nami głos piosenki, śpiewanej mocnym, młodym głosem. Ale niebawem oddaliliśmy się, zaszyli zupełnie w noc, panującą pod namiotem rozciągniętych smrekowych ramion.

Na wierzchołku już była zupełna cisza. Ani nawet najdrobniejszy pogłos weselnej muzyki. Polankę, tworzącą szczyt, otaczała palisada drzew, a nad nimi gwiazdy. Granatowe niebo pachniało upałem, ale od ziemi, od kamieni, od drzew szedł lekki ciąg chłodu. Orzeźwił nas i gasił żar oczekiwania. Siedliśmy przy grupie skał i poczęliśmy się wsłuchiwać. Przytuliłem głowę do głazu, czułem twardiznę jego nie zgładzoną skąpą warstwą mchu i czułem rozszerzonymi nozdrzami zapach wilgoci, pomieszany z wonią kozłej skóry mojego serdaka i serdaka Anuśki. Nic nie słyszeliśmy, choć to północ była. Wziąłem ją za rękę.

Siedzieliśmy w milczeniu. Martwota kompletna poczyniała mnie napełniać lękiem. Cisza, w której zanurzona jest ziemia nocą, gdy się w nią pogrążysz, człowieku, przejmuję dreszczem. Milczenie ciąży jak kamień.

Ale gdy pilniej zaczął natężyć słuch, ułowiłem jakiś dźwięk nie zrośnięty z tą ciszą. Coś, jak gdyby rytm podskórnego życia ziemi przedostał się ściszony na zewnątrz, coś, jakby miarowe, choć tępe uderzenie sił wszechświata, które nigdy nie śpią. Nie poruszyłem się, słuchałem, rytm stawał się coraz wypuklejszy. Więc taka jest muzyka gór, pomyślałem, cicha miarowość wiecznego życia.

— Słyszysz — spytałem się Anuśki — słyszysz, jak tętni muzyka gór?

— To mi w sercu tak puka — odpowiedziała szeptem i położyła mi rękę na swej lewej piersi.

Rzeczywiście, to biło jej serce.

★

Dopiero później, kiedy byłem zupełnie samotny, posłyszałem muzykę gór. Dnia tego od samego rana nastawioną miałem wrażliwość na dźwięki. Jak odpowiadające sobie frazy okresu muzycznego wydały mi się dwie barwy: jasna zieloność łąk i ciemny aksamit smreków. Biel wapienia nad lasami miała gotową odpowiedź w szarości jeszcze wyższych granitów, a niebo, naprzód poranne, potem południowe, wreszcie czerwienią wieczoru splamione, obejmowało ten rytm nieskończoną ramą wiecznej materii, w której rodzą się i nikną dla uszu naszych dźwięki i współbrzmienia. Ale kto wie, czy giną na zawsze? Być może, trwają one wyryte w substancji świata i powracając czasem ku nam odległym echem, stają się muzyką sfer, brzmieniem „szklanej harmoniki”.

Był to już trzeci dzień samotności. Zmęczony i znużony włóczęgą bez sensu, która na celu miała jedynie może odwrócenie uwagi od rzeczy, jakie już mnie zajmować nie powinny były, nie wiedziałem, dokąd idę. Zmrok wynurzył się z nagich zarośli, gdzie niegdyś zieleniła się kosówka, i zimno nadchodzącego wieczoru zapaliło nad krawędzią zwieszających się nade mną nieznanymi skał wieczorną lampą Hesperusa.

Zabrąłem wtedy na jakieś zbocza i ukrocia, ciemność zapadła, zbłądziłem i nie chcąc spać, ułożyłem się na noc pod kamieniem.

Sen nie nadchodził. Noc nie była chłodna, ale chciałem czuć. Czekałem na północ ową i ową muzykę. Martwiałem w miarę, jak się zbliżała, i czułem, że chłód przesuwa się z kończyn ku sercu. W oczach mi zbiegło i zamiast cienia dookoła, widziałem wielkie promieniste gwiazdy, które krążyły ruchem harmonijnym; w uchu moim rozległo się wołanie nocy, sowy mądrej świata, splecione z dźwięków strumieni, które przed chwilą jedynie jeszcze świadczyły obok mnie o życiu, z echa weselnej muzyki, góralskiej muzyki, monotonnej, żałobnej muzyki, i z bicia serca, mego serca, twego serca, serca Anuśki, serca całego świata. Przyszła.

Wypaliła mnie, wytrawiła, przeżarła. Ukazała przepaść samotności ludzkiej. Miał rację stary. Trudno jest zapomnieć o tej muzyce. Teraz nawet, gdy idę ulicami miasta, towarzyszy mi, idzie za mną, mówi do mego ucha i w graniu swoim miesza wyrazy życia ze słowami śmierci. Bo tutaj, w dolinie, nie rozpoznasz, gdzie śmierć, a gdzie życie. Gdzie jedno się kończy, gdzie drugie zaczyna. Ale góry leżą na granicy tych dwóch państw obszernych i straszliwych, i w ich muzyce, którą podśledzał niegdyś stary góral, splata się cyprys z dębiną w przenikliwą melodię. Nie zapomni tej piosenki, kto raz ją usłyszał.

Nocleg w górach
Stanisławowi Rothertowi

Cisza nie zawsze bywa jednakowa. Różnie brzmi. W stosunku jej do dźwięków, które przed nią panują i po niej następują, zawiera się jej treść i jej harmonia. W mieście latem, gdy ciężar gorącej nocy nie da ci zamknąć oczu, pomiędzy ostatnim klapaniem kopyt końskich o nierówny bruk a pierwszym turkotem węglarki nastaje moment krótki, gdzie zapada się człowiek jak w ciemną i upalną przepaść. Bezsenność przemożna nie odchodzi daleko, czuwa w kącie pokoju, by spaść jak pszczoła z żądłem strzelistym przy pierwszym ciężkim odgłosie, mącącem ciepłą ciszę.

Albo cisza przyjazdu: kiedy z wagonu wychodzisz na peron wiejskiej stacyjki i przesiadasz się do bryczki, która furkocząc zatoczyła koło, już czujesz ją: czeka na ciebie w przedwieczornym zapachu seradeli, w szmerliwym dreszczu akacji przystacyjnej, w lekkim gruchotaniu oddalającego się pociągu. Ale dopiero kiedy wejdiesz do zamożnego pokoju (na piętrze), pomiędzy płócienne pokrowce, świeżo zasłane łóżko, parę starych fotografii, które się zawsze wynosi do „gościnnych pokojów”, i otworzysz okno, aby wpuścić nieco świeżości do zamkniętej z dawna przestrzeni — wchodzi ona dzwoniąca, pełna zapachu, pieszczotliwa, ledwie, ledwie przerywana brzękiem jakim stajennym, tupnięciem konia, szczeknięciem psa, aby potem, w miarę jak się niebo zaciąga kotarami, ogarniać się najwyższą pieszczotą, ciszą ziemi.

Ale niezemskim czymś, pozaziemskim raczej zdaje się to milczenie, które nie ogarnia już ciebie, a zwyczajnie dławi wśród gór. Złomiska skalne, zdaje się, nim zioną, oniemiały od dawna i zło dowadziały szczyty osypują się, opadają w dół niby ręce, zmęczone błaganiem, a woda mruczająca za dnia, w nocy mdleje z przerażenia pomiędzy twardziną kamienia a bezlitosnością nieba zawieszona. Z załomu każdego, z każdego źdźbła zrzędiałej trawy podnosi się owa niemota, doliny senne, i zda ci się, że to brak powietrza jest przyczyną, iż dźwięki, jak w przestrzeniach międzyplanetarnych, przychodzą na świat martwe; w martwocie owej słońce powoli gaśnie jak czerwona kula, tocząca się bez promieni wzdłuż horyzontu; i zsypane na dolinę szare sześciany pokrywają się przez chwilę różem, jakby nowym mchem, który się miesza z zielonymi, zgniłymi liszajami w symfonię, pozbawioną życia; strumyk, który tuż przy tobie szeptał niedawno sucho, zamiera, i ledwie przyłożywszy ucho prawie do małej, czarnej tafelki źródelka, usłyszysz bełkot, jakby z dna ziemi idący ku tobie, któryś się tu zabląkał.

Gdy się podnosisz, granice między światłem a cieniem gór się zatarły: zostajemy na noc.

Z decyzją tą i cisza się odmienia. Beztreściowość jej i głuchota przeobraża się z wolna w jakąś zwartą treść, na razie niezrozumiałą. Jest tak, jakbym otworzył księgę mądrości, pisaną pismem barbarzyńskim, wiem, że znaczenie jej zapewne wzruszyć może, a i nawrócić nawet, ale dzikie charaktery nie mówią nic. W milczeniu więc ją odkładam, z niechęcią biorę się do zwyczajnych nocnych przygotowań.

Watra furkocze niebawem i złoty krąg ognia w cieniu nawisłej góry błyszczy, mimo że niebo jeszcze jasne ma zimny kolor chry- zoprazu. Odchodzę od ogniska i od towarzystwa. Sięgam do jakiejś przełęczy i spoglądam w obie strony — dwie jamy ciszy. Z jednej uciekły już blaski życia, ledwie gdzieniegdzie ułowisz w szarzyż- nie zarys wypuklejszego kamienia; szarość zalewa jak przedwiekowe morze drobniejsze szczyty i wypukłości. Druga, na pół przekreślona czarną Unią grzbietu, wyląda jak ekspresjonistyczny drzeworyt. Siność i mgielka oddalenia u jej wylotu zgromadzone są jeszcze barwą. Wszystko inne jest ciszą.

Dopiero kiedy kolor lapis-lazuli, ten przyćmiony błękit, pokrywa przepaść nade mną i w przepaść pode mną zsypuje granatowy proszek nocy, ciszę napelnia szelest. Jest to szelest, jak gdyby gdzieś za płaszczem uciekających szafirów przewracała się karta księgi; tak jest — powoli otwiera się Zend-Awesta, pisana diamentowym ołówkiem wtajemniczonych.

Olbrzymy-dżynny zaludniająca mitologię arabską, mają podobno ten szelest skrzydeł, który aczkolwiek nie da się uchem ułoić, dostrzega się po lekkim dreszczu, jaki przebiega skórę człowieka. Na przełęczy górskiej, pomiędzy światem umarłych głązów dreszcz ten czułem. Olbrzymi dżynn — noc niosła się niebem, coraz szafirowszymi skrzydłami poruszając; skrzydła te to karty księgi, otwierały się one, i czytałem na nich złotymi głoskami słowa: „Gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy...”

Nic innego wyczytać nie mogłem. Jedyne to słowo zawierało w sobie treści więcej niż wszystkie inne, razem zebrane. Rozciągnęło ono złocisty niewód o tysiącu oczek przez cały firmament ułatwiając mnóstwo moich uczuć, które jak tłum much poczęły się cisnąć, aby sfrunąć mi z ust. Żalność wspomnienia, to słodkie i piekące uczucie zarazem roztkliwienia, albo nagle przypomnienie męskiego uniesienia i chłodu w chwili decyzji — wszystkie one jak cienie górskie przepłynęły i uleciały, aby pozostawić we mnie ciszę, siostrę ciszy górskiej. Jak dwa połączone naczynia, zewnątrzność i wnętrze moje napełniły się zapachem zimnej wody i górskiego liszaju. Odeszły ode mnie uczucia i wspomnienia uczuć i dusza moja znalazła drogę do duszy wszechświata.

Znalazła drogę, ale jeszcze nią nie szła. Wahała się. Jak zakonnica, która ma pierwszy raz wejść do kościoła, aby uczynić kładące kres jej życiu śluby, stanęła w progu i zajrzała w oblicze milczenia niczemu nierówne. Wyciągnęła ręce i trzymała je przed sobą blade, oświetlone jeszcze zimną zielenią zachodu. Słuchała.

Cisza na zewnątrz zdawała się gęstnieć. Stawała się płynną, opływającą ciszą, przestała dławić, spadać na głowę; obejmowała czymś szerokim, jak gdyby w każdym jej kroku ogarniającym wszechświat, drżała nuta sferycznej harmonii. Naciągnięte już struny milczenia naciągały się do niemożliwości i dalej już mogły pęknąć w każdej chwili. Ale nie — siatka gwiazd, ułowiwszy moje wszystkie uczucia, zabrała i nadmiar ciszy, uniosła ją aż pod sam strop firmamentu i umieściła w kształcie różnej w szafirowym kryształce tarczy.

Serce, ściśnięte lodową dłonią, znowu zabiło. Dusza przestąpiła próg wszechświata. Zamknąwszy oczy, słuchałem szumu oddalającej się świdrem ku górze ciszy. Cóż po niej zostanie?

Nie uleciała, znowu nabrała innej treści. Zbliżyła się jak jaka dobra beztroska osoba, matka, żona; oparła się o moje plecy,

O czoło, o oczy; z wyrozumiałością mówi dobrotliwe wyrazy, których znaczenia nie zrozumie nigdy, jak nie rozumiałem przykazań mocy czy zaklęć na życie, jakie mi mówiła przed chwilą, w odmiennej przychodzącej postaci.

Jeżeli niedawno słowa jej były jak epos czarno-światliste, teraz stały się bajką, opowiadaną o szarej godzinie. Roztkliwienie

I czułość tej godziny dawno mi obmierzły. Pragnąłem się otrząsnąć z szarego płaszcza, którym mnie owijała. Ale na próżno: łatwe wspomnienia dzieciństwa poczęły przychodzić ze zwyczajną biegłością, wyraźne, określone i ograniczone czarnymi konturami.

Ale wszelkimi siłami starałem się rozodrzeć to pasmo, motek szarej włóczki, który na samotnej przełęczy chciał mnie omotać dobrocią beczynności.

I wówczas zdecydowałem się na krok stanowczy i przemykając się przez korytarz, jaki jeszcze mnie przed chwilą dzielił od świata, uczułem, jak cisza z czulej mateczki staje się naprawdę matką, wielką i jedyną matką.

Zawarte przed chwilą tajemnice otwarły się nagle i zupełnie po prostu — bez piorunów, a ogarniająca zewsząd szarość przestała być szarością, przestała być w ogóle barwą.

Wstając z dolin mgła drobnym obłoczkiem (jedynym) przemknęła po zatartym zboczach i unosząc się ku górze, przeszła niedaleko ode mnie. „Będzie jutro deszcz” — pomyślałem powierzchnią duszy, słowami, czując jednocześnie, jak zawieram braterstwo nierozzerwalne z tym, co pod słowami leży nie wyrażone i nigdy nie dostanie się na powierzchnię, podobne do utajonej żyły drogocennego metalu.

Deszcz może padać wraz ze mną na ziemię, gdyż oto powoli, w miarę jak stapiam się z ciszą, staję się rosą, obłoczkiem, kroplą wody; staję się kamieniem, rośliną, węzłem; staję się cyfrą, miarą, objętością; drugim, trzecim, czwartym wymiarem. Deszczem zlecę ku świerkom nastroszonym jak żebra w dolinie, z kroplą wody zieloną opłynę sikkawy i kaskady, z żarem słońca spadnę na źdźbła zielom i uwieszony na długim jęczyczku trawy, potrafię umierać błędzącym uśmiechem, jak czyni to kropla rosy.

Umarłość ciszy bowiem, podzielona na tysiące głosów bożej fugi, rozwidła się i rozdważyła jak skomplikowana melodia i rozpoznanie tej zawilej gęstwiny równa się szczęściu najwyższemu. Oto jestem i palcami czuję nie dotyk zimnej skały i nie prąd lekkiego

I powietrza, ale trzepotanie się duszy świata, która wchodzi we mnie jak w dawno łaknącą próżnię z lekkim łakomym świstem, jak powietrze do gumowej opony.

Poczyna mnie wypełniać i rozdymać słodyczą, podobną do górskiego powietrza, które jest chłodne i smakowite. Cisza przez to nie jest już na zewnątrz mnie i dookoła, nie łasi się jak uległa charcica, nie lęka jak pachnąca peri, ale poczyna mnie napęlniać. I staję się jak kościół Boży o zmroku pusty, oparty na zimnych filarach. Sam sobie wydaję się olbrzymi, i powoli odsłaniają się uciekające ku górze welony, okrywające wieczną lampkę oliwną mego serca. Wypełniam się po brzegi podniebnym lodem milczenia, wypełniam się po brzegi milczącym śpiewem wszelkiego stworzenia, i tylko z lekkim skrzypieniem otwierają się najtajniejsze i najgłębsze wrota.

W kościele moim pod kopułą gromadzą się tłumy radosnych aniołów, podobnych do przejrzystych postaci rusafek; a z każdym uderzeniem serca człowieczego umiera cios cielesności, wymierzony w piersi boskiego milczenia. Toteż zamiera ono z każdą chwilą, ściska się, przypada do mokrych od rosy kamieni i jak niedawno strumyk, przerażony nocą, ucicha prawie; tylko, gdybyś ty przyłożył ucho do mojej piersi, usłyszałbyś, że bije jeszcze, ale już dogasa. Wołają na mnie — kartofle już się upiekły. Oto dopiero prawdziwy i ogromny szelest, podobny do huku lawiny. Spłaszczona cisza ucieka na dobre.

Zakopane i ja

Anna Świderkówna we wstępie do swoich Helleników przypomina powiedzenie profesora Tadeusza Zielińskiego, a właściwie mówiąc świętego Augustyna, że „człowiek tyle jest wart, ile jest w stanie kochać”. Jeżeli chodzi o mnie, to chyba dużo jestem wart, bo byłem w stanie kochać wiele. Jednym z wielu kręgów, które otaczałem niezmiennie uczuciem przez długie lata, było Podhale i Tatry, a co za tym idzie — Zakopane. Głęboką miłością obdarzałem te góry, ten pejzaż, „pawiookie stawy”, góralską muzykę, ludzi, którzy tam mieszkali. Teraz już nie kocham Zakopanego ani Podhala, ani tego pejzażu. Nie ma już Zakopanego, nie ma górskiej ciszy, nie ma tych nietkniętych lasów, samotnych polan. Umarł już dawno Bartuś Obrochta i Wojtek Wawrytko, i Staś Mierczyński, i Karol Stryjeński, i Karol Szymanowski, i Miecio Rytard, i Staś Witkiewicz, i August Zamoyski, i cudowna kobieta, Ela Rytardowa. Czyż nie powiedziałem prawdy, że „wszyscy umarli”?

Ale z tamtych ukochanych czasów tyle zostało, tyle wspomnień, tyle rzeczy w naszej sztuce, w naszej kulturze — zostało tyle rzeczy nieśmiertelnych, w których zawarło się to, co „warto było kochać”, a co przeminęło zostawiając głęboki ślad.

Teraz to nawet trudno sobie wyobrazić, jak to było, że to było tak proste, tak naturalne, że mówiło się: „Karolu, pożycz mi dwadzieścia pięć złotych”, albo „Stasiu, daj mi tę listę prawideł, jaką wywiesiłeś w ubikacji w twoim hotelu”. I że ten Karol to był „wielki Szymanowski”, a ten Staś to był „wielki Witkacy”.

Byłem całkowicie przygotowany na wchłonięcie tego świata,

kiedy w czerwcu 1919 roku po raz pierwszy wysiadłem z Miciem Rytardem na stacji kolejowej w Zakopanem, skonany, zmęczony po całonocnej jeździe z Krakowa w trzęsącym wagonie trzeciej klasy, nie orzeźwiony kuszącym wołaniem, rozlegającym się w nocnej ciszy na stacjach w Suchej, w Chabówce: „świeża woda, świeża woda”, tym cudownym krakowskim akcentem. Czytałem już i Skalne Podhale, i Różę bez kolców Urbanowskiej, słyszałem od mojej matki opowiadanie o podróży w odwiedziny do ciotki Heleny Kruszyńskiej, której mąż był lekarzem w Zakopanem — gdzieś w roku 1894 — wiedziałem o Chabówce, o furce, o góralach. A przecież była to niespodzianka.

Było zimno i pusto, w Zakopanem pustka, brak jedzenia, przytułek w oficynie „Sienkiewiczówki”, gdzie już mieszkała moja siostra, i śniadanie składające się z mleka i białego sera. Chleba nie było. Mimo to zaczęły się wycieczki bardzo pamiętne — Zawrat, Swinica, Morskie Oko. Narzuciły one od razu styl moich wypraw górskich: były to piesze dalekie spacer, bez wspinaczek i wyczynów. Spacer, trzeba przyznać, spore, nie tylko w Tatrach, ale i w Alpach, i w górach tyrolskich, i w Bawarii, wyczyny dość osobliwe, jak spacer z Salzburga do Innsbrucka.

Po tym pierwszym, dość prymitywnym, wypuszczeniu się do Zakopanego przyszły wyjazdy coroczne, albo i dwa razy do roku, zrazu z przyjaciółmi. Potem z żoną, która też bardzo kochała Zakopane. Kocha je nawet teraz.

Z tych wypraw pamiętna w roku 1921, przejście grzbietem od Kominów Tylkowych do Orlej Perci i do Morskiego Oka przez przełęcz nad Krzyżnem. Trwało to trzy dni, z jednym zejściem do Zakopanego z Kasprowego Wierchu, który był wtedy jednym z Czerwonych Wierchów i niczym specjalnym się nie odznaczał. Gdy zszedłem z Liliowego do Hali Gąsienicowej, czyhał na mnie los w postaci Romana Jasińskiego, który siedząc przed schroniskiem Bustryckich wygrywał coś na ustnej harmonijce. Od tego spotkania i znajomości z Romanem zależało całe moje życie, ale to tu do rzeczy nie należy, opowiedziane jest na innym miejscu. Murowańca jeszcze nie było. Dopiero Bednarski opowiadał, jak to będzie wspaniale...

W roku 1922 byłem już tu z żoną. Nocowaliśmy u Bustryckich, a rano przyszedł z dołu Micio ze swoją Elą, która jeszcze nie była jego żoną. Mała dziewczynka u Bustryckich powiedziała: „A przecie to jest Helka Rojówna”. Rzeczywiście to była Helka Rojówna, przez którą sięgnęliśmy w rodzinę Rojów i nawet Roj- cyków. Dość głęboko w sagę rodów zakopiańskich.

Nocowaliśmy potem w szałasie u wejścia do Ciemnych Smreczyn, cały dzień włóczyliśmy się w zarośniętej kwiatach Niewcyrcie u stóp Krywania i spaliśmy w schronisku w Ciemnych Smreczynach. Zaskoczył nas tam całodzienny deszcz. Nie wiedzieliśmy, że ten deszcz po tej stronie Tatr to obfity śnieg. I schodziliśmy potem przez Wrota Chałubińskiego po pas w sypkim śniegu, ale z widokiem na Morskie Oko. U stóp Mnicha wyrwaliśmy sobie z Miciem resztki znakomitej połędwicowej kielbasy, którą się kupowało w małym drewnianym pawiloniku na rogu Krupówek i przecznicy. Była to resztką naszych zapasów, które się dość nagle skończyły. Panie tej kielbasy nie jadły, bo już cuchnęła.

Wtedy w Zakopanem już byli ludzie. Bardzo było przyjemnie wrócić do hotelu (mieszkaliśmy wtedy u Karpowicza), przebrać się prawie po wieczornemu i zejść na werandę na kolację. Weranda była wspaniała. Kogóż tam nie było!

A więc przede wszystkim Karol Stryjeński. Cóż to za miły był człowiek! A z nim ważne rozmowy: o plastycznym kształceniu młodzieży (szkoła drzewna w Zakopanem), o sztuce drukarskiej, i najważniejsze, o planach przebudowy Zakopanego. Biedny Karol martwiłby się teraz, chociaż niektóre jego pomysły są nadal treścią jakże okropnej „przebudowy” Zakopanego. Na przykład on pierwszy zwrócił uwagę na tak ważny punkt, jak Głodówka. I zbudował tam pierwsze schronisko.

A potem Witkacy. Bałem się go, imponował mi mądrością, swoimi filozofami, których pożerał, swoim wisielczym humorem. Ale czułem to, co się w nim dzieje. Właśnie w tym 1921 roku, latem, musiałem przepatrzeć z Witkacym wszystkie sztuki, aby wybrać coś na Warszawę, do tworzącego się teatru Elsynor. Najbardziej wydawały się odpowiednie na początek Nowe Wyzwolenie, Wariat i zakonnica, Pragmatyki. Jak wiadomo, udało się zrealizować tylko Pragmatystów.

Właściwie mówiąc dążyłem do stworzenia Elsynoru tylko po to, aby zagrać Witkiewicza. Po zrealizowaniu Pragmatystów nie mieliśmy już nic do wyboru. Bardzo wierzyłem w Witkacego nie filozofa, nie malarza, o powiesiociopisarzu nie wiedziałem, ale wierzyłem w dramaturga. Byłem w tym bardzo odosobniony i sprawa Elsynoru nie była ani łatwa, ani jednoznaczna. Zrodziła się jednak w atmosferze Zakopanego.

W Witkacego wierzył także Rytard. Artykuł Witkacego o Wniebowstąpieniu Rytarda, drukowany w „Skamandrze”, urodził się z tej wzajemnej adoracji. Niestety, Rytard nie miał cierpliwości, zawiódł nas wszystkich i jako malarz, i jako pisarz.

Moja literatura była czymś przestarzałym i zacofanym i mało się o niej mówiło. Oczywiście i Nocleg w górach, i Muzyka gór narodziły się z tych spacerów i górskich trwał. Wielki przełom w mojej twórczości, to znaczy powstanie Panien z Wilka i Brzeziny, zawdzięcza również bardzo wiele Zakopanemu: rozmowom z Szymanowskim, Uniłowskim, Witkacym. Brzezinę pisałem

1 skończyłem w „Atmie” na piątku. Pisząc ostatnie strony tej powieści słyszałem, jak na dole Karol przy swoim pianinku komponował Pieśni kurpiowskie. Wziąłem od niego tekst pieśni, którą Malina śpiewa umierającemu Stasiowi.

Nie tylko ze Stryjeńskim poruszaliśmy sprawy urbanistyki i architektury. Była taka zima — nie pamiętam już, która — kiedy w sąsiedniej Bukowinie mieszkała wspaniała gromadka studentów Politechniki Warszawskiej. Odwiedzaliśmy ją z Rytardami, bywali i oni w Zakopanem. Wystarczy chyba, gdy wliczę ich nazwiska. Byli tu między innymi: Włodzimierz Padlewski, Jerzy Hryniewiecki, Zbigniew Karpiński, Tadeusz Sieczkowski, Roman Sołtyński (Afryka Południowa), Stanisław Dziewulski, Stanisław Marzyński, Piotr Lubieński itd., itd. Brakowało Macieja Nowickiego, ale mówiło się o nim. Jerzy Liebert mieszkał wtedy na Bukowinie, odwiedził mnie u młodych architektów. Był pełen podziwu dla ich inteligencji i wykształcenia, a on się przemknął między nami jak jasna smuga, jak promień ze świata poezji.

Wielokrotnie — i trochę improwizująco — pisano już o znaczeniu Karola Szymanowskiego dla Zakopanego i Zakopanego dla Karola. Wołają: „Atma”, „Atma”. Oczywiście „Atma”, mieszkałem tam nawet u Karola, asystowałem przy niejednej „wielkiej” rozmowie — i wielkiej popijawie. Ale dla mnie najbardziej intensywne wspomnienia o Karolu połączone są z „Limbą”.

„Limbę” odkryliśmy z Ry tar dem. Należała ona do jednego z Rojów i stała (stoi do dziś) za pocztą. Właściciel „Limby”, trochę narwany, był ożeniony z ceperką i z tego tytułu miał pianino w domu. Zasygnalizowaliśmy to Karolowi. Zamieszkał więc u Roja.

Rzecz dziwna. Z „Limby” mam więcej muzycznych wspomnień niż z „Atmy”. Była to jeszcze epoka, kiedy mój kontakt z Karolem był bliższy, kiedy jeszcze tkwiła w nas atmosfera rozmów elizawetgradzkich i odeskich, atmosfera, z której wyłaniała się nasza współpraca. Tu, w „Limbie”, męczył się nad instrumentacją i wykańczaniem Króla Rogera, tutaj ciągnęły się też nieskończone pertraktacje i rozmowy pomiędzy mną, Karolem i Rytardami dotyczące pomysłu Hamasi. Nie do uwierzenia, jak długo ciągnęły się te projekty i jak odmienne przybierały kształty.

Tutaj Ela śpiewała Karolowi różne góralskie „nuty”, które potrzebne były mu jako uzupełnienie muzycznych posiadów na Żywcańskim z kwartetem Bartusia Obrochty i narad ze Stasiem Mierczyńskim nad Muzyką Podhala. Tu też Ela śpiewała ten cudowny motyw, podobno wprowadzony przez księdza Stolarczyka, kościelnej pieśni Przed tak Wielkim Sakramentem, którą na tę melodię śpiewa się tylko w Zakopanem. Echa tego motywu brzmią

I w Stałał Mat er i w Litanii, i o dziwoł w drugiej części IV Symfonii Szymanowskiego.

Zakopane zaludnione było wtedy pięknymi ludźmi. Z kobiet żony skamandrytów zwracały powszechną uwagę (Rytardową do nich zaliczam). Ze starszych pań przepiękna była pani Szczeniowska z Marylom. Wśród mężczyzn piękny Jaś Pawlikowski i bardzo do niego podobny Staś Mierczyński. Wśród górali prym trzymał wspaniały, okazały, družba Rytarda, Wojtek Wawrytko, narzucając wszystkim swą potężną cielesność, to, co matka Julien Greena z taką pogardą nazywała „the body”.

Ale te piękne ciała i brzydka wódka to było trochę za mało, aby stworzyć demonizm zakopiański. Mimo Sonaty Belzebuba był to zawsze demonizm zaściankowy. Wszystkie damskie demony stolicy Podhala były wątlej postury i mizernego wyrazu.

Cóż więc dziwnego, że kiedy „czas nachylił się ku wieczorowi”, gdy skończyłem lat sześćdziesiąt, chciałem po raz ostatni „spojrzeć na Tatry”, tak jak to w młodości opisałem w moim projekcie sześciu sonetów.

Postanowiłem zwyczajnie przejść piechotą od Krakowa do Zakopanego. Z początku miałem trudności ze znalezieniem towarzyszy tej wyprawy. Ale kiedyś na jakimś wieczorze autorskim w Lublinie udało mi się namówić czterech studentów KUL-u i przy ich pomocy, i w ich uroczym towarzystwie doprowadziłem ten zamiar do skutku. Było to w lipcu 1955 roku. Dwóch z tych moich towarzyszy straciłem z oczu, dwóch innych mieszka w Warszawie. Jest to poseł Stanisław Rostworowski i redaktor Wojciech Janicki! Ta trzydniowa podróż była niezapomniana, a widok z Obidowej na Tatry, nie z samochodu, nie z wózka, ale z męczącej szosy mierzanej ludzkimi stopami, zupełnie niesłychany.

Do Zakopanego przyszedłem nazajutrz po pogrzebie Eli Rytardowej. Byłem zaraz na jej grobie na starym cmentarzu, sezon pogrzebów był w pełni, a na starym cmentarzu sami znajomi. Choć brakuje tu najważniejszych, Karola i Witkacego.

Widziałem także raz Tatry, skąd już teraz się ich nie zobaczy. Było to w początkach maja 1935 roku. Byłem we wsi Mogiła, kiedy kwitły jabłonie i oracze wyszli w pole. Na horyzoncie stało równe, zupełnie białe pasmo Tatr, na tle bładoniebieskiego wiosennego nieba. Góry zdawały się tuż, tuż, bliskie i namacalne. Nie było między nami wież Krakowa ani pól, ani lasów, tylko na pierwszy rzutek kwitnące obficie jabłonie, a na horyzoncie to śnieżne pasmo, na którym spoczywały oczy tylu niepospolitych ludzi. A teraz tych ludzi już nie ma i tego widoku nie ma.

Są nowi ludzie. Dla nich nowe — i jakże palące zagadnienia polityki, urbanistyki, ochrony przyrody. Gdzie tam biedna muzyka i literatura mojej młodości!

Dolina Moszczenicy

Moje podróże do Łodzi zacząłem bardzo osobliwie, bo przede wszystkim poznałem okolice Łodzi i to bardzo szczegółowo, a potem dopiero wyprawilem się piechotą do miasta.

Okolice Łodzi są bardzo malownicze i w niczym nie przypominają miejscowości podwarszawskich. Ja dostałem się od razu w okolice rzeki Moszczenicy.

Uroczą tą, płaską zresztą, dolina do dziś dnia mało się zmieniła i zawsze pozostaje taka pełna wdzięku, jak była wtedy, w roku 1911.

Rzekę Moszczenicę, wąską, ale czystą rzeczulkę, poznałem od początku chyba, od Nowosolnej aż do Strykowa. Dopiero za Strykowem Moszczenica rozszerza się trochę i dziarsko zdąża do Bzury i razem z Bzurą wpada do Wisły pod Wyszogrodem. Ale ja znałem tylko górny bieg Moszczenicy.

Prześliczne stawy na łąkach byszewskich noszą nazwę Źródła, ale to chyba nie są źródła Moszczenicy w dosłownym znaczeniu. Zaczyna się ona nieco wyżej, właśnie pod Nowosolną, która w o-wych czasach była wsią niemiecką, kolonizacyjną, i wybitnie różniła się swą architekturą od wsi polskich.

Dwór w Byszewach przysiadł właśnie na łąkach nad Moszczenicą. Stary to był dwór, a dawniej zakładali dwory na miejscach niskich, żeby ogrody się udawały.

Ale ogrodu żadnego już nie było, kasztanowa aleja, piękne drzewa orzechowe — a reszta to sosnowe zagajniki. Z ganku dworu w Byszewach widać było wierzby wzdłuż rzeki sterczące — była to droga do kościelnej wsi Skoszewy. W połowie drogi między

Byszewami a Skoszewami dolina się obniżała. Tam też był staw dość głęboki ze starym młynem. Staw nazywał się Poperka, był czarniawy od olch zarastających brzegi i miał kamieniste dno. Osypała się tutaj jakaś kamionka.

Woda tu była żółta, ale przejrzysta. Widać było między kamieniami raki, które wypełzały o zmierzchu. Były olbrzymie. Łapaliśmy je przemyślnym sposobem na kije, do których przywiązywało się żabie trupy odarte ze skóry. Widać było jak rak wypełzał z nory i zanurzał szczypce w mięśnie żaby. Wtedy trzeba podstawić woreczek-podrywkę, obliczając na efekt przełamania się promieni w wodzie, i zręcznie strząsnąć raka do podrywki. Dochodziłem w tym do wielkiej wprawy.

A tych raków tam widać nikt nie łowił od niepamiętnych lat, były takie ogromne. I mieszkaly tam w tych szarych kamieniach i w białych chmurach, które odbijały się w żółtej wodzie jak w lustrze.

Poperka miała jakieś swoje odpływy do Moszczenicy. A po obu stronach doliny widniały lasy i zagajniki. Wśród zagajnika strzelał niespodziewanie w górę gotycki lasek w Buczku. To było po prawej stronie.

Po lewej stronie obrastał dolinę lasek, a właściwie las w Dobieszkowie. Był tu i dwór, we dworze tradycje powstańcze, bitwa pod Dobieszkowem w 1863 roku — a za moich czasów czarujący młody człowiek, który flirtował z Zosią Świerczyńską.

Ładnie tu było. Moszczenica się rozlewała szeroko, tworzyła oka na łąkach, siedziały tu młyny, ale to już zaczynał się Stryków, kościół mariawicki i wielki kościół katolicki przy szosie — wszystko to zapamiętałem doskonale i wiele razy opisałem. Czy opisy te są zgodne z ówczesną rzeczywistością — nie wiem. I nikt już tego nie może stwierdzić.

Doliną tą włóczyłem się na wszystkie boki. Sam i z chłopcami, którzy chodzili na polowanie. W stronę Brzezin szło się drogą, a właściwie miedzą w górę, aż do świętego Wawrzyńca. Nazwę świętego Wawrzyńca nosił słup ceglany, jedyna pozostałość po dawnej figurze, stojącej na straży granic pola. Ta droga wiodła do wsi Moskwa, która jak diadem swoimi topolowymi i wiśniowymi krzewami wieńczyła w tym miejscu horyzont. Za Moskwą była wieś — długa i duża — wieś Lipiny, leżąca już przy szosie Brzeziny—Łódź. Jest ona tam i dzisiaj, ani zmaląła, ani urosła.

Dalej wzdłuż obrzeża doliny i z tej strony również dochodziło się do lasów. Za moich czasów był to zagajnik w Buczku i kawałek niespodziewanie wysokiego „gotyckiego” lasu, najczęstszy cel konnych spacerów; po podwieczorku jechało się do lasu w Buczku.

Cała idylla doliny Moszczenicy, tak piękna i tak pełna wdzięku, niepokoiła tylko w jednym punkcie: nad obrzeżem doliny, na północnym zachodzie, unosił się zawsze gęstszy lub rzadszy obłok czarnego dymu: tam była Łódź.

Od pierwszych dni mojego pobytu w Byszewach, w dolinie Moszczenicy, korcił mnie ten czarny dym na horyzoncie. Chciałem od razu widzieć, jak to wygląda owo miasto, nad którym, jak nad jakimś biblijnym miastem przeklętym, unosił się ów czarny obłok dymu. Oczywiście czytałem już wówczas Ziemię obiecaną.

Nie było to daleko. Pachciarz z Byszew codziennie jeździł do Łodzi, woził wozem mleko do miasta. Ale nie mogłem się z nim zabrać. Pan Plichta był sędzią pokoju w Lipinach i jeździł co tydzień do tej wsi; to mu wystarczało, do Łodzi nie jeździł. Może raz czy dwa w ciągu całych moich wakacji.

Wybrałem się więc po prostu piechotą. Wybraliśmy się we trzech: ja, jeden ze Swierczyńskich i przedstawiciel rodziny lubelskiej Pomarańskich, jeden z braci, którzy później w Polsce mieli firmę wydawniczą. Był to chłopak z twardymi zasadami, nazywaliśmy go Abstynentem. Chodził po chłopskich chatach i rozdawał tam książki i broszurki. Trochę drwiliśmy z niego.

Niedobre to było towarzystwo, ale nikt inny nie chciał się ruszyć. I tak trochę z nas pokpiwano z powodu tej pieszej wycieczki

Wyruszyliśmy chyba wczesnym rankiem — g już nie pamiętam. Pamiętam tylko ten frapujący widok, kiedy za Nowosolną wydostaliśmy się na wzgórek i roztoczyła się przed nami cała panorama Łodzi. Był to widok piekielny.

Rok 1911 był rokiem największej „prosperity” dla przemysłu łódzkiego, wszystkie fabryki szły całą parą, wytwarzały setki tysięcy metrów materii, najbardziej tandetnych, które szły na sporządzenie najtańszych ubrań dla całego południa Rosji i Kaukazu.

To, co ujrzeliśmy z tego wzgóreczka na szosie za Nowosolną, wyglądało upiornie. Dosłowny las kominów, które — wszystkie — dymiły czarnym, gęstym dymem. Był to gorący lipcowy dzień i dym nie rozwiewał się w powietrzu, ale tworzył wielki czarny obłok nad miastem, które tu wydawało się zupełnie szare i jakby przykryte gęstym welonem.

Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, zaczęliśmy rozpoznawać jego koszmarnie szczegóły.

Panowała jakaś letnia epidemia. Spotykaliśmy co krok wozy żałobne, najczęściej z dziecinnymi trumnami. Opowiadałem kiedyś

o tym Wajdzie — i wprowadził on te wozy z trumienkami do swego filmu Ziemia obiecana. Tylko że ja, gapa, zapomniałem mu powiedzieć, że te dziecinnie trumienki były albo niebieskie, albo różowe. Dawało to efekt niezapomniany. Do dziś dnia tkwią mi w oczach owe kolorowe dziecinnie trumienki.

Były i inne kolory w Łodzi. Właściwie mówiąc do ostatnich czasów Łódź nie miała kanalizacji, zastępowały ją rynsztoki. Otóż tymi rynsztokami spływały potoki farby z farbiarni fabrycznych i były one pokolorowane na czerwono, niebiesko, żółto lub zielono. Cała ta gama intensywnie barwnych, ale śmierdzących rynsztoków była swoistą ozdobą ulic łódzkich.

Weszliśmy od strony Bałut. Tu też było owo straszne wzgórze bałuckiego cmentarza, które śni mi się czasami i dzisiaj w nocy. Wzgórze, dość rozległe, okryte było gęsto położonymi mogiłkami usypanymi z żółtej gliny. Nie było na tych mogiłkach ani drzewka, ani krzaczka, ani nawet kwiatka — tylko stały gęsto obok siebie drewniane lub żelazne krzyże, wszystkie mniej więcej jednej wysokości. Na krzyżach tych od czasu do czasu wisiały metalowe wieńce, niektóre z tych wieńców już zardzewiały.

W słońcu upalnego dnia, przedwieczera, cmentarz ten rzeczywiście wyglądał jak upiorny gród. I do niego to zmierzały owe karawany tak częste z różowymi i niebieskimi trumienkami.

Mieliśmy jakichś znajomych w Łodzi; ale długo szukaliśmy ich pośród pokratkowanych jednostajnie ulic, spieczonych i przysypanych wszystkich szarym węglowym pyłem. Liście bardzo nielicznych drzew też były czarne od węglowego pyłu. A wielkie kominy u wylotów ulic dymiły nieustannie.

Pani Małkowska, do której zaszliśmy w tak zaimprovizowany sposób, przyjęła nas gościnnie i przenocowała. Była to jakaś krewna Zdzitowieckich ze Skoszew — najbliższego sąsiedztwa Byszew — i staropolskim zwyczajem nie zdradzała zniecierpliwienia, że trzech potężnych młodzieńców zważyło się jej na głowę. A przypuszczam, że i apetyty mieliśmy niezgorsze.

—|Pani Małkowska zachęcała nas do zwiedzania wszystkich osobliwości Łodzi, ale w jej pojęciu tych osobliwości było niewiele. Wysłała więc nas do Helenowa, do nędznego parku, niedawno zasadzonego, z dwiema skrofulicznymi sadzawkami, po których pływały wątle łódki z bladymi łodziankami. Popływaliśmy trochę i my.

Właściwie mówiąc nie było co robić w tej Łodzi. Toteż prędko zmyśliśmy się i przez Zgierz tym razem, i przez Stryków wróciliśmy do domu. Dla nas cały urok tego spaceru polegał właśnie na przemierzeniu piechotą tych okolic, zajrzeniu do doliny od strony Dobrej i Dobieszkowa. Samo miasto przeraziło mnie swym industrialnym egzotykiem i koszmarnym poziomem życia jego mieszkańców, który odgadywało się w każdym kontakcie z łódzką ulicą. Za mało jeszcze uświadamiałem sobie koszmarny ludzki zbiorowy istnienie, żeby zrozumieć te cechy miasta i „ziemi obiecanej”, które pokazał nam, zresztą mocno poetyzując, a raczej przesadzając literacko, Andrzej Wajda w swoim filmie.

Ależ to wszystko, co jest u Wajdy, było u Reymonta. Czytając z uwagą romans Reymonta odkrywamy te koszarne światy, które dla mnie tonęły w wiejskiej idylli otaczającej. Wajda pokazał tę idyllę wtopioną w brzozowy las — ale to nieprawda. Łódź otaczała idylla falistych pól, bardzo często zalanych złocistym i mocno pachnącym łubinem, pól poprzecinanych miedzami, na których stały polne grusze (dopiero tu zrozumiałem, co znaczą w kształcie i w formie owe polne drzewa stojące na miedzach polskich pól) albo czasami takie figury opuszczone jak ów Wawrzyniec w Byszewach. Po łubinowych polach dość często przeziernęły łysiny kamionek, zasypisk przetkanych krzakami jeżyn i słupkami różo podobnej dziewanny.

Zadziwiające, jak w takim mieście i w tamtej właśnie epoce mógł urodzić się i wychować taki „król życia”, jak Artur Rubinstein.

Kiedy przemierzałem piechotą pola naokoło Łodzi, nie znałem jeszcze tego człowieka. A później, kiedy wracałem z Łodzi już jako dojrzały człowiek, nie mogłem nigdy tego paryżanina i nowojorczyka powiązać z murami przeklętego miasta.

Tuwim, oczywiście, był wyraźnym płodem i tego środowiska, i tego pejzażu: koszmarnego miasta i zachwycającego Inowłodka z jego rzeką i romańskim kościołem. Rubinstein istniał jak gdyby niezależnie od miasta, a i od pejzażu. Ostatnim razem, co widziałem Rubinsteinów, Nela pytała mnie kontemplując jakąś ty- moszowiecką fotografię: „Jak to, i Artur się tak kąpał w wodzie? w stawie? po prostu?”

Trudno sobie wyobrazić „króla Artura” tak po prostu kąpiącego się w stawie, biegającego po złych brukach, błakającego się nad kolorowymi rynsztokami Łodzi.

Ależ Artur tam się urodził — i kocha Łódź. Może nie tę dzisiejszą, ale tę dawną, ubogą, nędzną, z brząkaniem rozstrojonych fortepianów i z karawanami wiozącymi małe różowe i niebieskie trumienki.

Wiele razy wracałem do Łodzi. A ponieważ jej ulice przypominały mi zawsze wczesną młodość i młodzieńcze zadziwienie światem tak odmiennym od mojego świata — to lubiłem te powroty. Lubiłem podróże do Łodzi.

Nie myślałem w Łodzi o Rubinsteinie. Ale miałem inne znajomości. Wiktor Poznański to znajomość paryska i nawet go sobie w połączeniu z Łodzią wyobrazić nie potrafię. Tuwim to znajomość warszawska. Chociaż znałem dom rodziców Julka w Łodzi, tych niezmiernie sympatycznych, „łagodnych” ludzi, którym się ten pełen temperamentu i talentu syn nie wiadomo skąd urodził. Zawsze chowam w pamięci miłą, przyciszony, trochę smutny dom, miłą postać ojca Tuwima, takiego trochę pomyłonego księgowego, uśmiechającego się smutno i wiecznie marzącego o Paryżu. Było to trochę dziwne gniazdo, właśnie takie gniazdo, gdzie mogli się urodzić i wychować (pod skrzydłami puchowymi) Julek i Irenka. Ale ta sprawa jest powszechnie znana i nieraz już o niej opowiadano.

Natomiast zupełnie zapomniano o Mietku Braunie, recte Braunsztajnie. Niedawno przypomniały go listy Lieberta. Także był to poeta pełen entuzjazmu dla poezji i poetów, ubogi syn czapnika, zdaje się, czy też innego jakiegoś rzemieślnika, zapalony, pełen największych rozpierających go pragnień jasny blondyn z niebieskimi jak niebo oczami, który naprawdę chciał być walcującym poetą. Był bardzo biedny, chorowity, smutny, musiał studiować prawo czy medycynę — ale przede wszystkim miał mało talentu.

I To znaczy miał taki talent, który mało „brał” ludzi — zwłaszcza Grydzewskiego! Z wielkim trudem dało się umieścić w „Ska- mandrze” parę jego wierszy. I to nie mnie, bo mnie Grydzewski nie wierzył, ale tu była „większa” protekcja, protekcja Tuwima.

Mietek Braun odwzajemniał nam nasze zainteresowanie bałwochwalczym przywiązaniem. Potrafił późnym wieczorem, już po wieczorze autorskim i po kolacji, przyjść do hotelu, do numeru, i przesiedzieć parę godzin zachwycając się entuzjastycznie naszą osobowością, naszymi wierszami, naszym sposobem trzymania noża i widelca — nie mówiąc już o naszym niezrozumiałym dla niego trybie życia. Lwią część nocy zabierały czytania wierszy jego i naszych z tak niekłamano radością i oddaniem, że właściwie wrzeszał do łez.

Nigdy już potem — a i przedtem — nie spotkałem kogoś, kto tak całkowicie żył poezją, naszą poezją. Myślę, że dlatego sam nie mógł pisywać, że tak bardzo prześladował go entuzjazm dla innych poetów.

Godziny spędzone z Mietkiem Braunem na entuzjastycznych rozmowach wydają mi się dzisiaj kartami jakichś dekadentkich powieści — tak mało zdają mi się rzeczywiste.

Zdaje się, że potem poświęcił się z takim samym entuzjazmem pracy partyjnej. Koloryt rewolucyjny nie odbił się na jego wierszach. Parę listów zostało z tej intensywnej przyjaźni.

Niby rozgałęzienie Łodzi, filia łódzkich wrażeń, był Tomaszów Mazowiecki. Bywałem tam u moich przyjaciół Landsbergów, Hani i Henia, którzy tu byli jak z angielskiej powieści. Ich matka, pani Jadwiga, to była bardzo wielka dama. Ale jeździłem tam z powodu mojego prawdziwego przyjaciela, Olka Landau, który tam mieszkał u swoich wujostwa. Jego stryj Landau był ożeniony z jedną z Landsberżanek. Był czas, kiedy mogłem wyliczyć wszystkie mariaże w tej rodzinie.

Niebieskie źródła pod Tomaszowem to były niejako bliskie krewne źródła byszewskich. Tu była Pilica, tam Moszczenica i Bzura — najpiękniejsze ongi dopływy Wisły.

Jak z tych sielskich pejzaży wyrastała Łódź? To było takie zadziwiające w tym mieście, że takie „złe”, takie prawdziwe, ohydne dziewiętnastowieczne miasto wysuwało się tak bezpośrednio z tych niezapomnianych pól pełnych kamionek i żółtych od łubinu.

Przemierzyłem te pola wszędzie i wzdłuż, zawsze mając ten czarny obłok nad miastem na horyzoncie.

Nie polowałem nigdy, ale zawsze towarzyszyłem Wickowi Swierczyńskiemu w jego myśliwskich wyprawach. Chłopcy nie lubili włóczyć się „bez celu”. Wicek brał fuzję, wołał wyżła Apela, szedł, tak starannie przeczesując łubiny i koniczynę, a ja jak ten Apel bujałem za nim. W sandałach na boscie nogi, z gołą głową, nie wiedząc, że tym strojem wywołuję powszechne zgorszenie. Wreszcie pan Plichta prosił mnie, abym choć coś przynajmniej wkładał na głowę. Przywiozłem z sobą starą wiedeńską „cykli- stówkę” mego brata — nazwaliśmy ją klejnotem rodzinnym — i włączałem sobie na głowę ten wypłowiały łachman. Chodziło tylko o to, aby nie włóczyć się „z gołą głową”.

Lato było wyjątkowo upalne. Lekcje odbywaliśmy rano, jak najwcześniej, a potem od obiadu snuliśmy się po polach, czasami tylko przysiadając na kamionkach wśród czarnych jeżyn i białych powojów. Opadła mnie także mania myśliwska: polowałem na motyle, których było tyle nad łubinem, małe niebieskie i duże w czarne i czerwone oka. Zbierałem także skrzydła z ubitych przez Wicka ptaków: migdałowe skrzydła sójek z niebieskim inkrustowaniem, czarne skrzydła wron, które same przecież były szare! Piękne były lata w dolinie Moszczenicy.

Okupacja oddzieliła nas od Łodzi ostrym kordonem. Tam już był Reich. Co za dziwactwa pokrętej granicy. Do Łodzi nie można było dojeżdżać zwyczajnie. Toteż tam nie jeździłem. Posyłałem za to przyjaciół: niektórzy mieli bardzo ważne interesy.

Miałem swoją trasę i zatrzymania, meliny w Żyrardowie, Jaktorowie, Skierniewicach, Bednarach i samej Łodzi. Już nie pamiętam, jak to urządziłem. Ale wysyłałem tą drogą ludzi wcale poważnych. I droga była bezpieczna.

Ale specjalnego znaczenia Łódź nabrała po wyzwoleniu Warszawy w styczniu 1945 roku. Pojechałem tam zaraz w lutym 1945 i odtąd często tam jeździłem. Pierwsza moja jazda do Łodzi była bardzo charakterystyczna; chciałem wsiąść do łódzkiego pociągu w Brwinowie, ale pociąg zajechał tak potwornie zapchany, że szpilka by się w nim nie zmieściła. Usiadłem więc na schodkach jednego z wagonów (z dwoma towarzyszami podróży) i tak odbywałem tę jazdę.

| Wieczór wydawał się pogodny, marcowy, z różowym zachodem słońca, ale w miarę jak zbliżaliśmy się do Koluszek, niebo pociągało się siną chmurą, a wreszcie za Skierniewicami zaczął padać śnieg.

W momencie, kiedy wieczorem już dojechaliliśmy do Koluszek, śnieg sypał na całego. Ogarnęła nas gęsta zamieć, mocny wiatr, ale śnieg nie topniał, bo jednocześnie przyszedł mróz.

Koluszki z dawien dawna służyły jako straszna stacja kolejowa. Dopiero zupełnie niedawno znikły dwa drewniane baraki zastąpione przez normalne kolejowe budynki; ale wtedy oba baraki były tak napchane ludźmi, że nie było gdzie nogi postawić. Całą noc czekając na połączenie Koluszki—Łódź przestałem w barakach, to w jednym, to w drugim, lub przespacerowałem po zaśnieżonym peronie. Zamieć nie ustąpiła przez całą noc.

Dopiero nad ranem podstawiono pociąg do Łodzi. Ale wszystkie okna były w wagonach wybite i zamieć, wprawdzie nieco słabsza, trwała wewnątrz wozów, i wiało jak cholera.

Pociąg stał od rana w Koluszkach, wreszcie już za dnia ruszył i dojechał do Łodzi Kaliskiej. Stamtąd piechotą poszedłem przez całe miasto na Bandurskiego 8 (dziś Mickiewicza) i zadzwoniłem do drzwi komfortowego mieszkania Poli Gojawiczyńskiej.

Taki był mój pierwszy po wojnie przyjazd do Łodzi. I odtąd zaczynają się te podróże do Łodzi, które ciągnęły się systematycznie przez jakieś trzy lata, ale najbardziej intensywne były w latach 1945 i 1946. Przyjaźń z Polą Gojawiczyńską, zawiązana przez pobyt jej u nas w domu, po wyjściu z Pawiaka, przez parę lat okupacji, była pieprzną okrasą tych łódzkich wyjazdów.

Powiedziałem „pieprzną”, gdyż Pola nie była łatwym przyjacielem. Przede wszystkim lubiła „mówić prawdę”, co nie zawsze jest przyjemne, gdyż ta prawda nie zawsze jest prawdą, a często tylko tym, co się przyjacielowi zdaje. A gdyby nawet była to „prawdziwa prawda”, to nie zawsze idzie w smak i nie zawsze ułatwia stosunki przyjacielskie.

Pola była wiecznie chora, leżała w łóżku, miewała ataki ostrych bólów i nigdy nie było wiadomo, czy jest to choroba prawdziwa, czy też imaginacja, a czasami tylko pretekst do posłania „stróża” po butelkę wódki. Martwiła nas Pola i irytowała, a jednocześnie przywiązywała do siebie swą dobrocią, uczynnością, serdecznością i tym jakimś ogniem wewnętrznym, który nie tylko palił się w jej sercu, ale i świecił w jej oczach.

Podzielałem także jej szczere antypatie do Nałkowskiej, z którą odbyła „ucieczkę” w 1939 roku, do Dąbrowskiej, której fałszom i manierom Pola śmiało przeciwstawiała swoją prostotę.

Pola w Łodzi mieszkała we wspaniałym apartamencie, który jej się słusznie należał i stanowił rekompensatę za lata niewygód, tułactwa i więzienia. Apartament był też naszym portem, moim, mojej żony i moich córek, ile razy przyjeżdżaliśmy do Łodzi.

Ta Łódź powojenna, dziwne, sztucznie ożywione miasto, pełne pisarzy, dziennikarzy i aktorów, było podówczas siedliskiem sztuk wszelkiego rodzaju, początkiem wszystkiego. Wspaniała filia „Czytelnika” z Borejszą, redakcja „Gazety Polskiej” czy „Rzeczypospolitej” — już nie pamiętam, jak wtedy nazywało się oficjalne pismo — no i teatry. Zwłaszcza teatr na Cegielnianej, wkrótce przemianowanej na ulicę Stefana Jaracza.

Najpiękniejsze przedstawienie Łodzi owoczesnej to przedstawienie Elektry Girardoux w reżyserii Edmunda Wiercińskiego.

Elektra miała związek i ze mną, i z Polą. Zachowały się kartki Wiercińskiego do mnie do Stawiska w czasie okupacji, gdzie on, wsparty autorytetem Lulka Schillera i Bohdana Korzeniewskiego, namawiał mnie na przekład tej sztuki.

Niespecjalnie lubiłem pisarstwo Girardoux. Poznałem go w swoim czasie w Paryżu, nawet mnie przyjął łaskawie w swoim gabinecie na Quai d'Orsay. Typowy dyplomata.

Ale jego Elekirę znalazł Wierciński w drugim roku wojny w znanych dodatkach do „Illustration”, gdzie drukowano popularne dramaty. I bardzo mnie namawiał do przekładu. Po wielu naradach i próbach przełożyłem wreszcie Elektrę. Odczytałem ją na głos w Stawisku w wieczór sylwestrowy 1944 roku. Sytuacja była dramatyczna. Czytałem w pokoju Poli, która leżała w łóżku, Hania była nieobecna, była w Rabce, gdzie Marysia właśnie urodziła Maćka, była Teresa, córka Poli Wanda, Roman Jasiński, Tadziowie Suchorzewscy, mój brat. Czytałem z wielkim wzruszeniem, nadawałem Elektrze patos, którego może nie ma.

Skończyłem. Ostatnie zdanie mówiłem „na łzach”: „To się bardzo ładnie nazywa, kobieto Narses, to się nazywa Świtanie”.

Nie myśleliśmy może, a może właśnie podświadomie zdawa

liśmy sobie sprawę, że to jest świtanie: pierwszy styczeń wielkiego roku 1945.

I właśnie w lutym 1946 roku ta nasza wyczytana Elektra zrealizowała się w Łodzi. Cóż to było za przedstawienie! Na zawsze zapadło mi w serce. Być może mój przekład, reżyseria Dziunia Wiercińskiego podniosły trochę diapazon sztuki. Pogłębiała się ona pod naszym dotknięciem. Ale właściwie to moment ją pogłębił. Był to moment, kiedy decydowało się wszystko, kiedy wracali ze Wschodu i z Zachodu przyjaciele, kiedy rozmowy się nigdy nie kończyły, kiedy jak za czasów wczesnej młodości można było całą noc przegadać o sztuce, o walce, o przyszłości.

To się bardzo ładnie nazywało wtedy, to się nazywało „Świtanie”. I tak mi już na zawsze zostanie spleciona we wspomnieniu ta wiosenna Łódź i tylu nowych, i tylu starych przyjaciół.

Ciągle się wracało do Łodzi w latach 1945 i 1946, poznawało się ludzi, z którymi się przedtem nie stykałem. Atmosfera zaś tego miasta, pełnego twórczych zapędów i fermentujących pierwiastków, była tak nadzwyczajna, że ludzie w niej byli zupełnie przemienieni, a przynajmniej tacy się wydawali. Dość powiedzieć, że Artur Sandauer był pełnym życia i może nawet wdzięku młodym człowiekiem i znakomicie opowiadał to wszystko, co potem próbował nieudolnie spisać.

Jedną z większych radości dla mnie i dla mojej żony był powrót z Rosji Pawła Hertza. Wrócił pełen dramatycznych i mniej dramatycznych przeżyć ze Związku Radzieckiego, także jak gdyby przemieniony. Nie zastał w kraju nikogo ze swojej rodziny, czuł się samotnie i szukał oparcia w przyjaciółach.

Zawsze podziwiałem niezwykle szlachetną i niezdolną do żadnych chytrzeń ani kompromisów naturę tego człowieka, który co prawda zabłąkał się zrazu w zaułkach „Kuźnicy”, ale bardzo prędko się zorientował, gdzie jest jego prawdziwe miejsce.

I on też dostał małe mieszkanie na Bandurskiego, gdzie mieszkała Nałkowska, Gojawczyńska, Jastrun, Staś Krzyżewski i wielu innych pisarzy.

Mieszkanie Hertza bywało widowiskiem niejednej zabawy, w której prócz literatów brali udział mój młody przyjaciel Krzysztof Bienkiewicz (taka przyjaźń okupacyjna) i Janek Szulc, który pełnił czasowo obowiązki mego sekretarza — potem przerzucił się na aktorstwo.

Gros jednak zabaw odbywało się w „Klubie Pickwicka”, gdzie pierwsze skrzypce trzymał Brzechwa, bywał też Ważyk, no i młode wschodzące gwiazdy: Stanisław Dygat, Janusz Minkiewicz (ta gwiazda błyszczała już przed wojną), Jan Kott i szereg zapomnianych obecnie poetek, które wtedy wydawały się ważne.

Barwom owoczesnej Łodzi poświęcono już niejedną kartę we wspomnieniach. Żywe są te wspomnienia i u mnie, spotkania w kawiarniach, obiady w „Savoyu”, wieczory w „Pickwicku”, znakomite przedstawienia teatralne i prześmieszne recenzje z nich, które pisywali w „Szpilkach” Hertz i Rojewski, długie spory nocne przy wódce o literaturze i ideologii, błyski dowcipu Kotta i paradoksy Sandauera — szalone bogactwo. Trochę się tego bogactwa zmarnowało. Trochę rozsypało po świecie. Trochę zmieniło w blichtr.

Mieszkiwałem wtedy u Poli albo na samej górze, gdzie Staś Krzyżewski rozkoszował się trzypokojowym ślicznym mieszkaniem. Stasia Krzyżewskiego, ubożego mieszkańca Mławy, odkryła Irena Krzywicka. Trochę się nim zajmowała, ale zaraz go zweekstowała na mnie. Staś był zadziwiającym młodym człowiekiem, kwiatem wyrosłym na bagnisku, może nie na bagnisku, ale w strasznej przedwojennej nędzy w Mławie.

Staś napisał powieść pt. Bronka, o takiej właśnie małomiasteczkowej nędzy. W Bronce opisana była Mława i mławskie stosunki.

Napisałem do Bronki przedmowę i przez chwilę była ta książka sensacją. Miała recenzje, a zwłaszcza czytelników. Ale zaraz była wojna i o Bronce szybko zapomniano. Staś był chorowity i że tak powiem, z natury skłonny do nędznego bytu. Trudno go było wyciągnąć z „naturalnych” środowisk miejskiej biedoty. Parę lat przed wojną pędził nędzny żywot w Warszawie. Oprócz Bronki był także autorem bardzo interesującego dziennika. Dziennik opisywał jego mławskie perypetie, a potem emigrację we Francji. Staś miał w Warszawie przyjaciela wyjątkowej piękności, syna praczki Z. Z. Żył, właściwie mówiąc, tym uczuciem. Wojna rozdzieliła przyjaciół. Zbyszek odnalazł się w Egipcie, potem w Londynie, wreszcie w Paryżu. W roku 1947 wrócił do Warszawy.

Ze Stasiem byłem w bardzo dobrych stosunkach. Zwierzał mi się ze wszystkich planów pisarskich, a miał ich bardzo dużo. Wreszcie zauważyłem, że te plany, bardzo zresztą imponujące,

zostają tylko planami i że nic się z nich nie realizuje. Jeszcze przyniósł mi do „Nowin Literackich” rozdział nowej powieści, tak samo o nędzy, o głodzie. Niesamowity obraz przedsiębiorstwa hycla, który handluje psim sadłem, podobno skutecznym lekarstwem na gruźlicę, jest centralnym obrazem tego opowiadania.

Zrozumiałem, że niemoc twórcza Stasia jest chorobliwa, uwarunkowana małym zapasem zmagazynowanej kultury, który w pewnym momencie się wyczerpuje, co staje się tragedią artysty. Pamiętam, jak kiedyś u mnie na kanapie rozmawiali na ten temat Staś Piętaś i Antek Michalak, którzy dotkliwie odczuwali takie braki swoich magazynów.

Staś Krzyżewski cierpiał na nerki, była to gruźlica. Umarł w roku 1949 czy 1950. Pochowali go na Bródnie. Spóźniłem się na pogrzeb i kiedy dopędziłem grabarzy, tyle było świeżych mogił na tym miejscu, że już nie wiedziałem, który grób jest grobem Krzyżewskiego,

Staś miał życie krótkie, dziwne, intensywne i całe jak we śnie.

Co prawda i mnie się wydaje, że to wszystko, co przypominam: i te pejzaże dziwnego i okrutnego miasta, i te łagodne stoki płaskiej doliny, i ci ludzie, którzy się tam kręcili ze mną przed pięćdziesięciu, przed trzydziestu, przed dwudziestu laty, przychodzą do mnie we wspomnieniu jak we śnie; nie bardzo wierzę, że naprawdę chodziłem z Wickiem i z Apelem po polach koniczyny, że widziałem boską Elektry w postaci Zofii Mrozowskiej i że żył kiedyś Staś Krzyżewski, który znał hyclów we Mławie.

Wracam czasami teraz w tamte okolice. Ale przecież wiesz, czytelniku, co to jest powracać w okolice, które się znało i kochało w dawnych czasach i z dawnymi ludźmi, a teraz się ich nie poznaje. Zdają się inne, zmienione, wygładzone — a czasami zupełnie inne niż żyły przez długie lata w pamięci i w wyobraźni.

Staje się nad rzeką, spogląda na pejzaż z lasem, widzi się perspektywę ulicy — i zadaje się sobie pytanie: czy to jest to? Czy to jest naprawdę to samo, co mi się w młodości wydawało piękne, niezapomniane, kochane i miłe?

Bo te przedmioty i te okolice, których obraz i pamięć tkwi w nas samych, zmieniają się wraz z nami, i jak czasami nie poznajemy pejzażu naszej własnej duszy, tak samo nie poznajemy pejzażu lasu Dobieszkowskiego, stawu w Brzezinach, alei w Helenowie i fasady domu na Piotrkowskiej.

I zdają się być te dawne pejzaże tak samo oschłe, jak oschłą stała się nasza postarzała dusza. „To się bardzo ładnie nazywa, kobieto Narses, to się nazywa Przemijanie”.

A wtedy w 1911, jak powiedziałem, wróciliśmy przez Zgierz, Łagiewniki — gdzie musieliśmy odwiedzić kościół z cudownym obrazem Trójcy Świętej, boby nam tego pani Zdzitowiecka ze Skoszew nie darowała — Stryków do Doliny Moszczenicy i ze Strykowa wróciliśmy do Byszew.

Odtąd ile razy jadę z Łodzi do Warszawy, zawsze, chociaż wiem, że się powtarzam, pokazuję moim towarzyszom podróży las w Dobieszkowie, kościół mariawitów w Dobrej, młyn w Strykowie i objaśniam, jak się tu idzie doliną Moszczenicy do Skoszew, a potem do Byszew. Słuchają mnie z roztargnieniem, bo im to nic nie mówi. A przede mną ożywa cała moja młodość.

1977

Fotografie ze Śląska

Rafałowi Malczewskiemu MOST W CHORZOWIE

Przerzucony nad torem kolejowym most jest wiecznie pełen śpieszących czarnych, szarych, nędznych ludzi. W jesienny poranek idą oni prędko, prędko, mieszają się z sobą, nie oglądając się, dążą naprzód. Szybko mijają siebie, pejzaż, życie. Nic ich nie zatrzyma.

Nad mostem góruje huta. Siedem olbrzymich kominów, jak harfa siedmiostrunna, pomyłona jakaś harfa pod niskim jesiennym niebem. Na rdzawych szkieletach suną tam i z powrotem ruchome dźwigi. Cztery ruchy odbywają się jednocześnie: dwa w tył i naprzód, dwa w górę i w dół. Tworzy to jakiś rytmiczny zespół, podobny do rytmu ich dwu barw, czarnej i rdzawej, każdy w dwóch odcieniach. Obok sunie czerwony pociąg pusty, strzelający białym dymem swojej czarnej lokomotywy. Równoległe do niego posuwa się drugi: otwarte wozy pełne są fiołkowej rudy. W górze, gdzieś nad dźwigami, nad chmurą pary, nad czarnymi pazurami windy węglowej, trzy otwory pieców, przymknięte drzwiami. Przez szpary tylko żarzy się ogień, już zbyt dla oczu jaskrawy. Jak w taber- naculum świątyni, mieszka tam płomień straszliwy. Ale czarni, szarzy ludzie mijają prędkim krokiem to światło nazbyt im znajome. Jeszcze niżej stoją czerwone wagony towarowe, obleżone przez milczące tłumy. Co chwila wydziera się z nich jakaś postać i chwyta wielki kosz kartofli lub purpurowych buraków: licytacja na jarzyny.

I jeszcze od ludzi obojętniejsze, na dźwigach i czarnych daszkach ruchomych wartowni, siadają, jak kwiaty nierzeczywiste, żło- to-żółte i niebieskie gołębie.

WYJAZD Z LASU

Drzewa stają się coraz rzadsze, choć jednakowo wielkie i niebotyczne. Pociąg przedziera się przez ostatnie zadrzewienia tego nie bardzo prawdziwego lasu. Żółte paprocie zrzedły już całkiem i pomiędzy pniami sosen przegląda niebieska dal. Mgła za lasem staje się coraz wyraźniejsza.

I nagle pociąg wjeżdża na jasność, las pozostaje po kilku kół obrotach gdzieś za pociągiem i my, i łąka lecimy w dół. Łąka jest żółta i niebieskawa, dobiega do strumyka. A za strumykiem jak gdyby drugi las, odbicie poprzedniego w zwierciadle: kominy, kominy, kominy. Poprzez te kominy przeziernie również dal, ale zasnutą niebieską sadzą, zaplątaną w pióra dymu.

Pomiędzy łąką a kopalnią nad strumykiem, jak gdyby cmentarz. Małe czarne wzgórczki rosną i na przemian z małymi dołkami ozdabiają cały skłon górki. Widzę na tym cmentarzu jedną tylko babę. Starucha, pochylona głęboko, wykopuje z dołka jakieś białawe i czarne kawałki. To bieda-szyby.

Niebieska spódnica starej, o ton ciemniejsza od nieba, jaśniejsza od dymu, jest tylko nikłą plamą w tej symfonii surowej rzeczywistości. Nie ma żadnego znaczenia. A jednak bez niej obraz nie istniałby. Jak czasami na płótnie dobrego malarza jedna nikła a drobna plama kończy całą kompozycję i stanowi treść obrazu, tak ta baba pochylona nad mogiłą, wydobywająca stamtąd czarne grudki, rozwiązuje znaczenie pejzażu.

WIETRZNY DZIEŃ

W tym miejscu rozstajnym widok jest bardzo daleki. Perspektywy jednak dróg mącą się i zginają: srebrne szyny tramwaju, jak rzucona niedbale wstążka, wstępują na mostek. Pod mostkiem druga linia szyn, czarna, bo w inną stronę idąca, przegina się przez nasyp i przez szeroko rozlane, płaskie niebieskie wody. Niebem

I podarte obłoki szarpią się i jakby opornie rozstępują przed wiatrem, a ilekroć wiatr przedrze te pasma niechętnie — niebo blade, niebieskie, jak gdyby zbyt nasycone farbą, wyziera na chwilę.

Na horyzoncie siwa olbrzymia fabryka wznosi się nierównymi dwunastu kominami. Dymy mieszają się z obłokami, jak one niechętnie, jak one poszarpane, tylko ciemne, aksamitne, dotykalne. Na tym sinym tle fabryki i dymów, podobnych do chmury gradowej, widnieją cieniutkie niebieskie, zjadliwej farby obłoczki, delikatne jak dotknięcie pastelu: to trujące dymy cynkowni szopie- nickich.

Głębią pejzażu, obok niehumanicznych fabryk i małego zabląkanego kościoła, ciągnie się olbrzymi, nie kończący się wąż czerwonego pociągu. A na jego tle, jak gdyby na tej samej linii, tylko w przeciwnym kierunku, biegnie mały kremowy, błyszczący tramwaik.

Woda jest bardzo niebieska, płaska i szeroko rozlana, zajmuje cały środek fotografii. Nie marszczy się, choć jest wiatr. Brzegiem zalała jakieś nie zebrane resztki jarzyn, niedokrwiste, złamane w swoim fiolecie główki czerwonej kapusty. A potem zaraz rów, kanał i rude hałdy.

Środkiem białej drogi mały czarniawy chłopczyk ciągnie wózek ręczny. Na wózku leżą dwie poduszki w różowych, poziomkowych powłoczkach i trzy czy cztery wielkie dynie morelowego i zielonego koloru.

Skulony i malutki, walczy z wiatrem, który dmie mu w oczy, zatula szare palteczko, trzęsie się z chłodu. Poduszki i dynie wydają się olbrzymie, rosną jak w bajce. Kremowy tramwaik minął pociąg towarowy i zmałał, zbladł, nie błyszczy. To wiatr narzucił nowy woal chmur brązowych i dymów niebieskich na słońce.

PEJZAŻ Z TUNELEM

Rude wały torów kolejowych zbiegają się ku środkowi obrazu, spięte szarą arką tunelu. Przez tunel otwiera się widok spiętrzony i wieloplanowy. Każdy plan jak wycięty z szarego kartonu, posypanego grafitem. Na każdym planie to samo: kominy i niewytłumaczonego przeznaczenia spiętrzone rusztowania.

Nad tymi niebieskimi kartonowymi fabrykami unosi się gęsty rozkwit dymu. Jak z jakiegoś nadnaturalnie wielkiego transatlan

tyku, jakiegoś dziesięciokrotnie większego od „Queen Mary” olbrzymia, unoszą się w górę drzewa granatowe, spiralnie pookre- cane szarymi węzami. Na tym tle biały dym nabiera śnieżnego odbłasku, jest wypoczynkiem, wydaje się nieledwie ukojeniem, napomknięciem o lepszym, zaginionym świecie, gdzie jest śnieg, białość i powietrze. Jeszcze niżej pastele zjadliwe: trujące i nikłe obłoczki. Cała ta symfonia mgieł, szafirów, szarości aksamitów i ruchomych dotykłości. Pióra więcej w oddaleniu.

A przed tunelem, na pierwszym planie, jak na włoskim obrazie, leży żebrak w takiej pozie, jak gdyby krajobraz zalany był słońcem. Leży w niedbałej pozie i tylko jedna podniesiona ręka jest świadectwem jego żebraczego zawodu. Od chłodu broni go jedynie podniesiony kołnierz. Rozciągnięty na błotnistej ziemi, jak na miękkiej kanapie czy na rozgrzanej plaży południa, rozleniwiony i zniechęcony, niedbale przegina chudą nogę, wyciągniętą naprzód.

Szczupła kostka obciągnięta szarą skarpetką, porządne brązowe palto, kapeluszek na głowie i młoda, inteligentna twarz — wszystko to sprawia, że jego poza i gest wyciągniętej ręki są czymś niezrozumiałym i niepokojącym. Leniwie spoziera na mnie, gdy go fotografuję zimnym okiem.

WITRYNA I

Księgarnia w małym miasteczku. W oknie leżą książki. Czytam tytuły: Życie chrześcijanina w obrzędach kościelnych. Zbiór po- winszowań imieninowych: prosto z serca, Przeraziłwie echo trąby ostatecznej, Hrabia parobkiem u kmiecia, Sennik egipski, Piękna Magielona i hrabia Piotr, Róża z Tannenbergu, Bolesław z wojen krzyżowych. Miejscowa gazeta leży w oknie otwarta z zakreślonym miejscem o uchwaleniu votum nieufności wiceburmistrzowi miasteczka. Wiceburmistrz, korzystając z urlopu burmistrza, zerwał bruk kostkowy przy ulicy, gdzie ma sklep i gdzie sam mieszka, i kazał ją wyasfaltować. Rada miejska uchwaliła mu votum nieufności. Obok tego afisz: „Kursy nowej pisowni dla panów urzędników”. Kursy trzytygodniowe.

Nad tym wszystkim góruje przemyślna sztuka: do samej szyby przyklejony obraz. Dzięki starannie pokrajanym paskom papieru, rozmieszczonym w zręczny sposób, gdy się na ten obraz patrzy

z prawej strony — widzi się portret Marszałka Piłsudskiego, gdy na wprost — białego orła na czerwonym tle, gdy z lewej — portret generała Rydza-Śmigłego. Piękne to dzieło!

WITRYNA II

Witryna fotografa. W ogromnej złożonej ramie fotografia maturalna miejscowego gimnazjum: profesorowie i uczniowie. Czytam nazwiska. Profesorowie mają zwyczajne, polskie, szlacheckie lub niemieckie, mieszczańskie. Jakże się nazywają ci młodzi, mili na oko chłopcy, przyszli adwokaci, inżynierowie, lekarze, sędziowie? Oto dokładny spis: Stańkosz, Tomiczek, Staniczek, Buszman, Michałek, Czech, Quill, Pyzik, Zając, Puk, Chłopek, Krakówka, Majkusz, Knapik, Ligus, Malcher, Lemkaś, Psota, Gajda, Piecha, Bandos, Pifek, Słosarek, Wyciszczak, Koczor, Wolny, Fajkus, War-
cok, Lokaj, Oleś, Błaszczuk, Smoła, Opolony, Figus, Musioł. Ani jednego nazwiska na ski, nawet na icz. Nowa Polska.

ULICA

Nazywa się zawsze jakoś bardzo słowiańsko: Mieszka, Krakusa, Piasta czy Władysława Łokietka, a już co najmniej Korfańtego. Przekrzywione domki przykryte są gęstym kurzem czarnego prochu, spod którego wynika złamana zielona, ciemna farba, jakiej Tycjan może kiedy używał. Domy czarne i mnóstwo na nich szyldów i szyldzików. Tu mieszka położna, gdzie indziej napis przypomina Mikołaja Reja: „Tu wchodzi się do piekarnie”.

Tłum idzie dość szybko i jest bardzo gęsty. Młoda robotnica z czarnymi w tył zaczesanymi włosami patrzy w przestrzeń i nie da się namówić na żadne spojrzenie w bok po tym niewesołym świecie. Niesie sznurkowy koszyk, obciążony w dół jak pierś wiekowej niewiasty. W koszyczku kilo kartofli i nędzna główka kapusty: pożywienie może na parę dni?

Czasami idzie stara, jeszcze pamiętająca dawne dni. Ma szeroką chustkę aksamitną na plecach, na głowie chusteczkę i mnóstwo spódnic, nałożone jedna na drugiej. Szeleści tymi spódnicami i zajmuje wiele miejsca. I ona także nie ogląda się na boki i zapa

trzona cała w siebie, swoje biedy i wspomnienia, nie chce nic od nowego i złego świata,

A świat ten (i wszystkie jego ponęty) przyciął się w straganach targu, który przylega tuż do tej czarnej ulicy. Niebieskie zmarznęte stragany dźwigają różowe i nieliczne zwisy kiełbas. W szarych nieckach leżą półcie niedostępnej słoniny. Czerwone cukierki, zielone butelki piętzą się w wyrwach pomiędzy zapadłymi i żółtymi twarzami sprzedających. Jak na obrazie odbywa się tutaj wszystko w wielkim milczeniu. Nikt nie jazgocze i nikt nie gada wiele, jak w Warszawie czy w Krakowie. Każdy płaci i idzie, śpieszy nie oglądając się i patrzy tylko przed siebie.

A nad targowiskiem, w wylomie pomiędzy rozdętymi jak żagle płótnami straganów, jakiś wypłowiwały ceglany dom stroszy się kominami i dmucha zielonym, balonowym dachem. Co to jest? Cynkownia czy piwiarnia, browar czy dom publiczny? Wszystko tu ma jeden charakter, jeden kolor. Świątynia nędzy ludzkiej — to pewna.

FABRYKA — OPERA

Wielki ten gmach zbudowano w stylu wielkiej opery paryskiej. W owych czasach wszystko budowano w tym stylu. Ogromny budynek z ciemnej czerwonej cegły, trochę bezwstydnej w swoim bezzcelnym kolorze, nakryto wielką żłobkowaną symetrycznie kopułą operową, niby ogromną tarczą żółwia. Nad tą kopułą, pokrytą gęstą warstwą miazgi węglowej — pewnie kiedyś była zielona — jak dwaj mandaryni, stoją na straży dwa niewielkie kominy. Mają na głowie kapelusze stożkowe, przytrzymane blaszanymi wstążkami. Myślę, że uciekli z przedstawienia Turandot.

Ściany tej opery to gładkie, niezmiernie wysokie, jednolite skały, ułożone z zakurzonej cegły. Brudnoczerwony kolor przypomina zaschłe krwawe progi małomiasteczkowych rzeźni. Gdzieniedzie okno czarne, z szybami pokrytymi pajęczyną. Na każdym piętrze niewytłumaczone barwy: jedno z okien zastąpione, jak wypłowiwała dekoracją, kwadratową plamą ułożonych kafli. Krata ta, błyszcząca, starannie polerowana, niebieska z białym w kostkę, powinna być uważana za ozdobę opery. Inaczej wytłumaczyć jej niepodobna.

Olbrzymi gmach łączy się w jeden kompleks z kremowym dwa razy wyższym od niego kominem i jednowieżowym kościołem o sztucznych, wyprężonych, gotyckich oknach.

PEJZAŻ Z KOŚCIOŁEM

— | Jaskrawo oświetlona zachodzącym słońcem płaszczyzna gliniastej ziemi idzie pochyło w górę. Czuć, że płaszczyzna się urywa, ale widać za nią dopiero gigantycznych rozmiarów świątynię koloru rozgrzanego cynobru. Dopiero co zbudowany kościół wznosi swe wieże podwójne, od połowy grynszpanowe i jasne, gestem powstawania do życia. Podobny jest do czerwonej sepii, wychodzącej na powierzchnię morza.

Od rzeczywistości oddziela ten kościół jasny, niebieski i niski płótek: igraszki mieszczy, która zamiast niebieskiego szlaczka przy fartuchu, oddzieliła perkalową szlarczka glinę ziemi od jaskrawej czerwieni kościoła.

Za kościołem proste i jasne kominy niby uciekły na wolność dudy organowe, porostawiane pod niebieskim niebem rytmicznie pulsują dźwiękami syren i wybuchami dymu.

Na glinie ziemi rozoranej, która sięga od mojego oka do wież i kominów, fruują, gmerają się, szeleszczą ciemnymi barwami dwa stadka wróbli. Zbyt żywe zdają się w tym martwym otoczeniu i w świetle teatralnego zachodu.

A z boku, nałaząc prawie na obraz, widnieje gładka, bardzo biała ściana współczesnego, prostego budynku. Ten biały blok bez dachu podobny jest do okrętu — czy może do skały lodowej, która na ten okręt czyha.

Na ścianie tej, śnieżnie białej i jakby chrupkiej od światła, widać napis złoty: „Publiczna szkoła powszechna imienia Marszałka Piłsudskiego”.

PEJZAŻ Z MOSTAMI

Zielona i rzadka łąka prowadzi do nasypu. Nasyp przedzielony pośrodku dwoma czarnymi przęsłami, dwoma łukami. Pod łukami czarnymi płaska i bardzo płytka zupełnie żółta woda. Bliżej rozlana ochra w korycie betonowym.

Drugi most, bliższy od ochry, zerwany. Budują nowy. W przerwie widnieją, jak poszarpane żebra, spoidła i duże bale drzewne. Zieleń łąk cała pokryta małymi czarnymi figurami: robotnicy zwijają się zreźnie i szybko, tylko jakoś za mało symetrycznie. Patrzenie na to zbiegowisko przypomina patrzenie na bezcelowy ruch mrowiska.

Nad mostem i nad żółtą wodą, podobną do jedwabnej tkaniny, stoi czerpałka. Jest to drabina Jakubowa, czarna, jak gdyby czarnym lakierem pociągnięta, a dźwigająca na każdym swoim stopniu odrobinę złota. Z żółtej wody i z zielonej trawy wyciąga małe górki piasku i wysypuje na brzegu.

Najbliżej czterech robotników małym prętem żelaznym dźwiga wielki szary bal drewniany (dlaczego budują tutaj z drzewa?) i powtarza dźwigając: „Tylko razem panowie, do pioruna, eins, zwei, drei”...

PEJZAŻ Z KARUZELĄ

W tym miejscu ciemnożółte hałdy tworzą miniaturę Alp czy Himalajów. Jak na plastycznej mapie wielkich rozmiarów, piętrzą się i zaginają żużlowe żółte ukrocia, osypują się czemiawe żleby i wznoszą rdzawe załomy. Łono tych gór-nieżytków przedziela uregulowana rzeczka w szarych ostrych rampach nadbrzeża. Jest ona także wąska i maleńka: pasemko takie leży pomiędzy brązowymi spadkami hałd i jest bezradne i bezcelowe. Woda w tej ramie, nie wiadomo, czy śpi, czy przebiega. Ma kolor gęstego dymu.

Na urwisku hałdy, nad szarą wodą, przekrzywiona i żalonna, jak gdyby tylko stała tutaj dla efektu kolorystycznego, przegina się na prostym kołku tabliczka. Pół zielona, ukośno, pół kanarkowa. Powiada napis na niej: „Roboty prowadzone przez Fundusz Pracy”. Jakie roboty? Nic tu nie widać.

Z miejsca, z którego zdejmuję ten widok, bezpośrednio nad gnojną żółcizną bezużytecznej hałdy, nad matowym pejzażem dymnego kanału, wznoszą się niebieskie karuzele. Stoją one gdzieś daleko, w Szopienicach, ale efekt perspektywy umieszcza je tuż nad umarłym usypiskiem. Ogromne koło, niebieskie z zielonym,

nieruchome w tej porannej chwili, stoi jak oko na niebie pokrytym chmurami. Jak na dawnych pocztówkach dziecinnych, które mi rodzice przysyłali z Wiednia, drukowanych błękitną farbą, wznosi się to koło niby gwiazda Prateru. A za nim szereg mniejszych i większych karuzeli, statków, łódek i masztów szczęścia.

Cały ten ogród rozkoszy zamarł nieruchomo. Jest przecie dzień. Ale w tej nieruchomości nabiera cech przeraźliwych. Kościotrup zabaw.

Gdy stoję tak i patrzę, biorę ten pejzaż w siebie, na sekundę zakrywa mi chropowaty widok blask gładkiej, czarnej, świeżo lakierowanej limuzyny. Srebrne kanty czarnego przedmiotu przez chwilę uderzają blaskiem i potem znowu powraca martwy i matowy widok żółtych hałd, szarej, nieruchomej rzeczki i niebieskich, zamarzniętych karuzeli w górze.

WOJEWÓDZTWO W KATOWICACH

Gmach województwa w Katowicach jest jednym z najpotężniejszych gmachów, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie jest on ładny i trochę przebrzmiały w swoim architektonicznym wyrazie. A jednak kiedy się go widzi z miasta, kiedy się doń podchodzi — stoi niby wielka granatowa chmura na horyzoncie.

W swej granitowej okazałości ma jakiś petersbuski charakter. „Zimnij Dworiec” naszej rzeczywistości stanowi moment najcharakterystyczniejszy śląskiego pejzażu.

Jeżeli kiedy na serio widziałem obraz potęgi i siły utajonej w Polsce, myślę, że może te uwidoczniły się w tym nowym gmachu jak najwyraźniej. I dobrze, że się tak stało. Gdzież szukać mocy i woli mocy, jak nie na Śląsku?

Tutaj, gdzie książęta polscy sprowadzali niemieckich kolonizatorów, gdzie z kolei kolonizatorzy zostali książętami, gdzie przez tyle wieków w żaden sposób nie udało się odmienić twarzy mieszkańców, jeżeli już nie języka, gdzie wreszcie wyrosły z gleby czarnej takie charaktery i takie możliwości — stać musi wielki ten gmach na świadectwo przyszłym pokoleniom, że wielkość urzeczywistnia się i przewycięża małość, musi mieć tylko czas.

Lud to już dawno powiedział po swojemu: Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

STARY KOŚCIÓŁ

Przyjeżdżam za późno, aby można było zrobić zdjęcie. Nic prawie nie widać. Pada gęsty przenikliwy deszcz jesienny. Jasne liście pożółkłych lip i brzoź opadają na czarną masę kościoła, której oko prawie nie ogarnia w zagmatwaniu gałęzi, deszczu, wieczoru, mgły.

Nie ogarniam tych kształtów i nic już nie mogę rozróżnić. Cała zmoczona sylweta stapia się w fiolet prawie biskupi. Odsuwa się w noc jak ptak wielki ucieka od moich zmęczonych oczu. Porywa się gdzieś ten kościół, który przed chwilą zdawał się trwać jak kamień szary, jak kuropatwa nieruchoma w nachyleniu wieńca brzoź.

Cóż mogę zobaczyć z niego w tym locie ciemności? W tym pokrzyku wiatru, który mi go zabiera?

Pochylam się i nie mogę dojrzeć. Wieża gdzieś szemrze, jakby sama stała się drzewem.

I wtedy dotykam ręką tego drzewa.

Z bliska podchodzę do kościoła, czuję prawie jak pulsuje życiem i kładę rękę na poczemialej korze przed wiekami spiłowanej deski.

Powierzchnia ta, świerkowa czy modrzewiowa, ciepła jest jak skóra zwierzęcia. Gdy naciskam dłoń, czuję dreszcz przebiegający pod drewnianą skórą, jak dreszcz konia, którego pan bierze pod uzdę. Życie niepodrabiane przecieka mi pod palcami, tym bardziej prawdziwe i do uwierzenia podatne, że cień czarny już nakrył wszystko, co można widzieć z tego gmachu.

Od wieków tu stoi i napałił się tymi wiekami tak bardzo, aż stał się żywy. Ileż martwych, niemych, okropnych przedmiotów widziałem w ciągu dzisiejszego dnia. Jak bardzo gdzieś zabłądziła ludzkość pracując nad stwarzaniem tak strasznej martwoty. Gdzieś — nie wiem gdzie — popełniła błąd i odtąd zawsze do tego błędu powraca. A oto ta drewniana świątynia pulsuje pod moją ręką niekłamany życiem rzeczy wiecznych. Tej gontyny może tykał kapłan w wieńcu z jemioli, zanim miał powiedzieć ludziom, co myśli i czuje.

Odwracam się i odchodzę. Reflektory odległych ludzkich zabudowań gwałtownie biją w niebo do głębi napelnione chmurami.

A ja nic już nie widzę i sam stoję pośrodku kościelnego podwórca w zupełnej ciemności.

Tylko nade mną obnażające się gałęzie brzoź. A może na tej wieżycze czarniawej z modrzewiowego drzewa zatknięto jakie chorągwie i one tak łopocą w ciemnej, nieprzeniknionej nocy?

1936

Podróże do Poznania

Czy to dlatego, że Poznań był punktem bardzo oddalonym od miejsca, gdzie stała moja kolebka, czy to, że w mieście tym była jakaś cząstka obcości, która była dla mnie specjalnie wyraźna — dość, że wszystkie moje podróże do Poznania miały w sobie jakiś pierwiastek egzotyczny. Osobliwe i ciekawe, wbijały mi się zawsze w pamięć. Nie miały w sobie poezji i odnawiania wspomnień dzieciństwa, jak podróże do Krakowa, nie zawierały znajomości z nowymi skarbami sztuki, ale były wtajemniczeniami w nie znane mi dziedziny polskości i pociągały innymi formami tradycji, z którymi się tu stykałem.

Do Poznania skierowałem się bardzo wcześnie po przyjeździe moim do Polski w roku 1918. Szukałem w Warszawie kontaktów z różnymi środowiskami i Pikador, a potem Skamander stanowczo mi nie wystarczał. Krakowskie „Maski” ze swoim pseudoklasy- cyzmem mi nie dogadzały, tendencje moje były bardziej nowatorskie — tendencje, powiadam — niż poezja Tuwima i Słonimskiego, nie mówiąc już o Kaziu Wierzyńskim, do którego nigdy nie miałem wielkiego nabożeństwa, i oglądałem się tu i ówdzie, popędzany przez mojego przyjaciela Rytarda, który skamandrytów uważał poniekąd za pudli. Zaprzyjaźniłem się wtedy ze Stefanem Gackim, Anatolem Sternem, Aleksandrem Watem, którzy nie znajdowali łask w redakcji na Złotej.

Oczywiście, że musiałem skierować wtedy uwagę na poznański „Zdrój”. Nie odpowiadał on chyba mnie swoim kierunkiem, ale czy ja się orientowałem wtedy w kierunkach i programach? Przyjeżdża-

łem z Rosji i wiedziałem już dobrze, co to jest Chlebnikow, co to jest Majakowski, a co Achmatowa czy Jesienin. Toteż nie twierdziłem, że jestem pierwszym w Polsce futurystą.

Brakowało nam platformy wydawniczej. Program „Zdroju” chwiał się w owym czasie, działało w nim mnóstwo bardzo różnorodnych czynników i pomyślałem sobie, że dobrze by było wyzyskać gotowy i dobrze zagospodarowany tygodnik czy dwutygodnik, aby tam znaleźć przytułek dla całej naszej budy. Trzeba było więc skomunikować się z gospodarzem „Zdroju”, którym był wtedy wyłącznie Jerzy Hulewicz, właściciel majątku Kościanki. Witold był w wojsku i na razie się nie liczył.

Kościanki leżą koło Wrześni, ale wtedy jeszcze nie było kolei żelaznej łączącej bezpośrednio Warszawę z Poznaniem przez Kutno—Koło—Konin (była to dopiero jedna z pierwszych inwestycji Polski odrodzonej) i do Kościanek trzeba było jechać przez Ostrów i Poznań, a z Poznania przez Wrześnię do Strzałkowa, gdzie się linia kolejowa nad granicą naszą kończyła.

W ten sposób pojechałem do Poznania, w maju lub czerwcu roku 1919. Ponieważ byłem tam parę dni, nie tylko tym razem, ale i parę razy w roku następnym (1920), wizyty moje w Kościankach zwały się już w dzisiejszym moim wspomnieniu w jedno, osób tam spotkanych w oddzielnych pejzażach nie zmieszczę — zostało mi tylko ogólne wyobrażenie o Kościankach. No, i o Poznaniu owych czasów. Nawet nie pamiętam, gdzie mieszkałem — a z Poznania pozostało mi zawsze wspomnienie kościołka Panny Marii przy katedrze, wspomnienie fary jezuickiej, która zaimponowała mi swoją architekturą, niemieckich jeszcze afiszów wzywających do poparcia ostatnich przedstawień w operze, biblioteki Raczyńskich i całego Placu Wolności, który w roku 1919 nazywał się jeszcze (przynajmniej w ustach mieszkańców miasta) Wilhelmplatzem.

Same Kościanki, dwór i ogród były bardzo miłe. Przyjechały po mnie na stację do Strzałkowa bardzo ładne konie i powóz, co mi przypomniało rodzinne stosunki na Ukrainie. W Byszewach jeździło się bryką, choć konie były też bardzo dobre. Cały styl życia w domu, ogród, uprawy — na przykład buraki — przypomniały mi bardzo skromniejsze dwory ukraińskie i miałem od razu wiele sympatii dla Hulewiczów.

Jerzy nie wydał mi się dobrym gospodarzem, jeździliśmy z nim konno w pole. Co gorsza nie wydał mi się dobrym malarzem, a jego portrety malowane pod niemiecki ekspresjonizm nie przypadły mi do smaku. Jeszcze gorzej chyba było z jego smakiem literackim; to, co mówił o literaturze, ziało pustką. I dlatego ludziłem się przez chwilę, że do tej pustki potrafię nalać warszawskiej śmietanki.

Obok Jerzego gospodarowała w domu pani Wanda Hulewiczowa, Karpińska z domu, z zasłużonej polskiej rodziny, która miała swe gniazda we wszystkich trzech zaborach. Zadziwiająco: pani Wanda nie miała typu polskiego, była bardzo religijna na modłę teozoficzną, hinduską, ale była łagodną uroczą kobietą. Gdy przypadkiem wszedłem do jej sypialni, ujrzałem duże lustro na gotowalni całe otoczone fotografiami małych dzieci. Było to bardzo wzruszające, bo widocznie pani Wanda nie mogła mieć dzieci i to było powodem wewnętrznej tragedii.

Już dzisiaj nie skleję, za którym pobylem w Kościankach czy też w Poznaniu zetknąłem się z pisarzami grupującymi się wokół „Zdroju”. Poznałem wtedy Bederskiego, Kosidowskiego, Szmaja i innych, którzy byli o tyle poważniejsi i solidniejsi od swoich warszawskich kolegów — ale i o tyle mniej utalentowani. Nie mieli w sobie ani za grosz tego zachwycającego elementu beztroski, humoru, łatwości, którą w takiej obfitości byli obdzieleni Tuwim, Lechoń, Słonimski, nawet Wierzyński i mniejsi skamandryci.

Na razie zawarłem pakt z Hulewiczem i objąłem przedstawicielstwo „Zdroju” na Warszawę. Bo znowu dokonałem próby utrzymywania się z pracy literackiej i spokrewnionej z literaturą. Skończyłem moje „nauczycielstwo” w domu pani Konstantowej Potockiej i w maju 1919 wynająłem sobie „mieszkanie” — pokój przy rodzinie na ulicy Wareckiej 14. Jeszcze wtedy nie było trudno o pokoje do wynajęcia, a dom na Wareckiej (gdzie dziś wychodzą tyły Domu Chłopa), cały obrośnięty winem, był bardzo przyjemny i w tym pokoju rozpoczęły się wakacje roku 1919, bardzo osobliwe, przyjaźń z Lechoniem i Antonim Słonimskim, wizyty rysownika i karykaturzysty Edwarda Głowackiego, znajomość z malarzem Olkiem Grzybowskiem ożenionym z Zosią Sygietyńską, siostrą Tadeusza — wszystkie te przyjaźnie znaczone karykaturami i rysunkami, które do dziś dnia zdobią ściany mojego gabinetu. Tu też rozpocząłem tę współpracę ze „Zdrojem”, która zapowiadała się na razie bardzo dobrze. Drukowałem tu Gody

jesienne, przekłady Rimbauda (Iluminacji w całości), wiersze nie tylko moje, ale Wierzyńskiego, a także Litanie Horzycy, nowego mojego przyjaciela, który oprócz owej Litanii więcej wierszy prawie nie spłodził.

Te kontakty ze „Zdrojem” zmuszały mnie do ponawiania drogi do Kościanek aż do późnej jesieni 1920 roku, kiedy zahaczyłem

0 Poznań po mojej demobilizacji, która nastąpiła w Ostrowie Wielkopolskim. Była to wtedy uroczą miścina, z początkami fabryki wagonów, którą to miścinę darzę nieprzerwanie sentymentem do dziś dnia, choć z Ostrowa uczyniło się wielkie, ruchliwe

1 pozbawione wdzięku miścisko.

O ile w Kościankach odnajdowałem jakieś echa mojej młodości (niebawem na horyzoncie pokazał się i Witold Hulewicz, który mnie zawsze obdarzał niezmienną sympatią), o tyle samo miasto Poznań zawsze miało dla mnie ten jakiś obcy odcień i musiałem w sobie przewyciężyć wiele przesądów, aby się do Poznania tak przywiązać, jak to miało miejsce w dalszym ciągu przebiegu mojej biografii.

W Kościankach poznałem także krytyka lwowskiego Jana Sturę, z którym zaprzyjaźniłem się serdecznie. Stur, znaczony już wówczas piętnem śmiertelnej choroby, która niebawem wtrąciła go do grobu, był typem czystego intelektualisty, zapaleńca, żyjącego tylko książkami i literaturą, podobny do Marka Eigera, do Brunona Schulza, był zadziwiający, zapładniający w rozmowie, frapujący swoimi określeniami. To on nazwał mnie kiedyś „ekpresjonistą sans le savoir”.

W Kościankach chyba czy w Poznaniu zetknąłem się po raz pierwszy ze Stanisławem Przybyszewskim. W „Zdroju” odgrywał on dużą rolę, miał pewien wpływ na Hulewicza (zwłaszcza na Hulewiczową) i chyba nie był zadowolony z mojego zjawienia się na horyzoncie poznańskiego pisma. To spotkanie nie odegrało większej roli ani w moim życiu, ani w życiu „Zdroju”. Zjawił się wówczas na horyzoncie i Emil Zegadłowicz (pracownik ówczesnego Ministerstwa Kultury obok Miriama, ważna osoba w biurze na rogu Ordynackiej i Nowego Światu). Nie miałem specjalnej afektacji ani dla Miriama (choć wielbiłem jego przekład Statku pijanego Rimbauda), ani dla Zegadłowicza, ani dla Przybyszewskiego. Ich frazeologia pozostawiała mnie obojętnym, a może nawet wrogim.

Nie pamiętam już, kiedy się pojechało do Poznania na wprost. Linia Kutno—Koło—Konin—Września łączyła ostatecznie Poznań z Warszawą i gasiła ostatnie separatystyczne zapędy „księstwa”. Myślę, że do Paryża jechałem w roku 1925 już na wprost — chociaż podróż była piekielnie długa, jechało się całą noc, potem dzień i dopiero na trzeci dzień z rana zajeżdżało się na Gare du Nord.

Natomiast pamiętam bardzo dobrze pierwszą podróż samochodową Warszawa—Poznań. Została mi ona na długo w pamięci i obecne połączenie wzbudziło ogromny żal, że jest tak bardzo odmiennie od tej pierwszej drogi. Chociaż ten kawałek drogi najpiękniejszy i najbardziej charakterystyczny pomiędzy Kołem a Koninem pozostał niezmienny. Staram się zawsze kawałek tej drogi przejść piechotą — spozierać na zawsze zalesioną dolinę Warty na prawo od drogi, ten widok tak bardzo polski, dający się porównać tylko z pejzażem „po tamtej stronie” Gór Świętokrzyskich, w okolicach Tarczku. I jeden, i drugi krajobraz to są miejscowości związane z tradycjami pustelników, zakonników, osadzonych przez Chrobrego czy Krzywoustego, z jakimś pradawnym lękiem i starożytną legendą. Legendą, która natchnęła również Marię Dąbrowską — ostatni akt jej Stanisława i Bogumiła odgrywa się w tej scenarii ostrowów rozciągniętych na Warcie, w dolinie, która mi się widzi zawsze w różowej mgłę, jak gdyby dolinę tę otulały delikatnie barwione skrzydła naszej pradawnej historii.

Odtąd zawsze bije mi serce, kiedy samochód mija dziwnie rozplanowane miasto Koło, wjeżdża pod most, łączący ponad szosą pałac z folwarkiem w malowniczym, siedzącym nad łąką Kościelcu, i zbliża się do wzgórz, za którymi zaraz już będzie Konin. Ale o Koninie to będzie chyba osobno. Wjechał w życie moje chronologicznie znacznie później. Teraz jeszcze Poznań!

Samochodem jechałem pierwszy raz do Poznania w roku 1929, na Powszechną Wystawę Krajową, która była ewenementem kulturalnym, towarzyskim, ekonomicznym — jednym słowem, ewenementem pierwszej klasy.

Gwiazda Hulewiczów już wtedy zbladła, „Zdrój” przestał istnieć, a my, ja i moja żona, beztrąsko oddawaliśmy się pełni młodego życia. Mieszkaliśmy w „Bazarze”, mnóstwo było tam znajomych, których codziennie spotykaliśmy w jadalni, wieczorem by

liśmy w teatrze. Na terenie wystawy co wieczór pokazywano rewię, Kram z piosenkami zrobiony przez Lulka Schillera, piękne i barwne widowisko, z uroczym Żabczyńskim jako królem Stanisławem Augustem.

Wśród występujących śpiewaków i baletników odznaczał się piękny tancerz, który ciągle w naszą stronę rzucał ze sceny piłki (taka była tam zabawa). Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że to nie na nas zwracał uwagę ten tancerz, ale na jakąś rodzinę siedzącą za nami, zdaje się niemiecką. Bardzo był piękny i zapamiętaliśmy go sobie. W dziesięć lat potem, w roku 1939, okazało się, że należał do niemieckiej piątej kolumny i zaraz po wkroczeniu wojsk niemieckich okazał się porucznikiem SS.

Potem nastąpiła pauza: parę lat spędziłem poza krajem. Ale po powrocie, a zwłaszcza po wystawieniu Lata to Nohani, które cieszyło się zawrotnym powodzeniem, byłem „rozrywany”, to znaczy miałem mnóstwo propozycji wieczorów autorskich. Między innymi jeździłem parę razy do Poznania pociągiem.

Z pisarzy mieszkali wtedy w Poznaniu Stanisław Wasylewski* Konstanty Troczyński, który bardzo trafnie pisał o mojej twórczości. Zaprzyjaźniliśmy się z nim, mile go wspominam. Z przyjaźni tej zostało tylko parę listów. Bardzo mało.

Z tych spotkań z pisarzami utkwiło mi w pamięci jedno — godne jest wspomnienia. A nawet chyba osobnego opowiadania. Było to spotkanie z panią Izabelą Lutosławską, pułkownikową (szarży nie jestem pewien) Wolikowską.

Pani Izabela Lutosławska była córką Wincentego Lutosławskiego i pisarki hiszpańskiej Zofii Casanova. Poza tym także autorką popularnych, umoralniających, czułych powieści, które drukował „Kurier Warszawski”. Zresztą, jak cała rodzina Lutosławskich, odznaczała się wielką kulturą osobistą i była bardzo miła. Podczas pobytu mojego w Poznaniu, gdzie miałem wieczór autorski — chyba pod wiosnę 1939 roku — zaprosiła mnie na kolację. Oprócz obojga Wolikewskich było na tej kolacji jakichś dwóch żubrów poznańskich z bardzo dobrych rodzin ziemiańskich, ale już nie pamiętam, kto. Może Morawski? Może Mielżyński? Kolacja była bardzo dobra, podlewana znakomitym dereniakiem z fabryki Tarnowskich w Dzikowie. Dereniak ten — jak mi powiedział później Jaś Tarnowski, mój dobry znajomy — był fabrykowany tylko dla Lwowa i Poznania, w Warszawie nie można go było dostać. Przez

tego świetnego i osobliwego trunku.

Rozmowa podczas tej kolacji była niezmiernie interesująca. Wolikowscy opowiadali o podróży do Hiszpanii odbytej w roku 1938, w czasie wojny domowej. Jak powiedziała pani Wolikowska, „proszono ją”, aby odwiedziła swą rodzinę hiszpańską (Zofia Casanová mieszkała stale w Polsce) i zabrała z sobą swego męża, który był przecież wyższym wojskowym. Jakie cele kryła ta podróż, Wolikowscy nie mówili, ale można się ich było poniekąd domyślać.

Mieszkali w Burgos, w hotelu „De Londres”, który znałem z autopsji. Byłem w nim z żoną w roku 1928.

Opowiadanie o tej podróży zużytkowałem później w opisie podróży Marysi Bilińskiej z Januszem w Sławie i chwale. Cały ten opis wygląda zupełnie niewiarygodnie, jak zwykle, kiedy przenosi się do powieści czy noweli prawdziwy kawałek życia. Co więcej, nastąpiło tu zjawisko opisane przeze mnie w Podróżach

do Włoch, gdzie mówię o pensjonacie przy Piazza Giuseppe Poggi. Sprawy przeżyte, rzeczy opowiedziane przez Wolikowskich i fabuła fikcyjna powieści tak się w moim wspomnieniu przemieszały, że już naprawdę nie wiem, co było prawdą, a co skomponowałem. Dlatego ten epizod poznański uważam za taki ciekawy.

Po kolacji ukazało się dwóch synów pani Izabeli, młodziutkich chłopców, z których jeden, zdaje się Grzegorz, zdradzał wyraźny talent malarski. Pokazywał mi swoje obrazki; jeden, oprawny, przedstawiający fantastyczną roślinę z czerwonym kwiatem, bardzo mi się podobał. Mały Wolikowski podarował mi wtedy ten obrazek.

Przez całą wojnę wisiał on u mnie w gabinecie, wśród innych obrazków moich przyjaciół. Po wojnie pani Wolikowska znalazła się w Milanówku u pani Meissnerowej, siostry swojej, żony słynnego profesora stomatologa. Pewnego dnia letniego zjawiła się u mnie w Stawisku prosząc, czy nie mogę jej zwrócić tego obrazka. Obaj jej synowie zginęli w powstaniu warszawskim, ona zaś została wysiedlona z Poznania w ten sposób, że nie zdołała nic zabrać z sobą. Nie miała nawet żadnej fotografii synów. Tym sposobem mały obrazek z krwawym kwiatem był jedynym przedmiotem, jaki zachował się po Grzegorzu.

Oczywiście, że zaraz wręczyłem jej ten obrazek, przez wdzięczność ofiarowała mi jednak małe piękne sreberko.

Niedawno doszła do nas wiadomość, że pani Izabela Lutostawska umarła w Kanadzie.

Ale epoka moich heroicznym podróży do Poznania zaczęła się dopiero w roku 1945, ku końcowi wojny i po jej zakończeniu. W Poznaniu też przeżyłem prawie całe lato pierwsze powojenne, dojeżdżając do Wielkopolski ze Stawiska i z Łodzi. A ten, kto pamięta, czym były podróże w tej epoce, zrozumie, jak bohaterskim wysiłkiem było owo dojeżdżanie.

W zimnym kwietniu 1945 roku, chyba kiedy jeszcze się broniła cytadela poznańska, czy też w krótkim czasie po jej kapitulacji, zjawił się u mnie w Stawisku nieznajomy młody człowiek. Przedstawił się jako Czesław Kubalik, poeta, i zaprezentował numer pisma literackiego, które już w Poznaniu sporządził i wydał, a które to pismo nawiązując do hulewiczowskich tradycji nazwał „Zdrojem”. Przedstawił mi to pięknie wydane pismo jako gotowy warsztat, czekający tylko na to, abym ja go objął.

Pojawienie się na moim horyzoncie Kubalika było dla mnie kompletnym zaskoczeniem, a jego propozycja zupełną niespodzianką. Skąd ja i dlaczego właśnie ja? Za Kubalikiem nie stał w ogóle nikt, chyba jednak działał w porozumieniu z wydziałem kultury województwa poznańskiego. Oczywiście słyszeć o niczym nie chciałem. Oderwać się od Stawiska, przenieść swą działalność w nieznajome środowisko, nie uśmiechało mi się to. Co prawda, Warszawa była kompletnie zniszczona, Łódź była już gęsto obsadzona przez pisma i organizacje literackie. Przed Poznaniem, który znalazł się w samym pępku nowej Polski, zdawały się otwierać olbrzymie możliwości. Po namyśle, po naradach, zdecydowałem się na wyjazd do Poznania i na objęcie tam redakcji dwutygodnika literackiego. Tylko nie chciałem w tytule pisma nawiązywać do tradycji, nazwałem je po prostu „Życie Literackie”.

W tej chwili nie mógłbym wyliczyć, ile razy jechałem do Poznania w ciągu tego całego lata. Ile w sumie przebywałem w tym mieście, ile dni składało się na to fantastyczne lato podzielone pomiędzy Stawisko, Poznań, Łódź, zrujnowaną Warszawę, gdzie już się rozpoczęły prace nad odbudową i rekonstrukcją Teatru Polskiego, do której to pracy wciągnął mnie zaraz Szyfman. Do tego należy dodać epizody Krakowa, gdzie przygotowano pierwszą powojenną premierę Lata w Nohant oraz pierwszy walny zjazd członków Związku — podówczas jeszcze Zawodowego — Literatów. W tym musiały się pomieścić dwie idylle, o których potem: Konin i Jarocin.

Jak ja to wszystko zmieściłem w ciągu jednego lata, trudno dziś pojąć. Trzeba tu pod uwagę wziąć sposób, w jaki się podówczas podróżowało. Do Łodzi szedł autobus „Czytelnika”, który już funkcjonował pod twardą i nieumęczoną dłonią Borejszy. W Warszawie „Czytelnik” zajmował te domy, co i dziś, w Łodzi mieścił się w okazałej kamienicy na Piotrkowskiej 94. Z Łodzi można już było łatwiej przemknąć się do Poznania, tak też najczęściej jechałem. Oczywiście przez Ostrów Wielkopolski i Jarocin. Magistrała Warszawa—Kutno—Koło—Konin—Poznań—Zbąszyń miała tor „rozszerzony”, po którym kursowały wojskowe pociągi Moskwa—Berlin. Toteż ta droga przez objazdy trwała bardzo długo i pociągi były przeciążone do niemożliwości, zwłaszcza że rozpoczęły się wtedy wędrowki „na szaber”. Do Poznania można było dojechać i z Warszawy, ale pociągi odchodziły

Ize stacji na Czystem — to znaczy z miejsca położonego bardziej na zachód od Warszawy Zachodniej.

Mój dawny szofer Władysław Kuświk, który pochodził z Poznańskiego, miał tam w tej chwili całą rodzinę, tak że często jeździł w tamtą stronę. On mnie nauczył sposobu podróżowania: wkładał się człowiek do wagonu pocztowego i tam umieszczał się za parę złotych albo i za dobre słowo. Na wielkich stołach takiego wagonu można się było zdrzemnąć całkiem przyzwoicie.

W podróżach tych nie było nic nadzwyczajnego i przyzwyczailiśmy się do nich w zupełności. Do Krakowa dwukrotnie jeździłem z moją żoną, raz jechaliśmy z moją młodszą córką, raz z moją bratanicą. Próbowałem nawet umieścić się wtedy na dachu wagonu, ale zaczęło mi się kręcić w głowie jeszcze podczas postoju na stacji i wróciłem do wagonu. Warunki mieszkaniowe i w Poznaniu, i w Krakowie były całkiem niezłe. W Krakowie mieszkaliśmy w „Hotelu Francuskim” i od tego czasu bardzośmy się do tego hotelu przywiązali. W Poznaniu kontaktowałem się z szeregiem osób oficjalnych, zawarłem mnóstwo nowych przyjaźni — no i miałem wielu współpracowników przy redagowaniu pisma.

Cześć Kubalik stał był moim technicznym pomocnikiem. Jakiś czas nawet mieszkalem u niego, przez co miałem wejście w cały byt codzienny Poznania, jadałem tam obiady, z dziwnych potraw poznańskich się składające, i godzinami wysłuchiwałem utyskiwań matki narzekającej na lekkomyślność Czesława. Sam Czesław był doskonałym pomocnikiem i pracowitym dziennikarzem, niestety, był nieuleczalnym grafomanem i ten jego defekt stał się poważną przeszkodą w naszej pracy i naszej przyjaźni.

Przemieszczałem w rozmaitych miejscach, między innymi dużo w mieszkaniu Czesława Kubalika, gdzie w okolicach Gajo- wej. Pocziwa matka Czesława, bardzo zaskoczona literackimi zapędami syna, była zdziwiona także moją obecnością w Poznaniu i nie bardzo pojmowała, co tutaj robię. Wtajemniczała mnie też w tajniki kuchni poznańskiej, dosyć osobliwe, i od ludzi nie przyzwyczajonych wymagające pewnego zahartowania. Ale zahartowałem się.

Nie mam pojęcia, skąd wyłonił się w tym czasie najpoważniejszy mój pomocnik nie tylko w redagowaniu „Życia Literackiego”, ale we wszystkich sprawach mnie absorbujących. Był to młody aspirant do fachu aktorskiego, kochany Janek Szulc, który i na Stawisku mieszkiwał, i bywał w Łodzi, i towarzyszył mi w podróżach do Poznania, Torunia, Krakowa Janek Szulc był inteligentnym i bardzo miłym człowiekiem, obdarzonym przepięknym głębokim głosem: lubił czytywać na głos swoje i cudze dramaty całej mojej rodzinie. Janek dość długo pomagał mi w moich owoczesnych skomplikowanych zajęciach.

Tak samo nie mam pojęcia, jakim cudem znalazł się w Poznaniu Roman Kołoniecki, z którym łączyły mnie wspólne przeżycia wojenne przez cały czas okupacji hitlerowskiej, który to czas Roman spędził u mnie. Teraz siedział w Poznaniu, pomagając mi w redakcji „Życia Literackiego” i obracając się w kołach literacko-teatralnych Poznania, wraz ze swym przyjacielem Stefanem Sojeckim, uroczym przedstawicielem ciekawej rodziny Sojeckich, któremu, niestety, nie był sądzone długi żywot. Ale na czas tych poznańskich wakacji przypada okres pewnych istotnych znajomości z ludźmi, których tu dopiero poznałem.

Pierwszy „czwartek literacki” po wojnie, nie na starym miejscu, które było obrócone w gruzy, lecz w jakimś szkolnym pomieszczeniu na ulicy Czerwonej Armii (dawniej Św. Marcina), odbył się z moim udziałem. Słowo wstępne wygłosił polonista poznański Czesław Latawiec.

Był to już drugi powrót mój do Poznania, który zbiegł się z zakończeniem wojny. Pierwszy komunikat o zakończeniu działań wojennych przeczytałem w oknie „Czytelnika” w Łodzi, dnia 8 maja; nazajutrz, to jest 9 maja, w dniu oficjalnej kapitulacji, byłem już w Poznaniu. W parę dni później odbył się ten czwartek literacki. Siedziałem już na estradzie i po wstępie Latawca zabierałem się do czytania moich wierszy, kiedy do sali weszło dwóch wspaniałych wojskowych, pięknych jak dwa chmurne anioły. Byli to Edmund Osmańczyk i Mirosław Żuławski, którzy w mundurach 1 Armii Wojska Polskiego wracali spod Berlina i niespodziewanie znaleźli się w Poznaniu. Co to było za spotkanie! Na tym samym wieczorze znalazł się także Wojciech Bąk, wracający z obozu koncentracyjnego (którego? nie pamiętam), który od razu uderzył w stosunku do mnie w ton niebywałej serdeczności. Odtąd przez cały czas mego pobytu w Poznaniu miałem w nim przyjaciela, pomocnika i towarzysza. Bardzo był to miły i mądry człowiek, o umyśle nieco zbakierowanym wojennymi przejściami, przyprawiało go to na razie tylko o nadmierny pesymizm — co

nic było szkodliwe dla mnie, który trwałem wtedy nieco w ciele - cym zachwycie wobec odzyskanego życia, ale co nabierając coraz bardziej cech psychopatycznych doprowadziło drogiego Wojtka do katastrofy.

Na razie spędzaliśmy długie godziny na spacerach po Poznaniu, na siedzeniu w knajpach, na sporach i żarliwych rozmowach o tym, co się w literaturze polskiej zaczynało. W Łodzi wychodziła już „Kuźnica”, platforma niezachwianego marksizmu, ale też i bardzo prymitywnej naiwności. Próbowałem po trosze polemizować z publicystami „Kuźnicy” w moich wstępnych artykułach do poszczególnych numerów „Życia Literackiego”, które podpisywałem pseudonimem Roman Roński. Ale wypadło to blade.

Pamiętam taką jedną polemikę z Janem Kottem, który wtedy przechodził przedziwną gorączkę lewicowości. I nagle rozpoczął swe zachwyty kierować w stronę André Malraux, pamiętając zapewne jego przedwojenne wystąpienia. Napisałem wtedy, że nie mam zaufania do pisarzy, którzy noszą rewolwer czy pistolet w kieszeni, i oberwałem za to porządnie, o ile, bądź co bądź, można było dokładać starszemu i poważnemu pisarzowi. Ale jeśli chodzi

O Malraux, to jednak wyszło na moje, co Janek Kott musiał przyznać, ale dopiero bardzo później, jak skończył już swoje rewanse - se przed Dąbrowską (z klękaniem pośrodku sali) i zaczął trochę uważniej rozglądać się po świecie. I ujrzał pewne pejzaże położone poza jego nosem.

Z Wojciechem Bąkiem też było niebezpiecznie. Religijność jego przybierała formy kruchciane, pewnych rzeczy nic rozumiał

I nie dawał sobie wyperswadować, czasami irytował mnie poziom jego rozważań i niechęć do odważniejszego spojrzenia na potworne skomplikowanie naszych zagadnień kulturalnych i na ubóstwo naszych rozwiązań, które wtedy boleśnie dawało znać o sobie.

Wojciech Bąk był nic jedynym moim poznańskim przyjacielem. Oczywiście był nim także stały i długoletni przyjaciel, Roman Kołoniccki. Ale właśnie w Poznaniu wtedy poznałem młodego człowieka, którego osobowość na długo pozostała mi w pamięci. Był to Włodek Targowski, syn ministra. Włodek był młodzieńcem bardzo inteligentnym, już po studiach ekonomicznych, i pracował w jednym z banków poznańskich. Ale cała istota jego umyślowości, sama cena jego bytu znacznie przewyższała poziom małego urzędnika bankowego. Włodek był oczywiście neurastenikiem, zdaje

się, na całej jego psychice ciążyła osobowość jego ojca, bardzo świetnego pana, właściciela pięknego majątku pod Sandomierzem, gawędziarza i podróżnika, osobowości pierwszoplanowej, wobec której Włodek czuł się zepchnięty na dalszy plan, uważał siebie za jednostkę o małej wartości, a przy tym nie widział żadnej przyszłości przed sobą i z niezwykłym pesymizmem zapatrywał się nic tylko na swój własny los, ale i na byt rodzaju ludzkiego.

Pesymizm jego był zresztą bardzo zapładniający umysłowo i rozmowy, które z nim prowadziłem, żywo przypominały mi nie kończące się dysputy moje z Jurą Mikłucho-Makłajem, jednym słowem — przypominały mi bardzo wczesną młodość.

Włodek mieszkał dość dziwnie, na poddaszu swego banku, tuż koło hotelu „Bazar”. Odwiedziny tego mieszkania miały w sobie coś tajemniczego. Wpuszczał nas wieczorem portier nocny, byłem tam ja, czasami Kołoniccki, czasami Stefan Sojecki, szliśmy z Włodkiem do jego pokoju położonego na poddaszu i oddawaliśmy się rozpuście dysput filozoficznych, równie zapalczywych jak bezpłodnych, przypominających mi jednak bardzo dawne c/asy.

Byliśmy sami w ogromnym pustym gmachu, piliśmy kawę albo i wódkę i czuliśmy się jednocześnie opuszczeni i zatrwożeni, a jednocześnie wciągani w całkiem nowe działanie, w nową epokę.

Te dyskusje w pustym banku były jednocześnie jakby ożywc/ą kąpielą dla uczuć. Zachodziło to samo zjawisko, co w rozmowach z Jurą, beznadziejny pesymizm mojego rozmówcy wywoływał we mnie poczucie siły, poczucie strumienia twórczego przepływającego przeze mnie i ratował mnie przed moim własnym pesymizmem, który był chyba uzasadniony w tym momencie historycznym, momencie decyzji i wyboru.

Posiedzenia na bankowym strychu zapadły głęboko w moją pamięć, razem z wytworną, wątłą, bladą postacią mojego przyjaciela. Tegoż roku późną jesienią, kiedy odrzuciłem więzy, jakie wiązały mnie z Poznaniem, Włodek popełnił samobójstwo. W tym samym pokoiku, na poddaszu wspianego banku, który już zamknięto.

Ściśle z podróżami do Poznania połączyły się moje podróże do Jarocina i do Konina. Stanowiły one integralną część tamtego lata.

A było to tak:

W okresie Zielonych Świąt (w czerwcu) przypadało trzy dni

wolnych od zajęć. Do Warszawy nie opłacało mi się wracać, numer „Życia Literackiego” był „na wychodnym”, nie wiedziałem, co z sobą robić. Wtedy Władysław Kuświk, który też był w Poznaniu w poszukiwaniu odpowiedniego zajęcia, zaproponował mi, abym razem z nim pojechał na dwa dni do wsi Bachorza, pod Jarocin i tam spędził dni wolne od pracy. Bardzo mu byłem wdzięczny za tę propozycję i skorzystałem z jego zaproszenia.

Już dzisiaj nie sklecę, jakim sposobem rodzice Władysława byli w tej Bachorzy. Ojciec Władysława, Jan Kuświk, był z profesji listonoszem i pełnił przed wojną tę funkcję w Michorzewie pod Nowym Tomysłem. Jakim sposobem znalazł się teraz pod Jarocinem, tego już nie wiem. Dość, że pojechaliśmy z Władkiem do Jarocina.

Był piękny, ciepły czerwiec, Jarocin wydał mi się czystym, porządnym miasteczkiem. Ulice były wysadzone krzosekami, które teraz stały w pełnym różowym kwiecie. Ściany domków były porośnięte gęstą poroślą winobluszczu. I tak mi to wyobrażenie Jarocina po dziś dzień zostało w pamięci: czystych ulic, różowych krzosek. Zapewne dzisiaj to miasto zupełnie inaczej wygląda — ale ja je pamiętam zawsze takim samym, jakim było w ten czerwcowy piękny dzień.

Ze stacji w Jarocinie poszliśmy piechotą za miasto, do niedalekiego lasu. Szliśmy potem wzdłuż rzeczki, która się nazywa Lutynia. Nazwa ta bardzo mi się podobała. A kiedy dowiedziałem się, że wieś za lasem nazywa się Wilkowyja, zachwyty mojemu nie było granic. Zdziwiałem się, jak zawsze działa na mnie dźwiękowa siatka onomastyki rodzimej.

Zamieszkaliśmy w pięknej leśniczówce. Jeszcze niedawno przysłano mi fotografię tego domku. W leśniczówce mieszkał leśniczy Durczok z bardzo ciekawą, zabawną, gadatliwą żoną, która opowiadała mi całymi godzinami.

Chodziłem na dalekie spacerunki po lesie. Oczywiście od razu natknąłem się na duży młyn, stojący w cieniu olbrzymich dębów. Młyn był nieczynny, woda rzeki zerwała kiedyś tamę grodzącą jej bieg i skierowującą „młynówkę” na olbrzymie, drewniane koło młyna. Zerwana tama, opuszczony młyn, przepiękne leśne otoczenie młyna podziały bardzo pobudzająco na moją wyobraźnię.

Godzinami słuchałem opowiadań i pieśni starej Durczoczki, która potrafiła prawdziwie interesująco przedstawić dzieje lasu,

młyna, swobodziny i dziedzica z pobliskiego Hilarowa. Wszystko to razem zebrane posłużyło mi za temat opowiadania Młyn nad Lutynią, opowiadania, które bardzo lubię osobiście, a w którym oddałem hołd całej Wielkopolsce.

Oczywiście i tutaj zachodzi to zjawisko, że dzisiaj w opowiadaniu tym nie potrafię oddzielić elementów prawdziwych, tego, co sam widziałem na własne oczy, tego, co słyszałem od starej Durczoczki, a i stary Kuświk, który jako doświadczony listonosz znał niejedną prawdę i plotkę z tego terenu, coś niecoś do tych opowiadań dorzucił, a wreszcie dużo sam dokończonałem znając tutejsze okolice i tutejszych ludzi.

Z opowiadań na pewno wzięłem scenę palenia sprzętu kościelnego w Wilkowyi, a także moment zerwania tamy przy młynie podczas roztopów wiosennych. W reszcie szczegółów nie umiałbym dziś wskazać rzeczy, które znałem z tamtejszych opowiadań, a które całkowicie lub w połowie zmyśliłem.

Opowiadanie zacząłem pisać w domu, po powrocie z Poznania, a dokończyłem je późną jesienią tego roku w Koninie. Bo wtedy

już był Konin. Epizod mego życia pełen znaczenia, ale który w moim pisaniu nie odbił się wyraźnie. Tyle tylko, że właśnie w Koninie skończyłem Młyn nad Lutynią.

Podczas jednego z moich pobytów w Poznaniu zaraz na początku mojej tam działalności, przypuszczalnie w końcu maja lub w czerwcu zgłosił się do redakcji „Życia Literackiego” pełen entuzjazmu i niezmiernie sympatyczny polonista z liceum ogólnokształcącego w Koninie, Ludwik Mikusiński, i zaproponował mi urządzenie wieczoru literackiego w tym mieście. Bardzo się ościagałem z tym przyjazdem i nie uśmiechał mi się wieczór literacki w Koninie, a to głównie ze względu na trudności komunikacyjne. Konin leży w odległości od Poznania równych stu kilometrów, ale pociągiem dojechać nie było co marzyć. Chodziły tylko wojskowe „szerokotorowe” składy bez określonego spisu godzin i nie przeznaczone dla cywilów, można się było dostać tylko samochodem. Ale skąd tu wziąć samochód?

Ale Mikusiński zdobył jakoś ten środek lokomocji i w wyznaczonym terminie znalazłem się w owym miasteczku, wówczas jeszcze nie orientującym się w karierze, jaka go czekała. Miasteczko było uroczne, senne, zgrupowane tak pięknie nad Wartą, ze swoim zagadkowym słupem milowym z wczesnego średniowiecza, z malowniczym dworkiem Zofii Urbanowskiej — autorki Gucia zaczarowanego, pierwszej książki, którą samodzielnie przeczytałem — zamieszkałe przez ludzi, którzy swym czarem, świeżością uczuć, czystością życia otworzyli raptem przede mną inny świat. Może ten świat wydał mi się tak niezwykle przez kontrast ze straszliwym światem wojny, który powoli zniknął z naszej ziemi jak spleśniała skorupa, ale poczułem tu, w tym małym, zaspanym miasteczku jakieś „inne życie”, które mnie w ogóle godziło z życiem. To było bardzo dziwne.

Przede wszystkim ogarnął mnie nieprzebrany entuzjazm Mikusińskiego. Dla niego było to wyjście z podziemia na światły dzień nauki o literaturze, i to jeszcze w okresie, kiedy nauka języka polskiego w szkole średniej nie była obciążona żadnymi granicami programu — w parę miesięcy musiał swoją klasę doprowadzić do matury! Dwoił się i troił, i zarażał entuzjazmem swoich uczniów. Wpadł na mnie i porwał w wir swojej polonistyki, zarażając swych uczniów zapałem do moich utworów. Jego uczniowie znali na pamięć całego Ikara, nie mówiąc już o wierszach, z których specjalnym powodzeniem cieszył się drukowany w „Życiu Literackim” wiersz, noszący tytuł Vox humana.

Jeszcze dzisiaj słuchając tych strof widzę piękne lato nad Wartą, nieskończony tłum, szeregi wracających z zachodu żołnierzy radzieckich, furmanek, wozów zdobnych dywanami i stad „trofiejnych” krów, koni i owiec ciągnących przez miasto i tę garść młodzieży, która jeszcze pachniała prochem konspiracji, a już powtarzała:

Brzmi jeszcze czysta żalna nuta, Która do duszy ci przenika, I śpiewać będzie zawsze póty, Póki się rodzi świat i znika.

Ach, nie ostatnim ani pierwszy, Któremu na to serce dano, Aby zaklinać w małość wierszy Olbrzymi pogłos — vox humana.

Mikusiński był bardzo przystojny i miał bardzo miękkie serce. Przypisywano mu wiele zwycięstw miłosnych w Koninie, jak Ta-tarzyn brał serce niewieście w jasyr. Umieścił mnie na mieszkaniu u swojej gospodyni, w „salonie”, który byłby banalnym prowincjonalnym pokojem, gdyby nie stały w nim dwie duże gipsowe figury Kościuszki i Mickiewicza. Jest to wnętrze, którego potem użyłem jako scenerii w moim dramacie Odbudowa Błędmierza. W ogóle w twórczości mojej owej epoki dużo jest Konina. Całe opowiadanie Światła małego miasta zawdzięczam tej miejscowości.

Czas spędzaliśmy albo z Mikusińskim i jego ówczesną narzeczoną (nic nie wyszło z projektowanego wówczas małżeństwa), albo z czarującą parą, Władkiem i Janką H., której zawdzięczałem najmiłsze chwile spędzone w Koninie. Mikusiński był pobożny, miał przyjaciela, nowo przybyłego proboszcza w Mokoszynie, pod samym Koninem. Spotykaliśmy się z księdzem proboszczem i byłem u niego na nadzwyczajnym, proboszczowskim, pięciopotradowym obiedzie. Piliśmy zdrowie przyszłych państwa Mikusińskich, przed czym oboje (i słusznie) bardzo się bronili. I z rozmowy wywnioskowałem, że ksiądz od niedawna siedzący na tej bogatej parafii ma za sobą świeżą pełną przygód przeszłość, że jeszcze niedawno walczył w partyzantce AK i że właściwie ukrywa się pod swoją

duchowną sukienką przed ujawnieniem, a może nawet przed pro*ccsem. Świadomość tej sprawy nadała specyficzny urok i wyśmienitemu obiadowi, i niezwykłemu winu, które spijaliśmy z bardzo pięknych kryształowych kielichów.

Władkowie H. to była sama uroda i sam wdzięk. Byli oboje wyjątkowo piękni i młodzi, niedawno pożenieni, też z rozmaitymi komplikacjami okupacyjnymi, które wkrótce miały bardzo pogmatwać ich losy. Ale na razie byli tak mili, tak piękni, tak młodzi, czas w ich towarzystwie schodził jak jedna chwilka. W Koninie, w rynku, były jeszcze wtedy dwie knajpy, wspaniałe stare restauracje, których wspomnienie brzmi teraz jak bajka o żelaznym wilku. W Warcie były jeszcze wtedy wspaniałe ryby, jakież cudny obiad wydałem dla Janki i Władka pewnego dnia w tej starej knajpie. Nic się nie zamawiało z góry, a jedzenie było dobre, picie znakomite i nastrój naszej rozmowy tak ożywiony, tak pełen wiary. Jeszcze teraz czasami spotykam i Jankę, i Władka, niestety rozdzielnie. Uroda ich trwa mimo wszystko, ale nastrój owych chwil czerwcowych z roku 1945 w Koninie już nie wraca. I Konin jaki już jest inny, mój Boże!

Nazajutrz po moim przyjeździe do Konina poszliśmy rankiem z Ludwikiem Mikusińskim do Warty, do kąpielni. Woda była czysta, kąpiel świetna, ludzi prawie nie było. W pewnej tylko chwili podpłynął do nas młody człowiek niezwyklej urody i przywitawszy się z Ludwikiem per „panie profesorze” przedstawił mi się: Zakrzewski jestem, Grzegorz. W pobliżu kąpał się młodszy brat Grzegorza Józio. Tak w wodach Warty zaczęła się przyjaźń niezwykła z całą rodziną Z., przyjaźń, która może naprawdę napełniać optymizmem.

Rodzina Z. — rodzice i trzech synów — była najbardziej harmonijną, najbardziej istotną rodziną, jaką znałem. Kontakt z nimi uważałem sobie za prawdziwe szczęście, dar losu. Sam pan Z. był rzemieślnikiem, szewcem, pani Z. pochodziła ze zwyczajnej małomiasteczkowej rodziny. Była jednak najmądrzejszą, najspokojniejszą i najlepiej wychowaną matką, jaką na swoich drogach spotkałem.

Moja żona także wkrótce ją poznała i zaprzyjaźniła się z nią, a raczej nabrała do niej największego szacunku. Chłopcy — wyjątkowo dobrze ułożeni — byli u nas w Stawisku na Nowy Rok 1946. Wyjątkowo snobistycznie usposobiona przyjaciółka mojej żony nie mogła się uspokoić, kim są ci młodzi ludzie. „To Grzegorz i Józef Z.” — odpowiedzieliśmy. A że nazwisko Z. było ładnym szlacheckim nazwiskiem, spytała, kimże jest ich ojciec? „Jest szewcem w Koninie” — brzmiała odpowiedź.

W Koninie tego lata odbyło się kilka uroczystości. Naprzód mój wieczór autorski, na którym sam czytałem, a i uczniowie Ludwika mówili moje wiersze i prozę. Zarówno świeżo napisany Ikar, jak i wiersz Vox humana miał ogromne powodzenie. Otaczany byłem przez młodzież, musiałem mówić o sobie, o Warszawie podczas okupacji, o poetach, którzy zginęli w powstaniu. Szkoły pracowały całą parą, aby zmieścić kurs całoroczny w paru miesiącach.

Matura była bardzo opóźniona, chyba w końcu lipca. Ale chciałem być na niej koniecznie, ze względu na Mikusińskiego, który się chciał pochwalić swoją klasą, ze względu na Grzegorza, który wybierał się na politechnikę. Pojechałem z Poznania do Konina, ale starałem się dostać na konwój radziecki, który jechał w tamtą stronę. Pozwolono mi jechać tym pociągiem, w ostatnim towarowym wagonie. Gorący dzień lipcowy porządnie mnie wymęczył, cztery godziny siedziałem w pociągu, zanim wyruszyliśmy do Konina. Jechaliśmy też długo, była burza i do Konina przyjechaliśmy w deszcz. Ale tak byłem już przywiązany do tego miasta, do Janki i Władka, do poczciwego Mikusińskiego, do pokoju z gipsowym Mickiewiczem, do całej rodziny Z., że ujrawszy na peronie kwadratowy szyld, po którym spływały strumienie deszczu, a na którym wielkimi czarnymi literami było napisane słowo KONIN, rozpląkałem się ze wzruszenia.

Na mieście był już bal maturalny i musiałem moich przyjaciół gonić po świątach, w ciepłym letnim deszczu, w lipcowych zapachach. Kiedy się znalazłem w pokoju Ludwika, wydawało mi się, że osiągnąłem najwyższy spokój i szczęście.

Ale zaraz trzeba było myśleć o powrocie. Znaleźliśmy jakąś ciężarówkę, która mnie miała dowieźć do Poznania, odjeżdżała bardzo wcześnie, a ja wieczorem w wilię tego dnia zdradziłem się, że chętnie napiłbym się szampana. Ludwik zerwał się o świcie i gdzieś, jakoś, nie wiem już, jakimi sposobami znalazł butelkę szampana, którą otworzył na pierwsze śniadanie. Były więc kanapki z kielbasą i francuski szampan.

Naręczona Ludwika przyszła mnie odprowadzić, zajęchała otwarta ciężarówka i stojąc w niej kiwałem ręką moim przyjacio-

łom. Pięknie było jechać do Poznania tą ciężarówką, widząc dookoła piękny letni pejzaż i przejeżdżać przez osiedla i miasteczka

Wracałem tu jeszcze parę razy. Na przykład późną jesienią tego roku; Mikusiński przenościł się do Poznania, zerwał z kolejną narzeczoną, Grzegorz był na wyższej uczelni, Włodek i Janka rozstali się i to było smutne, choć oni się pocieszyli, nad Wartą było pusto i opadały żółte liście drzew. W jakimś obcym mieszkaniu ze ściśnięciem serca kończyłem Młyn nad Lutynią.

I znowu jechałem do Poznania. Była Nekla i Swarzędz, i Kostrzyn

A teraz już nic z tego nie ma. Jedzie się świetną szosą i czyta tylko napisy na pustej szosie: Nekla, Swarzędz, Kostrzyń. Szkoda.

1976

Lublin

Zanotowałem w dzienniku 4 września 1973: „Jeszcze trochę szczęścia: droga przez Górę Kalwarię i potem wzdłuż Wisły aż do Puław i dalej do Lublina, tam i z powrotem, z Romkiem i z Szymkiem; Polska wydała mi się nagle luźna, obszerna, pełna pachnącego siana, ciągle wozy z tym wspaniałym sianem, domki zapchane kwiatami w niesłychanej obfitości, to mi pomogło nawet znieść to, co się stało z Puławami. (Zgroza!) Pogoda nagle piękna, dojrzała, co prawda przypomina 39 rok, ale jednocześnie ten kontrast”.

Po ohydnych, zimnych i deszczowych lecie ciepło i zapach stojący nad łąkami, nad Wisłą, nad Wilgą, nad Wieprzem. W Maciejowicach obszerne zielone łągi, to tu pewnie była bitwa —•, ale już przyroda roztoczyła tęczę zapomnienia nad zakrwawionymi łąkami. Kościuszkowski był poważnie tu ranny i nie miał gdzie i kiedy powiedzieć: „Finis Poloniae”.*

Na szczęście nie było to „finis Poloniae”. I właśnie ten uroczy Lublin zaprzeczył temu i wtedy, i w 63 roku, i potem zawsze. Jest to na mój smak jedno z najbardziej polskich miast — i ma w sobie coś z niezwyklej atmosfery Zamojszczyzny, Miodogórza, entuzjastek, Narcyssy, pani Oktawii Żeromskiej i Conrada, który na każde święta Bożego Narodzenia do tego miasta kierował fałszywe zapewnienia, że właśnie wybierał się do Polski, ale mu nie starczyło pieniędzy na podróż. Jednym z najmiłszych moich wspomnień literackich jest postać Anieli Zagórskiej; jej prostota, serdeczność,

naiwność i kultura zarazem miały zawsze coś z atmosfery tego miasta. To tu przywiozła Oktawia Rodkiewieżowa młodego Żeromskiego, żeby go wyswatać z jakąś swoją kuzyneczką, a on zużył tę długą drogę bryczką z Nałęczowa do Lublina w lubelskim błocie (a może wtedy zaschło i była straszna gruda?), aby zakochać się w pani swatce i nieoczekiwanie dostać się w całkiem inne — ale jakże czule — sieci.

Mam tyle osobistych związków z tym miastem, że właściwie związki organizacyjne, polityczne ustępują na dalszy plan. Niestety, większość tych związków snuje się nicią cmentarną. Moi stryjeczni bracia już nie żyją. Ostatni, który zarazem był chyba ostatnim mieszkańcem Lublina, który chodził w długich butach i maciejówce, znany koniarz, leży już też na cmentarzu tutejszym obok matki, która ofiarowała swe życie za syna niemieckiemu okupantowi. Słynna to była sprawa i w pogrzebie mojej ciotki brał udział cały Lublin, choć to były najcięższe czasy wojenne i na bohaterskich sensacjach Lublinowi nie zbywało. Na cmentarzu też spoczywa ten prawdziwy poeta, Józef Czechowicz. Nie mogę go sobie wyobrazić rozdartego przez bombę — ale ile razy myślę o nim, zawsze go widzę w moim mieszkaniu warszawskim, na Kredytowej, tańczącego ze Stasią Horzycową. Oboje są piękni i tacy nietutejsi, niezmierni. Ta poetyczność Józka Czechowicza szła w zawody z poetycznością Stasia Piętaka. Może zostały z tej epoki inne, większe dzieła, ale osobowości poetyckie, poetyckie „fluidy”, podług wyrażenia Horzycowej, od nich szły chyba największe.

Nie tylko cmentarz lubelski znaczone jest wspomnieniami. Zamek oblał się cały krwią w momencie wkroczenia naszych wojsk w 1944 roku. Była tam i krew Karola Lipińskiego, więźnia tego zamku. Jeżeli czasami myślę o tych, którzy, gdyby żyli, znaczyliby tak wiele w kulturze polskiej, mam żal, że specjalnie się wyodrębnia Baczyńskiego, Gajcego, Stroińskiego — a było przecie ich tylu, tylu więcej. Jednym z najwspaniałej się zapowiadających na pewno był Karol Lipiński. Spotkania nasze w Kazimierzu (brał w nich najczęściej udział młodzieniec, który potem zasłynął jako doktor Edward Kowalski) zostały mi na zawsze w pamięci. Listy jego przechowuję z pietyzmem. Był on współredaktorem „Płomieni” wraz z Jankiem Strzeleckim. Jego krew to jeszcze jeden związek mój z Lublinem.

A stara pani Arnsztajnowa? Poetka Lublina, teściowa Jana Mieczysławskiego, czystego, niezwykłego poety. Jej wnuk, Krzysz Mieczysławski, poległ tu niedaleko w parczewskich lasach, pod Jabłoniem w 1939 roku razem z Orciem Skarzyńskim, tym złotym młodzieńcem tuż przedwojennej Warszawy. Krzysz zapowiadał się jako zdolny malarz. Mam w domu chyba jedyny jego obraz, który ocalał i istnieje, aby świadczyć o tym smutnym chłopcu. Obraz przedstawia ulicę Książęcą, jaka już dzisiaj nie istnieje — a jest jeszcze jedną nicią łączącą mnie z Lublinem.

I dlatego tak mi jest dobrze na tym rozszerzonym zebraniu Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, które zwołaliśmy w Lublinie, aby odznaczyć trzydziestolecie wznowienia prac Związku, aby przypomnieć ów Lublin, którego nie znałem, Lublin, od którego wszystko się zaczęło. I gospodarze lubelscy, i lubelscy koledzy literaci, którzy z punktu okazali kresowe humory, i koleżanki mądre, pamiętliwe i dobre — przyczynili się chyba do tego, że ze spotkania lubelskiego takie jasne letnie wynoszę wspomnienie.

Chyba najmądrzejsze było to, co powiedziała Anna Kamińska, najmądrzejsze i najbardziej pocieszające. To, że jej rodzina i ona sama posyłała więźniom Majdanka książki poetyckie na wyraźne ich żądanie, to sprawa decydująca. Nie była to sprawa filantropii. Ale sprawa potrzeby. Ci skazani na śmierć i na tak straszne, poniżające i upokarzające życie chcieli słowa. Słowo, poetyckie słowo pomagało im przetrwać, pomagało żyć, budziło w nich ludzkie uczucia, przypominało, że należą do narodu, który wydał Mickiewicza, Słowackiego.

To stwierdzenie potrzeby, wyższej potrzeby poezji przychodzące w momencie, kiedy zdawało się, że wszystko ludzkie skazane jest na zagładę — to wielka rzecz. „Okazuje się, że jesteśmy potrzebni — mówiła Kamińska — że nasz trud nie jest daremny”.

Ta konstatacja była największym skarbem, jaki wywoziłem z Lublina, z tego spotkania z „potrzebnymi ludźmi” — chociaż mnie ich codzienność wydawała się pospolita i uboga w zestawieniu ze wspaniałymi technokratami, którzy budują nowy, tak piękny Lublin, zakłady produkcyjne, fabryki, wielkie budowle.

I może nie było to takie dziwne w tym zestawieniu, że największy zakład produkcyjny Lublina zażądał odwiedzin najwybitniejszych literatów, i to w sporym zespole, a ponieważ nie dało się to zrobić z rozmaitych powodów obiektywnych, powiedzieli robotnicy: jak nie, to nie! I spotkanie z pisarzami tam się nie odbyło.

Mimo wszystkie zadry i dawne konflikty jakoś tu się oddycha polskością; kiedy w pierwszych dniach maja 1945 roku przyjechałem tu, aby z polecenia Ministerstwa Kultury ożywić Pen-Club i Parandowskiego, odczułem to samo, co zawsze: od lasów parczewskich, od Jabłonia, od puszczy zwierzynieckich — od tego powietrza, którym dyszał Leśmian i ten wspaniały polski rzeźbiarz Zamoyski, który był moim przyjacielem, od powietrza, którym żywił się Czechowicz i jego muzy, i Stroiński, i „moje” dziewczynki z Sitańca, pół martwe, wyłowione z zamojskiego pociągu tamtej okrutnej zimy — od tego polskiego powietrza zakręciło mi się w głowie, może nigdzie tak łapczywie nie wciągałem do płuc tego powietrza. I ten pierwszy jarmark w Markuszewie. Mimo wszystko wielkie tryumfy życia nad śmiercią.

I dlatego ten odjazd, droga do Lublina ku Puławom, ku Dęblinowi, w pogodne, pachnące sianem popołudnie, znowu stanowi tę odrobinę szczęścia. Szczęścia, jakiego może doznać stary człowiek — poczucia życia i jedności z ziemią, rzeką, krajobrazem. Szczęścia tego, że jest się odrobiną w tej wielkiej całości, szczęścia chyba prawie mistycznego.

Wzruszająca aleja lipowa w Dęblinie, która jest chronionym zabytkiem przyrody, aleja, którą mój Laudański wyjeżdżał do Żyrzyna, naprzeciw najdziwniejszej i najstraszniejszej przygody swego życia, bitwy przeciw rodakom. Coś w tej alei jest z romantyzmu Gierymskich.

Zapomina się tutaj o koszmarnych „Azotach”, które są jakby pejzażem z innej planety. A przecież to jest także ojczyzna, to jest właśnie ojczyzna, dzisiejsza ojczyzna, którą się powinno żyć i dla której powinno się tworzyć.

Ale tutaj pozwalam sobie sięgnąć po przywilej starości, przypomnieć o romantyzmie mojej młodości, odsunąć od siebie widmo technokracji. I kiedy koło Wilgi szosa zbliża się do rzeki, kiedy przez „łozy zarostek” poczyna przeblyskać czysty grzbiet smacznej wody, żyć przez chwilę zapachem siana i krwi Maciejowic, Żyrzyna, Dęblina i książęcych Puław.

Dożynki w Jabłoniu

Zawsze z podziwem i sentymentem oglądam sporządzoną przez wydawnictwo „Arkady” księgę poświęconą Augustowi Zamoyskiemu. Sam nie wiem, jak to nazwać — monografią czy katalogiem dzieł? Jest to duży album, zawierający podobizny prawie wszystkich dzieł Zamoyskiego, poprzedzone zwięzłą monografią zmarłego w maju roku 1970 artysty. Monografia jest pióra Zofii Kossakowskiej-Szanajca, a fotografie katalogu Eustachego Kossakowskiego.

Pani Helena Zamoyska przysłała mi z Francji piękną książkę wydaną po francusku w Szwajcarii, a zawierającą szereg esejów Augusta Zamoyskiego, znakomity jego wywiad z Witoldem Mie- czysławskim, poprzedzone esejem pani Zamoyskiej, noszącym tytuł Portret artysty, a poświęconym życiu i twórczości wielkiego polskiego artysty.

Zarówno pisma samego Zamoyskiego, jak wywiad z Mieczysławskim* prezentują nam Zamoyskiego w nieco innym świetle niż myśmy go znali. Tak samo „portret” pani Heleny czyni z niego mistyka, przytacza jego myśli i słowa w stylu Pascala i ukazuje nam sylwetkę wielkiego rzeźbiarza in odore sanctitatis**.

Niestety pamiętam go całkiem innego. I znajduję się trochę w sytuacji tego fryzjera, który mówił do Jana Lechonia: „Wszyscy

mówią: Żeromski, Żeromski! Powiadają, że wielki człowiek, a on goił się u mnie codziennie".

Przypuszczam, że różnica w widzeniu osobowości Augusta Zamoyskiego polega na tym, że ja go znałem w młodości, pełnego młodzieńczego rozpędu i temperamentu prawdziwie porywającego, a portret jego w tej pięknej francuskiej książce przedstawia nam człowieka dojrzałego i w wieku podeszłym, który przeszedł już przez bardzo wiele doświadczeń, amerykańskie było chyba najsilniejsze. Słowem, z książki Heleny Zamoyskiej wyziera inny Gucio, Gucio z okresu mistycznego, który zaowocował niesłychanymi rzeźbami — ale Gucio taki, jakim go nie znałem.

Moje wspomnienia o nim sięgają dalekich czasów jego młodości — która była epoką mojego szczeniactwa — i tylko o takim Guciu mogę mówić. O Guciu, który klepał bidę w Zakopanem wraz z Ritą Sacchetto (do bidy dołączało się klasyczne skapstwo Zamoyskich, no, powiedzmy, brak młodzieńczej rozrzutności), który rzeźbił dopiero swoje wprawki, ale który był bardzo pewien swojej sztuki i który dobrze wiedział, jaki materiał na bardzo wielkiego artystę tkwi w nim i ma wszelkie szanse rozwinąć się i olśnić zdumiony świat.

Gucio był starszy ode mnie o niecały rok, mogliśmy się więc uważać za przedstawicieli jednego pokolenia. Chociaż ja nie bardzo wierzyłem w te jego formistyczne rzeźby i malunki (okładkę np. do numerów „Zdroju”) i czekałem, aż się naprawdę objawi. A w to, że się objawi, głęboko wierzyłem.

W momencie naszego spotkania — już nie pamiętam, gdzie: w Poznaniu, w Kościankach czy w Zakopanem — dawno już był zapomniany dziecinny Jabłoń i zerwane wszelkie stosunki rodzinne zarówno z Jabłoniem (dzisiejsze województwo zamojskie, w lasach parczewskich), jak i z mieszkaniem warszawskim. (Wiejska 7), gdzie biedny pan Tomasz Zamoyski wylewał łzy nad postępowaniem marnotrawnego syna.

Ale tak się okoliczności złożyły, że potem poznałem zarówno Jabłoń, jak też i salony na Wiejskiej. Pani Kossakowska pisze o domu Gucia: „dom rodzinny był duży, już nie dwór, ale raczej pałac murowany”. Ale to nie tak — wielki murowany pałac w Jabłoniu, wybudowany dosyć późno przez pana Tomasza, ojca Gucia, chyba nigdy nie był zamieszkały. Był to obszerny, dziwny gmach o pałacowym zacięciu, z olbrzymim hallem, na którego

ścianach wszystkich przodków pana Tomasza wymalował sam Wojciech Kossak; pałac ten, zdaje się, zawsze stał pustkami. Mieszkało się w oficynie, dawnym domu mieszkalnym, bardzo niewygodnym, mającym duże pokoje, ciągnące się w amfiladzie, ale bardzo uroczym, zamieszkałym, pełnym tradycji, który stał się jak piękna arka pełna ludzi i zwierząt, obok pustego „sztucznego” pałacu. Była to mieszanina, kontrast prawdziwego życia i sztucznego, pretensjonalnego bytu, który zdaje się chciał stworzyć pan Tomasz. Oczywiście Gucio wybrał to prawdziwe. Stąd ten kowal Bronikowski, stolarz Grzeszczuk i cała ta folwarczna gospodarka Jabłonia, o którym z takim entuzjazmem potrafił opowiadać Zamoyski.

W Warszawie przy ulicy Wiejskiej do ostatniego przyjazdu Gucia (1964) zachowały się w głębi stajnie domu nr 7. Sam dom był spalony, zburzony, na jego miejscu zbudowano wysokościowiec, ale stajnie przytulone do oficyn domów na Matejki czy Alei Ujazdowskich stały zatoczone pięknym łukiem. Gucio pokazywał mi te stajnie z wielkim wzruszeniem, opowiadając, jak wiele godzin spędzał tam na rozmowach z furmanami i chłopcami stajennymi i jak stały się one miejscem pierwszych erotycznych wtajemniczeń.

Gucio w młodości lubił mówić o tych sprawach i czynił długie rozważania na temat kobiet. Pozwalając się domyślać, jakie były to przedmioty jego triumfalnych zdobyczy. Może było tu więcej gadania niż prawdy? Chociaż Gucio raczej nie lubił błagować.

Naiwny jak dziecko, zwierzał się z wielu afer miłosnych, a nawet z tego, że wynajął gdzieś pokój „za miastem” z przeznaczeniem na randki. Owo „za miastem” okazało się w gęsto zamieszkałym domu przy ulicy Polnej, gdzie mieszkała pani Świerczyńska ze swoimi licznymi synami, moimi kolegami. Idąc kiedyś do nich, natknąłem się na zawołowaną damę, która wysiadła z konnej karety (!) i śpieszyła do owego tajemniczego pokoju. Bez trudności rozpoznałem w tej damie jedną z bardzo znanych piękności z warszawskiego „towarzystwa”. Również łatwo, przyciśnięty do muru, Gucio przyznał się, że dama śpieszyła do niego.

Poznałem Gucia gdzieś tam — ale zaraz spotkaliśmy się w Zakopanem. Mieszkał wtedy sam na Skibówkach i brał udział w licznych „orgiach” zakopiańskich (Boże, jakie to było niewinne w porównaniu z dzisiejszymi zabawami!), i urządził takie orgie u siebie.

Były to zabawy składkowe, nic więc to go nie kosztowało. A bawił się świetnie razem z Karolem Szymanowskim, Karolem Stryjeńskim, Rytardami (o których weselu czule wspomina w swoim wywiadzie z Mieczysławskim), Obrochtami, Wawrytkami, z nami i z Witkacym, którego także wspomina z wielkim sentymentem.

Nie wszczynałem wtedy z nim sporów teoretycznych o jego sztuce i o sztuce w ogóle. Chyba ani on, ani ja nie byliśmy do tego przygotowani. Jak wiadomo, „Skamander” obywatel się bez teorii. Dość ubogo przedstawiał się w swym czasie repertuar filozoficzny Gucia. To, co mówił o formie, było powtarzaniem pacierza po Witkacym czy Chwistku. Słynny był jego zakopiański odczyt o formie. Kiedy stojąc na estradzie z notatnikiem w rękę i rżąc po swojemu (miał bardzo silny głos), powtarzał: „Forma, forma, co to jest forma, każdy idiota wie, co to jest forma!”

Oczywiście i nawet wtedy nie ograniczał się do prostackich wymysłów. Doszedł później do bardzo głębokiego pojmowania sztuki. Ale mnie się zdało, że raczej wielkość jego wyraziła się w twórczości, w dokonaniach, w tworzeniu tak niesłychanych „przedmiotów”, jakimi są jego rzeźby, niż w jego dokonaniach i osiągnięciach myślowych. To były już sprawy późniejsze, wieku „paskalowskiego”.

Oczywiście istniała zawsze nękająca go kwestia techniki rzeźby i sprawa obróbki materiału, kucia bezpośredniego w marmurze czy granicie. Sprawa ta była jego konikiem, wracał do niej zawsze i do śmierci był wierny zasadzie Michała Anioła, tysiącnymi anatemami okładając ułatwienia Berniniego, które prowadziły do degeneracji monumentalizmu rzeźby.

Przyjaźniliśmy się z nim w Zakopanem, chociaż tam rzadko udawało się nam rozmawiać sam na sam. Nasze pobyty w owej epoce w Zakopanem były pełne gwaru, szumu, zabaw, pijaństwa. Epoka ta była bardzo młoda (1922-1925). Niektóre „orgie” odbywały się u Gucia — ja zresztą byłem bardziej związany z Warszawą przez moje prace i obowiązki, moja żona częściej bywała sama w Zakopanem. Umykała wcześniej z takich tańców i pijaństw, odprowadzali ją zazwyczaj albo Karol Stryjeński, albo Gucio Zamoyski. Kiedyś wracali z Guciem z bardzo Wesolej zabawy. Ze Skibówek do centrum daleka droga, Hania zaproponowała skrót górą. Ale Gucio nagle wziął ją za rękę i powiedział: „Nie, nie, chodźmy dołem, koło starego kościoła, koło starego cmentarza. Tam taki spokój, tam taki spokój!”

Najbliżej żyliśmy z Guciem w Paryżu, w roku 1925, kiedy mieszkałem przez pół roku nad Sekwaną. Gucio miał swoje atelier na avenue du Maine, koło dworca Montparnasse, i tu rzeźbił moją głowę, poświęcając na to parę seansów po kilka godzin.

Nie wystarczały nam te seanse, udzielaliśmy się sobie towarzysko, bywając razem (np. u Chłapowskich, w polskiej ambasadzie) i krążąc po Paryżu z kołem przyjaciół. Należeli do nich Karol Szymanowski, Roman Jasiński, Helena Kahn-Casella, Go-debscy i tak dalej.

Pozowanie do portretu odbywało się w pracowni Gucia na avenue du Maine. Przed przystąpieniem do pracy Gucio robił parę „zniekształconych” fotografii głowy, co mu później ułatwiało, jak mówił, „widzenie”. Dwie takie zniekształcone fotografie zachowały się u mnie. Tak samo fotografia gotowej głowy (gips), która była potem własnością redakcji „Wiadomości Literackich”, stała u Grydzewskiego na szafie i poszła na dno razem z „Wiadomościami”, domem na Złotej 8 i całą epoką.

Te godziny pozowania były jednocześnie godzinami przyjacielskich rozmów. Gucio był niezwykle szczerą naturą i lubił gorąco dzielić się wszystkimi myślami. Od przyjaciół zaś nie wymagał wzajemnej szczerości.

Myśli Gucia były często głębokie, często frapujące, ale także często bardzo naiwne, co widać w jego artykułach, esejach i wypowiedziach. Często wyważał otwarte drzwi, często odkrywał Ameryki, ale też często myśl jego bywała oryginalna, jego zdanie o sztuce, zwłaszcza o rzeźbie, odznaczało się trafnością i dosadnością. W tej dziedzinie wiedział bardzo dużo i dużo na tych rozmowach korzystałem, chociaż przekornie próbowałem mu się przeciwstawić. Skończyłem wtedy trzydzieści lat, on był o rok starszy ode mnie. Były to właściwie rozmowy młodzieńców. Gucio był strumieniem szczerości, siły witalnej, wiary w człowieka (pani Helena twierdzi, że i wiary w Boga — tego nie umiem potwierdzić). Był porywający w swych wybuchach energii, w swych dziwactwach, w swych odruchach serca i zdawał się być niewyczerpalnym źródłem siły twórczej. Jego poczucie formy, kształtu, rozmiaru było niebywałe. Rekompensowało w zupełności jego brak, dla plastyka bardzo is

totny: Guccio był daltonistą, nie rozróżniał kolorów. Chociaż próbował malować (okładki „Zdroju” np.), jednak to kalectwo było zasadniczą przeszkodą w malowaniu.

Zadziwiające zawsze były jego opisy wyglądu osób. Potrafił to tak znakomicie określić. Doskonale widział formy, kształty bliźnich.

Jego stosunek do literatury zawsze mnie trochę obruszał, ale po wielu latach przekonałem się, że właśnie taki powinien być. Nie przywiązywał wagi do drobiazgów, nienawidził koterii literackich, w czym był posłuszny gustom, a raczej smakowi, rozsądkowi i głębokiemu znanstwu Witkacego, który był jego przewodnikiem i najbliższym przyjacielem. Z Witkacym spędzał długie noce na niesamowitych, metafizycznych rozmowach. Niemało przy tym niszczyli alkoholu.

Zamoyski zawsze miał za złe skamandrytom — Lechoniowi, Słonimskiemu — ich lekceważenie Witkacego. Może to nas zbliżało, że ja zawsze byłem wielbicielem umysłowości Witkacego i składałem tego dowody: stworzenie teatru Elsynchron, drukowanie pod moją presją esejów i sztuk Witkiewicza w „Skamandrze”.

Jednym słowem, tematów nam do rozmów podczas tych seansów pozowania nie brakowało. Toteż zastawiły one u mnie jasne wspomnienia.

Były i inne sceny w tym atelier na avenue du Maine. Pewnego majowego wieczora zebrało się tam duże towarzystwo i mocno sobie popiło. Byli Tuwimowie, Eigerowie (siostra Tuwima), Leo- poldowie Zborowscy, przypuszczam, że Roman Kramsztyk, Lilka Pawlikowska z mężem, Madzia Samozwaniec, jednym słowem, mnóstwo ludzi i dużo picia. Mnie się bardzo zakręciło w głowie i zdawało mi się, że znalazłem w Jasiu Pawlikowskim materiał na serdecznego przyjaciela i już rozpocząłem pijackie zwierzenia. Wtedy Guccio ostrzegł mnie przed Jasiem, mówiąc, że jest to człowiek lekkomyślny i fałszywy. Cała sprawa polegała na tym, że Jaś Pawlikowski „kombinował” już wtedy z młodziutką i śliczną Konczyńską, uczennicą Rity Sacchetto, swoją późniejszą żoną, i Rita nie mogła mu tego darować. Guccio był już wtedy rozwiedziony z Ritą, ale opinie, jej zdania, ważyły na jego poczuciu rzeczywistości. Była to kobieta, którą on głęboko kochał — należy przypuszczać, że wiele jej zawdzięczał i pod względem przekonania artystycznych.

Wtedy w Paryżu widywaliśmy się prawie codziennie, jadaliliśmy po tanich stolówkach, w towarzystwie Tola Hanickiego, Lolka Szpinalskiego, Romana Jasińskiego.

Właśnie kiedyś z Romanem Jasińskim we trójkę spędziliśmy typową „paryską noc”, taką trochę z kiepskich ówczesnych powieści. Bo dzisiejsza powieść nie zadowoliliby się „skromnością” tych przeżyć. Jednym słowem, pamiętam jedną z naszych tournées des grands ducs* — jak się wówczas jeszcze mówiło.

Nie pamiętam, od czego się zaczęło, ale w środku nocy znaleźliśmy się w trójkę: Zamoyski, Jasiński i ja w jakiejś specyficznej nocnej knajpie, w której widocznie nie było napisu „champagne obligatoire”**, bo środki nasze były wówczas bardzo skromne.

Do naszego stolika przysiadł się prześliczny chłopiec, który powiedział, iż się nazywa Boris i że jest rosyjskim emigrantem, choć podejrzewałem go, że jest czystej krwi Francuzem. Działał na sentyment. Opowiedział nam tragiczną historię swego życia, która potem weszła do Zmowy mężczyzn — jak i cała postać Borisa. Nie zabraliśmy go „na górę”, jak proponował, ale poczęstowaliśmy przy stoliku czym tam chciał i Guccio oddał mu resztę posiadanych franków. Widać nie był taki skąpy, jak się mówiło.

Wyprawa skończyła się klasycznie w halach. Guccio podziwiał — rechocząc — wprawne dzielenie byczych tusz i nieprawdopodobnie zręczny rozdział worków z rzeżuchą. Widok hal był dość dziwny. Ta mieszanina ciężko i usilnie pracujących robotników z paniami w wieczorowych toaletach i panami w smokingach stanowiła widok niesamowity. Oczywiście bardzo wydziwialiśmy na to — ale zupy cebulowej zjedliśmy po dużym zapiekany gamku. Kiedy wyszliśmy z hal, już świtało. Noc czerwcowa była krótka. Ranek był piękny. Guccio poszedł na swój Montparnasse, a ja szedłem jeszcze przez Champs Elysées, a potem przez Trocadero do swego mieszkania w Passy. Po drodze odwiedziłem tarasy Trocadero, które bardzo lubiłem i które w dziesięć lat potem zegnałem już na dobre. Mój ulubiony pałac zburzono, aby na jego miejscu postawić ciężki i niezgrabny pałac Chaillot. Duże wieże Trocadero przestały wznosić się nad Sekwaną. Zawsze tego żałuję. Rozmyślałem po trochu o Gucciu, jego dobroci, serdeczności

i wszystkim, co mówił o sztuce. To był ostatni czas bardzo intymnych kontaktów z wielkim rzeźbiarzem. Potem się nasze drogi jakoś rozeszły.

Owszem, widywaliśmy się w Warszawie. Kiedyś spędził u mnie — żona była za granicą — razem z Romanem Jasińskim cały wieczór. Obaj moi przyjaciele gadali jeden przez drugiego, a ponieważ należeli do najwzraskliwszych ludzi w Polsce, nie dawali spać moim domownikom do późnej nocy.

W tym czasie właśnie spotkałem Gucia na Wiejskiej 7, poznałem pana Tomasza, a kiedyś byliśmy na obiedzie całą gromadą artystyczną u Wielopolskich. Siostra Gucia, Wielopolska*, była bardzo miła, a siostrzeniec, którego potem spotkałem na Sycylii jako przewodnika wycieczki „Orbisu”, zupełnie uroczy. Zginął w roku 1939, przekradając się przez Tatry na Węgry, dążył do połączenia się z wojskiem polskim, ale tego zamiaru nie dali mu urzeczywistnić hitlerowcy.

Potem przyszedł czas, kiedy ja wyjechałem na stałe za granicę i jakoś nie mieliśmy z Zamoyskim kontaktu. Aż dopiero przed samą wojną, w roku 1937 i 38, stosunki się znowu odnowiły. Czasy się zmieniły, Gucio spoważniał, nie jeździł już rowerem z Paryża do Warszawy ani nawet motocyklem, na którym się kiedyś rozbił koło Morskiego Oka (miał swego amilcara), ani nie spędzał już wakacji w południowej Francji. Rozstał się ze swoją drugą żoną, czarującą Manetą Radwan, i odziedziczył Jabłoń.

Gucio jako dziedzic Jabłonia to byłby osobny rozdział. Niestety, byłem wtedy za bardzo zajęty własnymi kłopotami i zajęciami, aby się Zamoyskiemu przyglądać. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że była to epoka, kiedy dochodził do pełnej świadomości jako artysta, czas, kiedy kuł w granicie swoje najlepsze, przedamerykańskie dzieła.

Ale widziałem go w tym Jabłoniu. Wybrałem się tam na dożynki w roku 1938. Było to uroczne i osobliwe widowisko.

Jak już mówiłem, pusty i głupi pałac stał w głębi, a życie koncentrowało się w stojącej pod kątem do pałacu „oficynie”, domostwie obszernym, pełnym mebli, trofeów myśliwskich i dzieł sztuki. Oczywiście pełnym także ludzi w tych żniwnych okolicznościach. Honory domu pełniła jego wiejska modelka, „gospodyni” Franka, miła i zaradna osoba. Tu miał okazję okazać gospodarską propolską serdeczność, być naprawdę uroczym gospodarzem, pijącym na cześć swoich „ludzi”, którzy byli jego prawdziwymi przyjaciółmi, i na cześć kamienia, którego szukał wszędzie i którego w wielkiej oficynie było mnóstwo, obrobionego i nie obrobionego. Była tam już owa wspaniała Wierka, która przysporzyła Zamoyskiemu wiele sławy — była kwintesencją tego uspokojenia, które po Rodzinie Maidla, a głównie po Dunikowskim stano

wiło największe osiągnięcie mojego wielkiego przyjaciela. Była już i wspinała głowa Nastki.

Na te dożynki w Jabloniu wybrałem się w dziwny sposób. Była to jedna z moich „wypraw w Polskę”. Mieszkałem tego lata w Sandomierzu — nie chciało mi się jechać banalną drogą przez most w Puławach (most w Annopolu był „nieczynny”) i pojechałem w ten sposób: „Za rzekę” przejechałem w Sandomierzu, tam wkrótce znalazłem się nad Sanem. Przez San chodził tam prom, już nie pamiętam, w którym miejscu przejechałem tym promem. Promy na Wiśle w Zawichoście, ten prom na Sanie to była czysta poezja. Przejechawszy San, znalazłem się już w Lubelszczyźnie.

Dojechałem do Lublina, gdzie zjadłem obiad. Z Lublina skierowałem się przez Parczew, a z Parczewa niedaleko, lasami, do Jabłonia.

Gucio przyjmował mnie niezwykle serdecznie, choć w domu było wiele osób. Osobiście oprowadzał po lasach, łączących się z lasami parczewskimi, i nawet urządził coś w rodzaju polowania. Ja nie strzelałem i nigdy nie strzelałem. Ale włączyliśmy się parę godzin z Guciem i jego uzbrojonym strzelcem po lesie. W perspektywach nie kończących się przesiek widzieliśmy przechodzące dziki, a raz przelatujące sarny. Guccio cieszył się jak dziecko, że mogłem widzieć tę zwierzynę.

Las był przepiękny. Chodzenie po nim sprawiało prawdziwą rozkosz — a zdawało się, że zarośla drzew ciągną się bez końca. Od czasu do czasu w lesie błyskało lustro stawu. W jednym z tych stawów Guccio zatopił swoje rzeźby, opuszczając dom w jesieni 1939 r., aby potem, po wojnie, przy pomocy dyrektora Lorentza i miejscowych ludzi, którzy mu w tym zatopieniu pomagali, dzieła te wydobyć. Część ich ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Dożynki przeszły *lege artis**, było dużo wódki, orkiestra żydowska z Parczewa czy Lubartowa i tańce do białego rana, wszystko na gospodarskim podwórku Jabłonia.

Następnego roku już była dramatyczna ewakuacja. Guccio w ostatniej chwili przyjechał z Paryża i zaraz ruszył w drogę powrotną. W „oficynie” pełniła obowiązki gospodyni Franka, przyjmując we wrześniu 1939 licznych uciekinierów z Warszawy. Tak

się złożyło, że miałem potem dwie szczegółowe relacje tego, co się działo w opuszczonym Jabloniu. Jedną była to relacja pana Tadeusza Skarżyńskiego, męża uczennicy mojej siostry, Marynki Węclawowicz (gałąź rozrodzonej rodziny Zdziechowskich), druga od Antoniego Bormana, który stąd zawrócił do Warszawy.

W okolicach, w lasach jabłońskich, odbywały się bitwy. Tutaj poległ Jarosław Skarżyński (Orcio), słynny „playboy” lat przedwojennych w Warszawie, oraz Krzysztof Mieczysławski, malarz, syn poety Jana Mieczysławskiego z Zakopanego, brat Witolda, tego, który w roku 1967 przeprowadził ten znakomity wywiad z Zamoyskim.

Od wojny (1939) do pierwszego przyjazdu Zamoyskiego do Polski (1956) kontakt między nami ustał. Ja miałem w tym czasie „objawienie” sztuki Zamoyskiego i poczucie najintymniejszego z nim kontaktu: było to spotkanie z pomnikiem Chopina, przez niego odlanym w Rio de Janeiro. Wielu pisarzy starało się oddać pejzaż tego miasta, ale jest to daremny wysiłek. Widok Rio de Janeiro z samolotu o świcie, widoki zatoki Guanabara, plaży Copacabana, plaży przed teatrem Opery to są widoki „nie z tego świata”. Na tym tle postać Chopina nasłuchującego — jak muszli — tego, co mu szumi w dłoni, czyni bardzo duże wrażenie, wrasta w pejzaż, w morze, w poszarpane tło gór w oddali, w palmy, w całą tę rzeczywistość Rio de Janeiro, która chyba nie ma sobie równej na świecie. Zamoyski miał ten szczególny dar, dar największych rzeźbiarzy, zaklinania w kamień czy raczej wydobywania z kamienia utajonego życia niepozornych ludzi, wyczarowywania ich wewnętrznej istoty. Życia Wierki, Nastki, Franki — i to nie tylko z rysów twarzy, ale z całej postaci. Jurek Szabelewski — znałem go — który pozował do posągu Chopina, „przeanielił się” w tę rzeźbę, a jednak w tym zamyślonym ruchu pozostał także sobą. W pomniku Chopina — najpiękniejszym pomniku, jaki znam — Zamoyski osiągnął czarodziejską sztukę: pokazał zwykłego tancerza, pokazał życie wewnętrzne w jego ruchu i jednocześnie stworzył Chopina wyidealizowanego, a prawdziwego. Zamoyski był poetą.

Oczywiście, kiedy Zamoyski przyjechał po wojnie do Warszawy, odwiedził nas w Stawisku. Widzieliśmy się z nim parę razy — tak samo, jak spotykaliśmy się w Paryżu. Pamiętam kiedyś uroczą kolację u Alicji Halickiej, wdowy po Marcoussis, gdzieśmy

spędzili parę godzin, wspominając dawne czasy, mówiąc o bliskich nam artystach, jak mąż Alicji czy Albert Gleizes, ale Guccio już był zajęty myślą o wieczności, mieszkał w klasztorze — a potem, po spotkaniu pani Heleny, stał się również zapalonym mistykiem, jak w młodości był formistą. Mówiliśmy o umarłych jak o żywych, a o żywych jak o umarłych.

A potem sam umarł. Nie wątpię, że był to jeden z największych plastyków, jacy obdarzali mnie przyjaźnią. Jego rzeźby dojrzałej epoki były wstrząsająco proste i głębokie. Jak napisał o Głowie Wierki Stanisław Rogoyski: „W cieniu wielkich zamasztych rzeźb Dunikowskiego stoi mała czarna Głowa Wierki. Jest ona zaprzeczeniem wszystkich porodinowskich niepokojów. Cicha, skupiona — powstała z głębokiego zapatrzania się w naturę i mistrzowskiego odczucia materiału. Wykuta w granicie i jak on zwarta, w swej prostocie nieskończenie wyrafinowana”.

Tak, to był wielki artysta. Ale ja go widzę po swojemu na tle lubelskich lasów w Jabłoni albo na tle starego Trocadero w Paryżu, na rowerze, z gołymi muskularnymi nogami, w małym czerwonym amilkarze, owiniętego w domorosłe szale, z nieodłącznym psem na rękę, krzyczącego mocnym głosem- „Każdy idiota wie, co to jest forma”.

Drogi Guccio. Wspaniały człowiek.

1976

Jak się po Polsce jeździ samochodem

Panu Wiktorowi Poznańskiemu

I

Ludzie miewają czasami dobre pomysły. Rzadko to się im na ogół zdarza, ale jednak. Skądże na przykład ta miła propozycja? — myślę sobie, odchodząc od telefonu, za którego pośrednictwem pan P. zaprosił mnie, abym towarzyszył jemu i jego matce w trzydniowej wycieczce samochodowej po Polsce! Mój Boże, zna się już co prawda to stare, pocziwe i piękne kraisko prawie jak własną kieszeń: na piechotę — chodziłem!, końmi — jeździłem!, koleją — drugą, trzecią klasą, ba, nawet pierwszą jeździło się tu i ówdzie! Ale samochodem 7-nigdy. Wiem, jakich przygód można oczekiwać, gdy się z plecakiem na ramionach chodzi od wsi do wsi, gdzie nie zawsze ludzie gościnni ani względni; wiem, jakie to rozmowy się nocami po trzecioklasowych wagonach kołatają, ho, ho, ważne rozmowy, o wysokiej polityce, o ludzkości, bardzo ciekawe rozmowy. Ale co spotyka Polaka, który chce kraj swój przemierzyć po wielkopańsku, po modnemu, wbrew dawnemu obyczajowi, nie w taratajce skaryszewskiej, żółtej, na resorach, albo zgoła na drągach, lecz w samochodzie — o tym mam się właśnie dowiedzieć.

Dzień sierpniowy — ileż to razy owemu najpiękniejszemu miesiącowi roku pochwały śpiewałem? — jak złoto wysadzone turkusami. Śniadanie ranne, godzina siódma, u państwa P. doskonałe. Dodge malutki, a miły, a śliczny, a mocny... Bardzo wesoło jest tak wybierać się w drogę. Czas jakoby zamarł — możemy wyjechać

za dziesięć minut, a jak nie, to za dwadzieścia, samochód nie pociąg — postoi, poczeka. Badamy mapy, ładujemy się, uśmiechamy się. Aleje Ujazdowskie prześliznęły w tej godzinie, powleczone mgiełką sierpniowego ranka, podobne są do jakiegoś wielkiego parku na obrazach Lancreta. Kupujemy gazety — żadne wieści jednak nie interesują nas naprawdę, gdyż się odjeżdża od tych wieści jak od miasta, jak od ceglanych kominów, jak od murów odrapanych, które właśnie mijamy, aby się na szosę grójecką wydostać. (Podobno ten zbiór wybojów nazywa się szosą!) Znowu bierzemy się do mapy. Kto ją tam rysował, nie wiem, dość, że szosy poznaczone wszędzie jak druty, zdawałoby się: kołem tę Polskę piastowską obejdiesz, wszędzie jak stół, wszędzie jak podłoga!

Za Grójcem — godne miasto! — to nawet wyboje na szosie się przeredziły i droga, wstążce podobna, ugina się pod wehikułem, podbija go, na mostki wrzuca, wiję się, ruchliwa, biała, przez pola pozłociste, zżęte albo w żniwach na pół obnażone. Z prosa gęstego w jednym miejscu wypłaszamy stado saren, widzę je jeszcze złote, płowe, w słońcu skaczą przez pola, co w dolinkach, przy mostkach, na lewadach zlewają się z zielenią wilgotnych łąk, od których idzie zapach gdzieniegdzie skoszzonej otawy. Radom prze- miga przed oczami — żałuję, że jeszcze dotąd nie poznałem tego grodu. W miasteczkach naszych jest nieraz zawarty czar nie do odparcia, a w każdym inny. Radom zapewne tak samo posiada swoją poezję, swego fryzjera, który pisze wiersze, swoje pensjonarki, czytujące Wierzyńskiego, swego księdza prałata, swego właściciela fabryki i swego bankiera-półboga... Ale nie wiem, nie znam Radomia. Za Radomiem, w Zwoleniu, mamy zawrócić na prawo — mapa nam wskazuje wąską drożynę czerwoną na Ożarów; czytamy znaki objaśniające: „drogi bite (szosy)” — pisze. Patrzymy, ani mowy! Zwyczajna droga, i to jeszcze, jak na Ukrainie, po wąskim paśmie grudy ciągnie się jak wstążeczka malutka drożyna. Cóż robić, kochany dodzyk sapnął, podskoczył parę razy i jedzie! smaruje! Kto mówił dotąd o wybojach, ten mówił rzeczy śmieszne, teraz dopiero jest co pokazać ludziom; zapewne całe hordy słoni znęcały się nad tym szlakiem przez całą zimę, wiosnę i lato, ryły w deszcz, w pogodę podrywały, aby wreszcie nam na przejazd taką drogę usłać. Ale nic, co tam, jedziemy! Pani P. siedzi obok szofera, na kołysanie się uskarża, my we dwóch w siedzeniu, nic już nie mówimy. Trochę dywertysmentu mamy w Tarłowie, gdzie

pośród ubóstwa, rzadkiego ubóstwa, stoi ogromny kościół niebieskawy z dwiema olbrzymimi, niekształtnymi postaciami świętych na frontonie. Rzeźby te sprawiają niesamowite wprost wrażenie — nie widziałem tego w żadnym kościele w Polsce, a muszę sobie pochlebić, że widziałem ich sporo.

Sandomierz przyjmuje nas cichy, pogodny, malutki, jak zawsze. Dzień jest powszedni, popołudnie cichuienie, Brama Opatowska spogląda na nas z pogardą, gdy hałasem samochodu budzimy jej sen i echo pod sklepieniem. Nawet nie bardzo się na nas gapia, łazimy sobie trochę po mieście, państwo P. chcą oglądać miasto, a tu nie ma nic do oglądania; należy się tylko wżyć w to cudne uspokojenie — to wszystko. Obiad; po zmęczeniu wyboistej drogi w uszach jeszcze szumi, rynek i ratusz na rynku starożytny, za Leszka Czarnego stawiany, jakieś chłopaki przerwały sobie najmiłszą zabawę, aby obejrzyć kratkowane pończochy pana P. Katedra pusta w tej dobie, cicha, ogromna, parę fresków ruskich malarzy Władysława Jagiełły odkryto niedawno na jednej z bocznych ścian prezbiterium; patrzymy na te ek&presjonistyczne malowidła, zwłaszcza Zesłanie Ducha pełne jest niewypowiedzianego czaru.

Jeszcze jest jeden kościół, kościół Świętego Jakuba. Zrosło się z tą nazwą tyle literatury, tyle barw; i święta Kinga tu, i święta Jolanta, i Żeromski z Popiołami, i ten cudowny książę Gintuł, i Frycza kaplica, co dekoracją swoją przypomina Jamę Michalika — tak wszystko się tu splata w plecionkę najrozmaitszych treści pełną: całe polskie życie.

Z kościołem Świętego Jakuba to najgorsza heca! Ktokolwiek kiedy będzie jeździł samochodem po Sandomierzu, pamiętaj, odbądź tę wycieczkę piechotą, a nie zaufaj, jak my, niedoświadczeni, przewodnictwu dwóch chłopców, którzy nas wpakowali w Wąwóz Królowej Jadwigi — dziwowało się zapewne stare wąwozisko, które smoków hałasujących od dawna już nie widziało — i wpakowali na drogę do kościoła, przezornie kołkiem wbitym w pośrodku przegrodzoną; nieopatrzni, dlaczegoż nie posłuchaliśmy wymownej tej przestrogi? Ominęliśmy jeden kołek przy początku, drugiego przy końcu nie sposób, a tu deszcz. Samochód ani w tył, bo zawrócić nie może, ani w przód, bo kołek. Korzystamy z ulewy, uciekamy do kościoła, cicho tam, zimno, cudownie, tak nabożnie bardzo! Ale deszcz coraz gorszy, jakoś wracać trzeba; samochód cofa się jak rak i cudem omija kołek, wprzód z taką brawurą wzgardzony, odwraca się prawie na miejscu, bo wszędy urwiska, i pakuje się z powrotem w Wąwóz Królowej Jadwigi. Wąwóz lessowy od deszczu w jednej chwili stał się śliski i śliskie błoto koła oblepia — zataczamy się w prawo, w lewo, wreszcie z wysiłkiem bierzemy górkę pod katedrą, samochód się ześlizguje, tym razem gorzej, bo auto stacza się z urwiska i bokiem wspiera się na jakimś płocie. Dobry płot, mocny płot, widać tam po piastowsku w tym Sandomierzu jeszcze płoty budują. Gdyby nie on, leżelibyśmy na dnie głębokiego urwiska — w jakim stanie, Bóg to raczy wiedzieć!

Ledwieśmy się wygramolili z tego auta, pani P. błada jak płótno, pan P. wymyśla, ogląda się za pomocą, a ja z szoferem — co czas tracić mamy? — zrzucamy kurtki, zakasujemy rękawy i hajda, podnosimy samochód. Tyleśmy na tej zabawie uzyskali, że szkło przednie poszło do diabła, a samochód tylko się głębiej zaparł, tylko mocniej, aż zaczął trzeszczeć, na płot nalegał, i już, już, sam tym razem, miał na dnie przepaści spocząć. Pan P. poszedł po jakieś konie. Przywiedli konie, jedna para, druga para, przyprzęgli, biją, huśkają, poganiają, przytupują, a konie sparły się w sobie, samochód sobie, konie ślizgają się, padają, bo less jak masło —

a samochód niby pijana persona na boku leży, o płot się wsparł i tylko sapie, i tylko dygoce. Nic nie pomaga! Ubabraliśmy się z szoferem, deszcz minął, słońce świeci, w katedrze na Anioł Pański biją, idzie gromada żołnierzy pod dowództwem kaprała. Jak się p. P. do nich wziął, poprosił grzecznie; skomenderował kapral, zabrali się do roboty: konie ciągną, żołnierze pchają, dzwony biją, niebo słodkie; pcham i ja, pcha i szofer, któremu pręt od budy czoło pokrwawił; pani P. stoi na górcie w angielskim kostiumie, światłą radą pomaga; dał się samochód namówić, wypchał się na górkę, stanął przed katedrą zapačkany, zasmolony, odrapany, ale zdrów, ale dziarski, ale dodge.

*

Jedną z najmiłszych dróg w Polsce jest droga pomiędzy Sandomierzem a Opatowem. Ciągnie się grzbietem wzgórze, a od niej jak odnogi spływają drogi, dróżki i ścieżyny, prowadzące do wiosek i folwarków po obu stronach. Wszystko to razem — pochowane wioski, te pochowane folwarki, których kominy tylko nad drzewami widać, mają wdzięk prawdziwej, odległej o sto mil od wielkiego miasta wsi. Tak sobie idzie, jedzie, pędzi człowiek tą drogą (używałem wszystkich trzech sposobów) i myśli o nieznanych ludziach, którzy się w tych domach kryją, o nieznanych domach, które się pod drzewami kryją, i to, że nie pozna ich nigdy, że nigdy nie staną się one zwyczajnymi domami — owiewa je zapachem poezji.

Drogą tą, mijając pałac szambelana Karskiego, który tak miło spogląda na gazon strzyżony, mijając tegoż szambelana cukrownię, która tak miło świadczy o zamożności domu, zbliżamy się do Opatowa. Wjazd do Opatowa, jak żadne inne miejsce na ziemi polskiej, przypomina podjazd do podolskich miasteczek. Urwiska te same, drzewa te same. Na Placu Wilsona (ileż teraz po Polsce tych zabawnych rynków zamianowanych placami Wilsona, Hoovera?) otacza nasze zmęczone auto tęga masa podrostków, urwisów; zmrok zapada powoli, bardzo zbiedzony szofer zmienia gumę na kole, a my tymczasem idziemy oglądać to samotne чудо, wyrosłe jak kwiat w głuszy, gdzie oko ludzkie rzadko dociera...

Na podścieli z gęstej aksamitnej trawy stoi jeden z najprawdziwszych domów Bożych, jakie ma Polska, surowa świątynia,

Wszystkich polskich świątyń królowa - kolegiata opatowska. 01- brzmia, dzika, samotna, opuszczona, mchem zarosła - w ten smutny przedwieczny wydaje się czymś najosobliwszym na świecie Proste linie wielkich ciosanych gładów, romańskie okienka wysokie i malutkie i dwa fantastyczne zwieńczenia, patyną wieków okryte, przypominające dwa gigantyczne kwiaty złotogłowiu nad wieżami, skąd stada kawek z krakaniem zrywają się i polatują. Serce się kraje, gdy człowiek pomyśli, że równie cudowne były katedry i w Płocku, i w Włocławku, i w Łowiczu — zanim przystąpiono do barbarzyńskiego ich odnowienia. Ta, z dala od ludzkich dróg współczesnych stojąca, ocalała, i mamy ją przed sobą w całej krasie, w całej potędze wieków.

Wspomnienie o niej jest podobne do wspomnienia morza, do wspomnienia dzieciństwa, do wspomnienia stepu — jak skała, o którą wieki się oplukwały, stoi zamyślona i wielka. Jak dobrze, choć żałował tego pan P., że nie ma do ciebie kolei, że nie jeżdżą oglądać cię turyści z przewodnikami w ręce i że czasem jakimś tylko zabłąkańcowi ukazesz się jak boskie objawienie, stara kolegiato!

[Za Opatowem szosa dobra. „Przed rokiem — zwracam się do towarzystwa wyprawy — mierzyłem tę szosę piechotą; niedaleko sięgała. Tu był taki folwarczek, przed którym stała maszyna do ubijania drogi, a dalej już były same kamienie i szaber usypany, ale nie ubity...” — ledwie tych słów domówił, patrzymy, a tu jest folwarczek, jest maszyna do ubijania! Nic się od roku nie zmieniło! A dalej same dzikie kamienie, usypana nimi droga, po obu stronach rów, objazdu nie ma i biedny dodge sunie, kalecząc sobie łapki, przez te kamieniska ostre, twarde i zgrzytliwe. Dobre to na kilometr, ale tu coraz więcej tych kamieni, a coraz grubsze, a coraz dotkliwiej drapią opony. Nie ma co, ładna szosa (na mapie czerwona linia jak drut aż do samych Kielc); niech cię diabli porwą, mapo kochana, kochana polska roboto! Samochód ledwie idzie, zgrzyta i sapie, mrok zapada, szofera zranione czoło boli, oczy też, bo zbite szkło nie osłania mu twarzy od wiatru; no, no, myślę so-TM p - i?

Po olsce samochodem, cywilizowany człowieku. Aż tu HH poczynają się jeszcze lepsze bezdroża, ciemność jesh-
rowrt"zvm^o^o^PMe^TOSTki5 r0ZWarte liii Hi^{koło Ła}»
gowa zatrzymuje nas ,akis młody, życzliwy Izraelita i powiada: 170

fanie, przez ten mosi, co przeu nami, co pan nie przejedzie!

— No, no — powiadamy — a jakże inaczej?

— To państwo musi wrócić do Opatowa, a potem stamtąd na inną szosę...

— Ładny kwiat! A potem przez Dęblin i Lublin na Kielce, co?

— No, bo przez ten most to nawet furmanki nie jadą, bo całki zgniły.

— E, gadanie!

Ciemno, mostu nie widzimy, więc nam i nie bardzo straszny; zresztą rzeczka nieduża, spadać nie wysoko, a do Kielc pora, kolacja pachnie! Albo się czytało Verne'a, albo się nie czytało! W osiemdziesiąt dni naokoło świata% czyli w osiem godzin naokoło Polski! Rozpędzamy się i bierzemy most na szybkość; po prostu nie miał czasu się zawalić. Ja miałem tylko czasu tyle, aby się obejrzeć i zobaczyć, jak prawe tylne koło przemknęło się tuż nad czarną przepaścią, jaka się utworzyła pomiędzy ostatnią belką mostu, a zerwanym brzegiem... tej sekundy mi wystarczyło!

Tu był jednak kres przygód na dzień dzisiejszy. Droga lepsza, szosa nawet zupełnie dobra. Z obu stron — jedziemy wzdłuż Świętokrzyskich Gór — wzgórza, lasy, doliny zapelnione mgłą i księżyc wstaje niebawem. Mgła rozlewa się na podobieństwo wody, na lewo w dolinie wydaje się nam, że płynie wielka rzeka, na prawo Klonowe, Jesionowe, Świętokrzyskie Góry, lasem pokryte, napelniają wyobraźnię dreszczem. I Święty Emeryk się przypomina, i zbójce świętokrzyskie, i stara książeczka w żółtej okładce, gdzieś czytał w pierwszych latach życia legendę o Madeju, i Rafał 01- bromski, który tu polował... Cudowne są te mieszaniny literatury i życia, mgłą okryte góry podobne do poematów i księżyc we mgle, który się teraz tylko do wierszy daje porównywać.

Piękne miasto Kielce, piękny hotel „Bristol”, doskonała kolacja i sen, sen kamienny, najpiękniejszy ze wszystkiego!

Rozgadałem się. Trudno, muszę kończyć, choć podróż nasza nie skończona. Ani więc opowiem, jakośmy w Miechowie wpadli na procesję, ani jak pakowaliśmy się przez Skałę do Ojcowa; naprzód po pas w błocie jechaliśmy polną drogą, że aż wodą trzeba było zapały naszej maszynki ostudzać, a potem do doliny Prądnika zjeżdżać z pieca na łeb po drewnianych okrągłakach; żeśmy się nie pozabijali — cud boski; ani opowiem, jak w Częstochowieśmy bawili, ani jak jeździliśmy do Złotego Potoku, ani jak i za co przeklął nas hotelarz w Częstochowie i co z tego wynikło...

Chcę tylko jeszcze powiedzieć, jak nazajutrz z rana w deszczyk z Kielc jechaliśmy cudowną drogą w stronę Chęcina i jak gdyśmy już z bliska do Chęcina podjechali, nagle mgły się rozwiały i ponad brudnym miasteczkiem na wzgórzu, niby korona fantastyczna, ukazały się ruiny. Mgła powiększała ich rozmiary, wyolbrzymiała olbrzymie wieże i zdawały się być niesamowitą dekoracją — a potem, w miarę, jakieśmy serpentynami wśród lasów od nich odjeżdżali, coraz mniejsze, coraz dalsze, bardzo wreszcie dalekie, wciąż na szczycie wzgórza widniały te najpiękniejsze, do królewskiej korony podobne, ruiny...

1922

Wisła

Wyobraź sobie dzień bardzo podobny i jesienny spędzony na Wiśle. Ale to nie tak łatwo sobie wyobrazić. Widok to swoisty i skomplikowany, i ja sam nie wiedziałbym, jak to wygląda, gdybym takiego dnia nie spędził przed niedawnym czasem. Byłem jak zwykle w czasie jesiennym, w Sandomierzu, jak zawsze oczarowany krajobrazem, jaki się wynurza tuż za miastem, fałduje się i wygina, pokryty wędną barwą i poblaskami nici babiego lata, które w tym roku są prawdziwymi, gęstymi nićmi i lecą wysoko w powietrzu, tak że odlatujące od nas dzikie gęsi zabierają je z sobą na skrzydłach, ostatnie wspomnienie naszej smutnej ojczyzny, do której muszą i chcą wrócić.

Bo jednak wszędzie jest dobrze, ale u nas najpiękniej i może... najlepiej. Ale to „najlepiej” już, jak widzisz, pod znakiem wątpliwości. I zaraz się dowiesz, dlaczego. Najpierw zacznijmy od „najpiękniej”.

Więc dzień z początku przykryty chmurami białymi i niewyraźnymi, jeśli chodzi o pogodę. Wczorajszy silny wiatr pochował jeszcze jakieś zapasy i resztki po wybrzeżu i ciągnie mocno. Ale doświadczeni powiadają, że taki wiatr przegoni chmury i zaraz się słońce pokaże.

I rzeczywiście, w miarę jak stara motorówka (którą, jak mówi podanie sandomierskie, ten sam inżynier w 1914 r. zatopił w Wiśle jako Austriak, a w parę miesięcy potem z Wisły jako Polak wydobył), w miarę jak stara motorówka posuwa się w dół rzeki, zasłona nieba ściąga się w sposób bardzo osobliwy; naprzód przedzierają się chmury, jak rozłazący się miękki materiał, przebły-

skuje jeszcze oarozo błady błękit — ale już zaraz biegną po rzece jasne plamy, przebiegają cienie i kiedy podnosi się głowę do góry, widać jak jasne polanki niebieskie zmieniają się w szafirowe połacie, a biały materiał, wypełniający niebo, przemienia się w puszyste wyspy, płynące okręty o łabędzich żaglach.

Rzeka w zmiennym słońcu leży przed nami. Jest to teraz jednolity szarawy obrus. Woda w tym czasie jest duża i łożysko Wisły aż po brzegi, aż po zieloną, dziwnie jak na tę porę roku szmaragdową wiklinę, napelnione jest bystrą, śpieszącą się wodą.

Sandomierz teraz wznosi się przed nami w całej swojej krasie. Widać całą jego sylwetkę osobliwą i zdaje się jedyną w naszym polskim pejzażu. Na wysokiej górze rozłożone, do korony królewskiej podobne miasto. A w perłach tej korony teraz dwa nowe przybywają klejnoty. Oto z jednej strony, tam, gdzie widnieje biała i potężna sylweta osobliwego zamku — o którym się nie mówi i nie pisze teraz dużo, jedynie dla tej przyczyny, iż jest on przykrym dysonansem w tym łagodnym i pogodnym pejzażu: obrócono 20 na więzienie — tam, gdzie za zamkiem czerwona masa kościoła Świętego Jakuba, a za nim dach domu księży emerytów, gdzie wieża

kościół Świętego Pawła, tego najbardziej polnego i polskiego z sandomierskich kościołów, chowa się w zieleni drzew i sadów, wynurza się szkielet czerwony. Budują tam- na wzgórzu ponad Wąwozem Królowej Jadwigi podnosi się mur szkoły zawodowej. Po drugiej zaś stronie królewskiej korony Sandomierza, na wysokim wzgórzu, które nawet i nad miastem góruje, gotowy już pod dach podnosi się budynek szkoły innej: gimnazjum żeńskiego. Nareszcie teraz ten piękny budynek z gołej cegły i bez okien robi wrażenie jakiejś asyryjskiej świątyni — uspokójmy się: jest jeszcze jedną więcej świątynią wiedzy — obok tylu innych świątyń, jakie się w tym miasteczku zgromadziły.

Ale oto już i Pieprzowe Góry. Z dwóch wielkich znawców Sandomierza jeden objaśnia nas, że nazwę swą dźwigają One od tego, że nad nimi w malowniczej pozycji wybudował kiedyś swą letnią siedzibę sandomierski rajca miejski nazwiskiem Piper; drugi powiada, że skład geologiczny tych gór zawiera małe drobiny mineralne, kształtem i kolorem pieprz przypominające, i że dlatego tak je nazwano. Patrzę na to w oczy jednemu z moich towarzyszyw podróży, i zdaje się rozumiemy, co chcemy przez to spojrzenie powiedzieć. Jednak, mimo wszystko, my jedni jeszcze — my, klerkowie — „coś niecoś tu wiemy”. Oficjalna, nawet najbardziej oficjalna nauka zawsze będzie wywodziła nazwy od drobin pieprzowych i od nazwiska Pipera jednocześnie i będzie nam dawała w ręce tysiączne rozwiązania tego samego zadania — a żadne z tych rozwiązań nie będzie odpowiadało (jak to Jeans mówi) żadnej rzeczywistości. Nasyćwszy sceptyzm tym jednym spojrzeniem — bo przecież nie można oddawać się sceptyzmowi w takim porywającym pejzażu — znowu zwracamy nasze oczy w stronę rzeki.

Jakoż i miasto samo jak za kurtyną chowa się za Górami Pieprzowymi i ucieka, ponieważ skręcamy wraz z Wisłą na północ. Oto i ujście Sanu.

Wody i brzegi tej rzeki spokojne i jednostajne. Nie ma żadnych niespodzianek na tle tego niebieskiego obrusa ujętego w puszyste brzegi wiklin. San był całkowicie uregulowany za czasów galicyjskich. Obecnie, oczywiście, jest zaniedbany i powoli się za- piaszcza. Jeszcze tego nie znać, ale staje się podobno coraz mniej „navigable”*. Dno się zamula niesionym z Karpat piaskiem i rzeka powoli dochodzi do swojego stanu pierwotnego. Czy dojdzie z powrotem do niego? Czy prace galicyjskie zapomniane zostaną z kretesem? Czy rzeczywiście Polska się nie zdobędzie na zajęcie się swoimi rzekami?

Jak pięknie pisał niegdyś Żeromski, porównując Wisłę do ptaka, który skrzydła swe w postaci dopływów nad Polską rozcina. Jak zawsze, wielki pisarz przeczuwał i zajmował się wszelkimi problemami Polski, które dziś dopiero dla ogółu stają się aktualne. Pamiętam, że zakończenie Urody życia w czasie, kiedy powstała ta piękna książka, nie było dla wszystkich zrozumiałe — i ów lotnik, Ikar o strzaskanych skrzydłach, który z dała wskazywał palcem pomorskie wybrzeże, może miejsce, gdzie stoi dziś Gdynia, tkwił wówczas w pustce, podczas gdy dzisiaj jest czymś prawie banalnym. Podobnie zakończenie Przedwiośnia.

Problem Wisły on także przeczuł i powracał do niego wielokrotnie. Niekoniecznie najplastyczniej w swojej poetyckiej książce, tej rzece poświęconej.

Powiada tam jednak:

„Ujmie nareszcie brzegi wiślane plemię w jedno zrosnięte. Obwałuje je wreszcie niezłomnymi tamami, zabezpieczy na zawsze zlotodajne niziny, wszelkimi pracami wymiecie nierówności dna, rozległe mielizny, bruzdy i wzgórza, fałdy i jamy ze stromymi ścianami, studnie kilkudziesięciu głębiny, wywiercone przez nagłe wiry. Powiększy i unormuje głębokość żeglowną, ułatwi ruch lodów.

Zaginie w Wiśle odwieczna nieplodna łacha i odwieczny, rokroczny zator — czterokrotna śród roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczyliśko i obłądnie chodząca masa wód.

Podjęte znowu zostanie dzieło Wielkiego Kazimierza.

Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy skut i komięg, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska.

Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy plemienia dwie potęgi: bezzmiar węgla, dostawiany do miast i wsi przez rzekę, posłusznie pracującą w ciągu stuleci

Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody — Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk”.

Otóż plemię w jedno zrosnięte, o którym tak pięknie marzył wielki i ostatni romantyk polski, nie podjęło dzieła Kazimierza Wielkiego — i setki tysięcy „skut i komięg” nie zeszyły jeszcze na

srebrzyste lustra wiślanych wód. Widziałem podczas długiej podróży z Sandomierza do Zawichostu i znacznie dalej... jedną „ko-mięę”, jak poetycznie pisze Żeromski. W powrotnej drodze widziałem i drugą — pokazywali mi ją gospodarze Wisły, którzy by chcieli widzieć wszystko najlepsze — ale mam głębokie przeświadczenie, że to była ta sama.

Za Zawichostem bowiem kończy się jakakolwiek cywilizacja królowej naszych rzek. Tam jeszcze, gdzie przed wojną ciągnął się brzeg austriacki, gdzie mozolnie i nieudolnie, zdaje się, ale w każdym bądź razie jakoś nad uregulowaniem brzegów rzeki pracowano, wygląda Wisła dość cywilizowanie. Ale od chwili, kiedy się mija ujście Sanu, zaczyna się wodne bezdroże, a dalej po prostu dżungla i dzicz.

Zaraz za Zawichostem odbiega od rzeki wielka łacha — szersza od głównego rzeki Wisły koryta — trzeba być doświadczonym żeglarzem, aby odróżnić, iż wielką tą łachą ciągną się płycizny i mielizny, podczas gdy wąskim głównym nurtem — głębie i wiry głębiopradu.

Dalej idą mielizny, ławy, a gdzie nawet woda jest głęboka, nasza motorówka, która dna nie szuka, kręci się po farwaterze jak po zakrętasach jakiegoś labiryntu, zwracając się raz w tę, raz w drugą stronę. Płaskie wyspy ciągną się po prawym brzegu, brzeg sam, jak osuszona mielizna, zaczyna się słać niski i piaszczysty. Powiadają, że kiedyś przy pierwszej lepszej wielkiej wodzie łatwą tutaj będzie miała Wiselka robotę. Raz się tylko machnie, szarpnie i pójdzie tamtą lubelską stroną, zalewając całe kilometry żywej ziemi, a obnażając piaszczyste i nieurodzajne dno swoje.

Nie można powiedzieć, żeby to było brzydkie. Przeciwnie, nieskończone rozlewiska, przemieniające wartką rzekę w jasne i ciche jeziora, gdzie prąd gdzieś się kryje i wije jak wąski strumyk po niebieskiej łące, są przepiękne. Na wielkich połaciach jasnej wody zasiadają stada ptactwa. Kaczki, czajki, dzikie gęsi wielkimi chmarami zrywają się przerażone warkotem motorówki. Jeżeli się bliżej podjedzie do brzegów, gdzieś na tle zielonej łąki albo na złotym jak makata piasku widać srebrne sylwety ptaków. To czapla, ptak królewski, stoi tutaj na czatach prawie nieruchoma, a czujna niezwykle i trwożliwa. Parami albo czasem w trójkę stoją wielkie ptaki na jednej nodze i oko zwrócić to na dno rzeki, aby tam bieg upatrzonej ryby wyśledzić, to patrzą na zbliżającego się potwora. Blisko nie

dadzą podjechać. Zrywają się, i widok ich jasnych skrzydeł na de jesiennej zieleni lubelskich łąk przywołuje pierwotne, przedhistoryczne wspomnienia, które drzemią w naszych prymitywnych duszach..

Rybitwy białe także jeszcze się spotyka, po parę, po jednej, siadają zawsze daleko, jedynie czajki niczego się nie boją i lecą nad nami z żalobnym, żalonym krzykiem.

W pewnym miejscu nagle te łąki płaskie przemieniają się w diuny małej Sahary i na piasku szczerym i złotym jak metal wyrastają wielkie i wysokie sosny. Samotne drzewa nie nadające się do pejzażu, obok pełno zielonych topoli i wierzb, zamieniają to nadbrzeżne miejsce w jakieś tajemnicze uroczysko. Na sosnach pełno gniazd wronich i czarne ptaki krążą naokoło czarnych drzew z ponurym krzykiem, przerażone, zdaje się, widokiem ludzi, których rzadko widują.

Bo też i pustkowie tutaj przedziwne. Wioski i miasta jak gdyby usunęły się od swojej królowej i ona jak niepopularna monar- chini płynie nie wśród miłości swego ludu, który się nie garnie do jej kolan, ale w wyniosłej i dumnej samotności; a ludzi, którzy ku

piej przychodzą, ogarnia nie miłość i wdzięczność, ale strach przed Rej ślepym i nieopatrzny gniewem, który może zniszczyć każdej chwili plony nie tylko tegorocznej pracy, ale dziesiątkami lat używane pola obrócić w dzikie piaszczyska.

Kiedy dojeżdżamy do wysokiego różowego jej brzegu lewego, gdzieś koło jakiejś Słupi Nadbrzeżnej, gdzie ludzie się pobudowali, kifni w obronę wysokiego brzegu — z wyniosłości hen pod drzewem, na najwyższym punkcie brzegu wyrosłym, można ogarnąć okiem niezmierzone równiny wód i mielizn rozlanych, płaszczyzny łąk i pól po tamtej stronie. Jak okiem sięgnąć, tylko kratka pól. Na horyzoncie wśród drzew zielonych nadbrzeżnego parku widać dach czerwony jakiegoś dworu, a ponad nim na połogich, szerokimi spadami ku dołowi opadających polach tęskne wielkie kopy zboża, jak bladeżłote ule. A na tamtym brzegu, gdzie szachownica żółtych, czarnych i zielonych, prawie niebieskich w tym oświetleniu pól ukazuje, że leżą tam chłopskie dziedziny — mały konik z pługiem spaceruje tam i z powrotem, poganiany leniwym biczyskiem.

Powiadam do moich towarzyszy:

— Patrzcie, panowie, tam jeszcze sochą orzą!

I aczkolwiek wszyscy wiedzą, że to nie socha, nastrój nad niezmierną rzeką jest tak prymitywny, tak pierwotny i tchnący zarazem historią, że wszyscy podzielają moje wrażenie.

Bo tutaj, na tym padole nic się nie zmieniło od czasów najdawniejszych. Jeżeli kto rozmiłowany w polskim średniowieczu chce je odcyfrować z ksiązek czy budynków i gniewa się, że tak mało wyczytać może, niech pojedzie w te miejsca wiślane i opuszczone, w te pola nadbrzeżne, te uroczyska pełne gawronów i jemioly, na te rozlewy, gdzie kaczkami setkami się zrywają, i na pustkowia nieurodzajne, przerażone i biedne. Cała krasa naszego średniowiecza, cała jego poezja, cały jego bezsilny dramat wiecznych tatarskich najazdów, wiecznych wiślanych powodzi, tutaj jest żywy. Tutaj możemy przyłapać rytm stuleci, które w naszej historii nic albo niewiele zmieniły, przyłapać działanie natury, które powoli, ale jednostajnie, podmywa wysokie brzegi i zatapia niskie.

Jeden z moich towarzyszy mówi o tym średniowieczu bardzo pięknie. Bo jakże nie mówić? Wszystko, co tutaj czynili Grzymi- sława, Leszek Biały, Święta Salomea, Jagiełło, jest do dziś dnia aktualne. Po wielkich postaciach piastowskich nikt inny wielki tymi brzegami nie chodził, i to, co oni tutaj czynili i co zbudowali, jest jeszcze po czasy nasze rozsądnikiem życia i gniazdem pracy.

Na przykład — kiedy zwiedzamy Zawichost, ubogie i smutne miasto — przychodzimy do szkoły rzemieślniczej, która się kryje w murach klasztoru, niegdyś przez świętą Salomeę zbudowanego. Oprowadza nas mały dyrektor w czarnym długim surducie, trochę podobny do Leśmiana, a trochę do jego wierszy. W wielkiej sali na parterze byłego klasztoru, w przedziwnie sklepionym refektarzu ustawiono warsztat ślusarski. W tej wielkiej szkole rzemieślniczej, dźwigniętej z nicości rękami społeczeństwa, najwięcej na ślusarzy uczą: jest tych przyszłych ślusarzy koło stu osiemdziesięciu, podczas kiedy inne fuchy mają znikome cyfry zwolenników, kilkudziesięciu czy kilkunastu nawet stolarzy i ośmiu krawców!

Otóż w przepięknym refektarzu warczą tokarki metalowe i inne maszyny, pasami i stalowymi trybami sięgające pod poetyckie zworniki jeszcze niezbyt smukłych i o romańszczyźnie marzących sklepień. Na jednej ze ścian resztką jakiegoś fresku. Przez malutkie okienka widok na wzgórze okryte jesiennymi kwiatami, a potem na dal srebrzystą mgłą już się okrywającej Wisły.

Na środku szerokiej wstęgi tkwi jak na obrazie Kossaka prom, płaski, wielki, który od setek lat tędy wozi ludzi i towary na lubelską stronę. W tej chwili na promie stoi para koni — przed chwilą widzieliśmy je stojąc na brzegu — para koni jest malarsko klasyczna. Jeden jabłkowy siwek, drugi gniadoszek, spokojnie stoją koniki, snadź przyzwyczajone do takich podróży, kobiety w kolorowych chustkach, które wiatr wodny rozwiewa, mężczyźni starzy, młodzi z batami i z kijkami w rękach, w granatowych typowych kaszkietach, a na wozie czerwone jabłka. Wieje wciąż jakąś przeszłością — tym razem bałagulską, niedawną, a pozornie minioną. W tym promie, w tych ludziach jest coś z atmosfery jedynej i bardzo polskiej, prowincjonalnej i pięknej, coś z atmosfery niezapomnianej Wędrowki Joanny. (Może dlatego tak lubię tę powieść, że tak lubię naszą prowincję).

Ale nasz dyrektor w czarnym surducie odrywa nas od kontemplacji widoku, który zapewne i Grzymiślawę, i jej córkę Salomeę czarował. Dotąd nas jeszcze prowadzi: jeszcze jakieś warsztaty pokazuje, które nas wzruszą swą naiwnością i ubóstwem, i mijając fresk, wy drapany spod warstwy białej gliny, powiada:

PI

yj^J — Jeszcze dużo jest takich tutaj fresków podobno pod tyn-kiem. Ale my ich nie odgrzebujemy. Bo i po co?

Ktoś powiada*

"— Chwała Bogu, że nie odgrzebują.

A ja mimo woli z moim przyjacielem przystajemy przed fragmentem fresku i zaczynamy się zastanawiać, co on może przedstawiać.

Cóż, jak nie symbol doskonały i bardzo aktualny: koło żywota. Krzywa linia, ukazująca zmienność wszystkiego, co się na świecie dzieje, znikomość tego, co się toczy i ucieka, a wieczność tego, co z natury swej jest stałe. To znaczy znikomość wysiłków człowieczych i wieczny tryumf przyrody.

Zapatrzyłem się na ten fresk zanikający, a tak wymowny: kiedy wychodzę na podwórze, tam wielka jakaś kłótnia czy spór. Coś ktoś komuś tłumaczy podniesionym głosem, i nie wiem, co się dzieje.

Na środku podwórza stoją w wielkim dole, nie wiadomo, po co wykopanym, jacyś dwaj smętni uczniowie tej szkoły z łopatami. A pan dyrektor przed chwilą powiedział memu przyjacielowi, zapamiętałem miłośnikowi starożytności krajowych, że tutaj dzisiaj uczniowie wykopali worek, taki całkiem zbutwiały worek, a w nim pełno srebrnych blaszek.

— Gdzie jest ten worek? — ryczy mój przyjaciel.

— A czy ja wiem? — powiada niewinnie nauczyciel — któryś z uczni wziął.

Mój przyjaciel włosy sobie teraz wrywa na głowie — a nie ma ich znowu bardzo wiele — i coraz to dalej sięga w określaniu domyślnym wieku tych blaszek. Czy to były jakieś z czasów Jagiellonów monety? Nie, nie, na pewno wiek XII albo XIII, z czasów tatarskich inwazyj. A może jeszcze rzymskie? Albo jeszcze dawniejsze? Może na podstawie tego znaleziska można by było potworzyć tysiączne nowe hipotezy? Może promień światła spadłby na nie dające się rozjaśnić wieki polskiej historii?

I oto kiedy już w cieniu fiołkowych gór nadbrzeżnych i silnych brzegów mkniemy (przesada: „mkniemy”, wlecmy się) w górę rzeki i woda staje się jak na obrazach Gierzyńskiego, wybucha wielki i nigdy nie kończący się spór. Co ważniejsze?

Czy to, że te parę setek chłopców przytuliło się na wzgórzu świętyni mistycznej i uczą się pracować? Bo bez tego zbijałoby

bąki i bili się między sobą, i ranili nożami po pijatykach i weseliskach albo by kradli, albo wegetowali marnie. Czy ważniejsze jest to, że przez tę ich umiejętność pracy, przez uratowanie ich od ciężkiego smutnego losu — niechby i częściowo tylko uratowanie, to i to już jest dobrze — zepsuło się ten klasztor starożytny? Że się przybudowało do romańskiej przepięknej budowli straszny gmach z niebielonej rudej cegły? Że się nie odnawia fresków, gdzie jakiś malarz wymalował wieczne biegi koła żywota? Że zworniki refektarza popsute są przez żelazne tokarnie i tym podobne barbarzyńskie sprawy? A może ważniejsze jeszcze to, że te tokarnie i te warsztaty, i ta szkoła, i sposoby nauczania są jeszcze tak prymitywne i ubogie, i że nie odpowiadają zupełnie poziomowi nauczania na Zachodzie? Że ci chłopcy, ślusarze, którzy pracują w tych warsztatach, nigdy nie widzieli dobrze samochodu? Że nawet lokomotywa jest dla nich rzadkością? Bo Zawichost nie posiada kolei. A szosy, pożał się Boże; jeszcze święta Salomea i święta Kinga narzekały na nasze drogi, uciekając od Tatarów!

A może to ważne, że „srebrne blaszki” przypadły teraz na wieki wieczne i tym samym zagubiło się jedno z ogniw pomiędzy dawnymi a nowymi mieszkańcami tego wysokiego i pobożnego grodziszczka?

Dzielimy się na dwie grupy i skaczemy sobie do oczu, aby po chwili uniesienia przyznać sobie samym i swoim przeciwnikom, że właśnie i to, i tamto jest jednakowo ważne, i że na tym polega umiejętność życia kulturalnego: sprzęgnięcie tego, co jest ważne dla nowego życia, i tego, co dla szacunku i znajomości minionego życia koniecznie trwać musi.

Więc także dochodzi się tej konkluzji, że pomimo piękna, jakie rozsiewa naokoło siebie nieuregulowana, dzika Wisła, pomimo czaru jej niezmiernych głębi i jej napadów nagłych i potężnych — musi być Wisła uregulowana. To, co dotychczas się zrobiło w tym kierunku, jest nędzne, i niedostateczne.

Nigdzie może nie widać tak bardzo naszego ubóstwa, jak właśnie na trasie robót wiślanych; gdzieś się łąta jakimiś faszynami zabierane brzegi, gdzieś się stawia tamy, które najbliższa wielka woda znosi, gdzieś się coś robi — a śladów tej roboty nie widać. Wszystko ginie, i jeżeli zostaje coś, to resztki dawnych galicyjskich dokonań. Ale i to potrafimy zniszczyć, jak zniszczyliśmy poznańskie, niemieckie drogi, które są już dosłownie „wyrównane w dół”

i podobne jak dwie krople wody do dróg w byłej Kongresówce. San zamulony, port w Sandomierzu zdewastowany przez zabranie i rozmieszczenie jego urzędów we wszystkich innych portach rzecznych, przy czym nic nie zyskały one, a wszystko stracił port sandomierski. I tak dalej, i tak dalej. Wszak wszyscy znamy te rozmowy wyliczające nasze ubóstwo. Powtarzam, nigdzie ono nie jest bardziej widoczne niż na zaniedbanej aorcie kraju — Wiśle.

★

Zastanawiano się już nieraz w historii, dlaczego rokrocznie powtarzające się napady Tatarów, jak obecnie stwierdzono, bardzo nieliczne ilościowo, znajdowały jednakowo słaby opór w Polsce i że raz po raz zabierano te same miasta, a one nie potrafiły się obronić i biernie czekały na to, kiedy dzicz wschodnia przybędzie pod mury. O samym Sandomierzu ileż to opowiadań, ileż strasznych obrazów zniszczenia, ileż okropności wymalowanych i opowiedzianych piórem pisarzy, poczynając od autora kroniki wołyńskiej.

Jeżeli ktoś nie rozumie tego — tym samym nie tylko nie rozumie naszego średniowiecza, ale nie rozumie w ogóle Polski. Takiego człowieka należy wziąć na naszą przejażdżkę po Wiśle i pokazać mu dwie rzeczy: most w Sandomierzu i most w Annopolu. Wtedy zrozumie i Tatarów, i może rozbiory, i wiele, wiele rzeczy, które wydaje się nam, żeśmy ostatecznie przewyciężyli.

W miejscach, gdzie dawno powinny stać już żelazne mosty, są mosty nędzne drewniane: temu winna nasza bieda. Od Sandomierza do Puław nie ma mostu na Wiśle, tylko opisane właśnie pierwotne promy, które przecież nie przewiozą najmniejszego samochodu ciężarowego. Ale to niepotrzebne: kiedy się jest na brzegu Wisły, widzi się, że tam dróg, ciężarówek i ruchu towarowego nie ma. Między Sandomierzem a Puławami jest jednak most, koło Annopola — ale obecnie nie jest on „czynny”. Warto zobaczyć, jak to wygląda: chyba największy na świecie most drewniany, dziwnej konstrukcji — i to nie przez Polaków nawet budowany, tylko przez Austriaków, na chybcika, w czasie wojny. Jest to wielka landara cała czarna i porozpadana: każda powódź unosi dwa przęsła — świeżo dwieście metrów mostu poszło z wodą. Poza tym ma za ozdobę dziwne, jak dachy domów w Zakopanem, boczne skrzydła

na każdym przęsle, przez co most wznosi się bardzo nisko nad poziomem wody. Przy tym nie tylko nie łączy on dwóch brzegów, gdyż jest zerwany, ale jeszcze dzieli rzekę na dwie części. Przy wysokiej wodzie statki wiślane nie mogą przejść pod mostem, bo za nisko. Wtedy statek idący w górę rzeki zatrzymuje się z jednej strony mostu, czeka, aż przejdzie statek z dołu rzeki. Pasażerowie ze statków przesiadają się z jednego statku na drugi, towar przeladowują i statki ruszają z powrotem. Trwa to zapewne kilkanaście godzin, a chociażby kilka — nikt u nas znaczeniem czasu się nie trwoży.

Most i teraz nie jest czynny, poczerniały cały, wielki i nie używany, stoi jak smok jakiś największy, rozkraczony i pochylony bezcelowo nad niebieską wodą. Na jego ciele kilkunastu półnagich ludzi drapie coś prymitywnymi narzędziami. Tutaj niedaleko była słynna na całą ówczesną Europę fabryka narzędzi z krzemienia łupanego. Tutaj była, po przeciwnej niż Annopol stronie, kopalnia, gdzie wygrzebywano, wylupywano kamienie na te narzędzia przydatne. Znad stepów naddunajskich, z Zachodu, ze Wschodu przychodzili tutaj łowcy, aby się zaopatrzyć w krzemienie przydatne do wszystkiego. I dzisiaj, kiedy przejeżdżam koło czarniawego mostu i widzę prymitywną, leniwą pracę na nim, przychodzi mi do głowy, że może jak tamten orał sochą, tak ci używają do obróbki drzewa krzemiennych narzędzi?

I pytam się siebie i innych: dlaczego to u nas tak jest? Nowoczesna Gdynia i drewniane nieużyteczne harhary na rzece? Wielka sztuka i oranie prawie sochą? Dzikie zagony wody i przeciwstawianie im tylko gołej — mocnej zapewne — ale gołej ręki? Czy temu winne naprawdę jedynie zabory?

| Syn jednego z inżynierów wodnych, z którym rozmawiam, powiada mi, że na uregulowanie Wisły trzeba iluś tam miliardów złotych i dwudziestu lat pracy...

— Boże drogi! — mówię — ileż wy więc macie do zrobienia.

— O ile tak będzie szło jak dzisiaj, to i my tego nie dokonamy — odpowiada świadomy widocznie spraw fachowych chłopiec.

Piękna, ale i smutna jest Wisła.

Sandomierz

Wczesną wiosną czasami pragnie się zapomnieć o jednostaj- ności nastroju, związanego ściśle z przeżyciami natury. Drzewa czarne i wyprężone, niebo jeszcze dalekie i blade; chce się w dnie te znaleźć jakąś robotę, zajmującą, niefrasobliwą i harmonizującą z otoczeniem. Gdy się jest starzejącą się kobietą, dobrze wtedy wyciągnąć wszystkie szuflady z biurka i z szafy, usiąść na ziemi i przeglądać stare papiery — niektóre palić, inne przewiązywać kolorowymi wstążkami — albo skrawki starych sukien i przypominać, gdzie i kiedy je się wkładało, jaka krawcowa je szyła i o kim się wtedy myślało. Mężczyźni niektórzy w owe dnie, idąc do biura, zazwyczaj zapominają w domu śniadania i kłaniają się z wielką nieuwagą, nie czyniąc różnicy pomiędzy stróżem, starszym referentem i naczelnikiem kancelarii. Ja mam wówczas ochotę pisać pamiętniki; zaczynałem je wiele już razy, ale zawsze gdzieś urywały się na piątej stronie, bo dzisiaj było dla mnie stale ciekawsze od dnia wczorajszego. Oczywiście miło by mi było w tej wiosnie warszawskiej, kiedy nad wszelki wyraz dotkliwie odczuwa się specyficznie absurdy tego miasta, przypomnieć sobie inne wiosny i szersze ziemi oddechy, gdzie się jeździło na spotkanie różowego wieczoru na spienionych koniach. Ale dnie takie nie są stworzone do słonecznych wspomnień. Zazwyczaj przychodzą do głowy krótkie i nie bardzo zajmujące myśli, które razem tworzą cichutką piosenkę, podkład mijającego czasu. Już niedługo liście zabłysną na drzewach, potem nadejdzie czas majowego nabożeństwa, a potem w pachnących kulkach koniczyny zahuczą senne trzmiele. Wszystko przemiele młyn czasu, zmieniając dnie mijane na błę-
y

i

kitny popiół. Ale to nic. „Wielkie uczucia” powoli także wyblakną i staną się żółte jak karta papieru, na której piszę te słowa. Po latach przez to samo okno spojrzymy znowu na niebo, obłoki i drzewa i zobaczymy radość wiosenną dni, które przyjdą. Zamiast — zanim łuk mostu życia sprowadzi nas pomiędzy czerwieniejące korale jarzębiny — odwracać głodne oko ku przedmiotom olbrzymim, które tak samo, jak wszystko nasze, są małe, możemy dostrzegać na drodze, przechodząc, te drobne przedmioty, jakie mijamy zazwyczaj obojętnie.

Wieczystą naszą tęsknotę — trzeba nadać temu słowu prawdziwe jego znaczenie, czemu sprzyja taka wiosenna godzina — zadowoli jednakowo widok wspaniały murów Romy czy sen uliczki polskiego miasteczka. Na przykład taki Sandomierz, który patrzy jednym okiem swej Opatowskiej Bramy na drogę, spadającą jak zielone płótno, na błędny horyzont, na nachylony, przytulny jak gdyby horyzont. Przechadzamy się wąską uliczką pomiędzy murami, patrzymy tym wylotem na niedalekie pola. W miasteczku, jak zwyczajnie, stoi wojsko, mieszkają Żydzi. Podchodzi do nas staruszek w podartym chałacie i pyta, czy nie potrzebujemy koni do Opatowa. Oczywiście nie potrzebujemy, bośmy przyjechali samochodem, który, otoczony mrówkowatą dziatwą, sprawia prawdziwą sensację. Ale staruszek chce zawiązać rozmowę i nagabuje nawet naszego przewodnika, stałego mieszkańca tego miasta, w którym ten zapalony młodzieniec trawi wczesne lata na zapamiętałej, zajadłej pracy społecznej. „Ten pan nie potrzebuje koni!” — z pewną dumą powiada do starego Żyda; odwraca się ku domostwu, otoczonemu pięknymi podcieniami i pokazując je nam powiada: „To dom kardynała Oleśnickiego.” A właśnie w oknach domu rozbłyskują pierwsze szabasowe świece, mieszka tam bowiem teraz zbożowy kupiec, Aron czy Jehuda, z małżonką, która teraz w jedwabnej sukni siedzi na progu, z córkami; od lat kilku wyzierają one oknem co wieczór i południe, z łakomstwem patrząc w dni jarmarczne na ogorzałe twarze pięknych parobków z okolicy. Na środku rynku stoi rudy ceglany ratusz z wieżą z boku. A z rynku przez podwórze każdego domu widać Wisłę.

Byliśmy tam także i w dzień jarmarczny. Dziwnie tak błędzić po obcym mieście, gdy w środku jest dużo pewności tego, że nigdy dobrze nie będzie, a naokoło tłumy szczęśliwych (nie wiedzą o tym, niestety) kręcą się, spierają, kłóć. Tu kwiczy świnia, prowadzona bezwzględną dłońią na postronku, tam jazgotanie babskie dolatuje od kramu z koralami. Obok tego ratusza z trzynastego wieku siedział ślepiec i pokręcając liry, podobnej do rozkrojonego owadu, brzęczał na niej, wtórując sobie do słów apokaliptycznej pieśni:

Siedem gwiazd wówczas słońcu wskaże, Jakie stawiać ma ołtarze!

Co nam, co wam, ludzie, te słowa? Ta lira i ten ratusz z trzynastego wieku? — A zjrzeć w każde podwórze na tym rynku, to widać Wisłę.

W katedrze także pusto i cicho jak w głębokiej wodzie. W jarmarczne dni nikt nie chodzi do katedry przecie. Można w tej ciszy i skupieniu obejrzeć, poczerniałe jak drzewo cedrowe, obrazy malarzy ruskich Władysława Jagiełły. Pełne są powagi i sztywnego wyrazu: widzi się tam ucztę apostołską i dziwny, grodzony murami Ogrójec, i Salome tańczącą. Na innych murach dzieje Sando-

mierzą, wyobrazone na olbrzymich obrazach z siedmiu czy osiemnastego wieku. Jest tam historia zabójstwa czternastu męczenników, a także zawiła intryga pewnego mordu rytualnego. I w jednym, i w drugim wypadku malarz celował w konkretności wyobrażenia mąk ludzkich. Tatarzy tych biednych męczenników smażą i piją, a Żydzi niewiniątko chrześcijańskie srodze nakluwają sztyletami i krew zbierają do kielichów i naczyń osobliwych.

Gdy się wychodzi z katedry, lekki letni deszcz puka w rozczapierzone liście kasztanów; wygląda to na radosną śpiewkę, tym bardziej, że znowu się przed oczami rozpina niebieski widok Wisły.

Idziemy więc na wzgórze; widok stamtąd daleki. Błonia szerokie i smutne toczą się obok skrętów wody, na błoniach tych pasą się, mimo że mrok zapada, małe, spętane konie. Choć to jest bardzo daleko, widać wyraźnie i konie, i pasterzy. Zapalają ogniska. Sandomierz jest na wysokiej górze, a woda jest na dole. Widać most kolejowy i dalekie zasiewy, drogi, drzewa. Kto tymi drogami jeź

■
dzi? ZWnat ulatuje dym, wieczrę gotują. Ciekawy jestem, czy spotkam kiedy kogo, kto mieszka w tej okolicy?

Wracamy znów do miasteczka. Nie warto stać tutaj, bo Wisłę w Sandomierzu i tak można zobaczyć z każdej ulicy.

Przybytkiem policji stał się teraz domek w stylu pierwszego cesarstwa, biały i z kolumnkami; przed gankiem stoją strzyżone akacje, na progu domu stoi kot, a w głębi pani komisarzowa akurat zapala naftową lampę; okrągły klosz pęcznieje od mlecznego światła, a okrągłe kule ostrzyżonych akacji stają się czarniejsze. Pan komisarz nadchodzi z głębi naciągając na białe rękawy koszuli kurtkę z srebrnymi wyszyciami. Wychodzi przed dom i patrzy na nas podejrzliwie. Skłamałem przed chwilą, mówiąc, żeśmy przyjechali samochodem — a może to z innego razu wspomnienie. Mamy na sobie płócienne ubrania i zakurzone buty, przeto pan komisarz spogląda na nas podejrzliwie. Pan komisarz nigdy nie

chodzi piechotą, ma swoją bryczkę i parę koni, ubogie to, ale rządowe. Kupujemy sobie nieświeżą (zdaje się) bułkę na jutrzejsze śniadanie i kilo wiśni. Kleją się one od dojrzałego soku i ręce mamy od nich lepkie i nieczyste. Pan komisarz poziewa na progu domku, zaraził nas ziewaniem. Jeszcze mamy otwarte usta, a już widzimy przed sobą otwór Opatowskiej Bramy. Znowu jesteśmy przy niej.

A do kościoła Świętego Jakuba idzie się żółtym wąwozem; złapała nas w tym wąwozie nieznośna ulewa. Szumiała gwałtownie ponad nami, bijąc niecierpliwie w liście drzew. Ale gdyśmy weszli do kościoła, było tam pusto, cicho i czerwono. Na czarnej tęczy krzyż prosty, a w oknach cztery święte wymalowane na zielonym szkłe: Kinga, Jolanta, Adelajda i Salomea, cztery księżne pobożne,
O których nikt nie wie, jak wyglądały naprawdę, choć mieszkały tu, w Sandomierzu. Chodziły zapewne tym samym wąwozem

I żegnały się nabożnie, gdy Pan Bóg zsyłał taką jak dzisiaj nie pogodę. Jakże tu ładnie, wszystko tu, zda się, od pobożności śpiewa w tym prostym i starym kościele. Stanałem na malutkim chórze, podobnym do balkonu albo do dużego kwiatu. W czerwonym murze kościoła chłodno jest i wilgotno. A potem chciałem się pomodlić, i nagle rozpalila się we mnie żądza, nie inaczej, żądza niedoścignionych rzeczy. Ta sama, która mnie nękała, zanim zacząłem mówić o Sandomierzu. A może myślałem tylko o mojej miłości, lecz mogłem tylko myśleć, że nie obejmę jej ani zrozumiem nigdy. Wychodząc cicho, zatrzymałem się na progu starego kościoła: ale od Świętego Jakuba nic widać już niebieskiego pasa Wisły.

1926

List z Sandomierza

Sandomierz, to lipcu 1936

I

Mój kochany!

Więc i tym razem nie udało się nam spotkanie. Nie pojechałem do San Gimignano. Wyobrażam sobie doskonale was wszystkich, jak stoicie pod złotą arkadą tego nadzwyczajnego miasta, jak wieczorami rozmawiacie przy studni — ale nie przyjadę. Wasze miasto podobne jest do plastra miodu w noc lipcową, uwite ze złotego wosku, ulepione wzgórze nad zakurczonymi winnicami, pełne gwaru wszystkich młodych — jakby gwaru pszczół. Wyobrażam sobie, jak dojrzewają figi na wielkim drzewie koło pensjonatu, jak nalewa się sok do wielkich gron od strony Sieny i jak widać szarozielone zapadliny i wzgórza od strony Florencji. Przypominam sobie te zmierzchy koloru oliwkowych liści, kiedy siedzieliśmy nad urwiskami obok opuszczonego kościoła i patrzyli, jak zapalają się światła w oddalonych miasteczkach. Takie samo jest wino, takie same piosenki, takie same bieluchne woły z pięknymi grzywami — tylko mnie tam nie ma. Nic to nie zmienia biegu spraw na świecie ani nawet biegu spraw w San Gimignano. Freski Sodomy i Ghirlandaia takie same są i tak samo czekają na rzadkich przechodniów.

Uciekłem zupełnie gdzie indziej i myślę, zdaje się, o czym! innym, niż myślałem we Włoszech. Postaram ci się to opowiedzieć, jeżeli zechcesz mnie doczytać do końca.

Otóż jestem w Sandomierzu. Miasteczko położone jest — jak San Gimignano — na wysokiej górze. Tę ma nad włoskim miastem przewagę, że u stóp jego płynie majestatyczna i wspaniała Wisła. Jeszcze wiele innych przewag potrafiłbym wyliczyć, a przede wszystkim świeżą i nietkniętą niczym zieloność, powab olbrzymich łąk między miastem a rzeką.

Jak pięknie planowano dawniej miasta polskie! Jak mądrze i rozumnie grupowano budynki, jak ustawiano je wygodnie i estetycznie. Nierozumiały jest dla mnie upadek architektury. Dlaczego? Dlaczego teraz nie potrafią zbudować po prostu czegoś ładnego i wygodnego, a budują dziwolągi wymądrzone i nieprzyjemne albo okropności niewygodne i pospolite.

Sandomierz ze swej wysokiej góry nad rzeką patrzy na południe i od strony Wisły wynosi się sylwetą przepiękną, prostą i wyraźną. Jest tu katedra i domek gotycki wystawiony przez jednego z najpierwszych pisarzy polskich, jest ratusz z lekką ceglana attyką, radującą oczy swoją prostą koronką, jest grupa kościołów o barokowych fasadach i dachach lekkich i pełnych nadwiślańskiego wdzięku.

Rosną tu wszędzie stare drzewa. Teraz kwitną lipy. Czy są lipy we Włoszech? Nigdy ich tam nie widziałem. Otóż kwitną lipy naokoło katedry, tam gdzie ja mieszkam; są teraz upalne, pełne gwiazd noce, i świeży oddech idący od rzeki miesza się tutaj z u- pojnym, gęstym jak stare wino, zapachem lipowych kwiatów i białych lilii, których jest tyle, że kwiat ten można by było uważać za herb Sandomierza. Te dwa ciężkie letnie zapachy przesładują mnie przez cały czas, kiedy piszę te słowa, będą mi towarzyszyły do nocy i wtedy dopiero, niesione świeżymi powiewami od wody, rozleją się po całym wcześniej uśpionym mieście.

Jest tutaj pewne miejsce, ulubione miejsce samotnych spacerów. Wychodzi się za piękny stary kościół, który graniczy z polem. Kościół ma linie barokowe, ozdobiony jest rokokowymi figurkami na szczycie, a w ścianach jego tkwią austriackie pociski z 1809 r. i moskiewskie z 1915. Za kościołem w polu między łąnem żyta a łąnem pszenicy prowadzi ścieżka. Z pewnego punktu otwiera się perspektywa na wielki zakręt Wisły. Stoi tam jeden modrzew, ostatnie echo dawnych lasów, które się tu zapewne rozciągały-

Zakręt ów bladobłękitny, jak wielkie S idący połogiem tłem łągów, tchnieniem spokojnej potęgi przenika łagodny pejzaż.

Pełno tu bławatków, i maki na brzegach miedz stanowią purpurowe zarośla. Ku rzece schodzi wąwóz, piękny wąwóz zarośnięty kwiatami, do których przyzwyczało się moje oko w dzieciństwie, a od których odzwyczaiło mnie Mazowsze.

To jest bardzo piękne. Wierz mi.

Ale może jeszcze piękniejsza jest rzeka w nocy. Wychodzę czasami wtedy na most zawieszony nad nią. Sandomierz śpi już od dawna. Letnie konstelacje palą się specjalnie jasno, Mleczna Droga, jak żyła niosąca krew wszechświata, bieleje na czarnym tle. Rzeka jest zupełnie gładka, majestatyczna i powolna, przelewa swe wielkie wody niedostrzegalnym ruchem. W bladym świetle gwiazd tylko od czasu do czasu pobłyskują potężne skrety jej muskułów — wiry. Ślepa siła, niosąca śmierć i zniszczenie, drzemie. Wisła zdaje się łagodnym kolosem, który śpi. Naokoło niej małe oka wodne, pozostałości dawnego koryta, a jak tutaj nazywają je — „kały”, błyszczą tajemniczo wśród zarośli łoży, spowitej jeżynami i białym powojem. Żaby w tych kałach rechoczą nieustannie — a wiosną śpiewają nad nimi słowiki.

Nie ma nigdzie tak pięknych chmur i obłoków jak tutaj. Białe i siwe, szybkie i powolne, mijają się i gnają nawzajem, niedosiężne i niebotyczne, zimne i jednostajnie piękne. Można całymi godzinami patrzeć, jak powstają od strony Sanu, jak krążą nad łożyskiem szarej wody, jak tworzą się, jak przekształcają i jak umierają niby jakieś podniebne społeczeństwa, niby ojczyzny dżinów i aniołów.

A kiedy oczy, zmęczone jednostajnym biegiem rzeki czy jednostajną zmiennością obłoków, zwracają się ku miasteczku, widzą je stojące, jak gdyby bacznie wyciągnięte i patrzące ku południowi wszystkimi widnymi oknami i wszystkimi twarzami wież. Dalej za miasteczkiem ciągną się góry urwiste, usypiste, z wądołami i rozdołami, opiewanymi przez poetów wsi. Nad łanami pobrzeżnej wierzbiny wznoszą swoje grzbiety podobne do wielkich zwierząt, które przybiegły do wodopoju.

Pejzaż dyszy spokojem.

Znad brzegów tej rzeki, z tego miasteczka, nad którym przemknęły mnogie wielkie i małe lata, jedynie nieznacznie zmieniając jego powierzchnię czy ukształtowanie, niektóre sprawy życia, nazbyt gorąco tam w naszych miastach brane, mogą przejść przez egzamin dojrzałego i spokojniejszego spojrzenia, mogą nareszcie stać się czymś beznamiętnie spokojnym, jak bieg owej wody, niosącej niewidoczne wiry i niewidoczne zniszczenie.

Dwie piosenki towarzyszą każdemu ruchowi w Sandomierzu. Jedna to tysiące skowronków, osiadłych na zielonych podmiejskich błoniach. Wzbijają się one od świtu do zachodu ku niebieskiemu niebu i zalewają świat cały nutą swej prostej i bardzo wesołej piosenki! Ćwierk ich rozlega się o każdej porze nad głowami mieszkańców miasta, gdy tylko wychylą się za mury; od wieków tak trwał i pewnie brzęczał nad pobożowiskiem, pełnym trupów po rzezi dokonanej przez Tatarów, jak dźwięczał nad wojskami generała Sokolnickiego, który Sandomierz w 1809 roku zdobywał, jak dźwięczy teraz nad głowami szarych kolumn żołnierskich, które co parę godzin ulicami przeciągają.

Druga pieśń tego miasteczka — owo miarowe a wysoce smutne, chociażby najweselszą pieśń śpiewali, wysoce smutne, prawie zawodzenie, z jakim przeciągają żołnierze. Ich pieśń w skwarne południe, kiedy wracają z ćwiczeń do domu, w wieczór pogodny, kiedy wychodzą na ćwiczenia nocne; ich modlitwa, kiedy śpiewają „Kiedy ranne wstają zorze” lub przed snem — odpowiada pieśni polnego skowronka i jest takim samym motywem przewodnim miasteczka jak zapach lip i lili. Coś bezdomnego i zarazem odwiecznego jest w tej pieśni. Nasłuchuję jej — jakby z głębi wieków śpiewały mi rotty wojewody Wszebora czy Leszka Białego, Jagielly czy Poniatowskiego. Wszystkie one przeciągały tędy ze śpiewem zapewne do tego podobnym, który przypomina gorzkie zawodzenie — chociażby śpiewali najweselsze pieśni.

Ten dwugłos ptaków i ludzi, te echa wieczności, rozbrzmiewające nad wiecznymi murami tutejszych kościołów, ułatwiają mi skupienie się. Tak zapewne dawni pustelnicy, słuchając pienia mnichów i odgłosów życia, od którego byli odcięci samotnością, tym bardziej pogrążali się w rozmowie z Bogiem.

Sandomierz słynny jest z kilku procesów antyżydowskich, które odbyły się tutaj przed trzystu i dwustu laty. Jeden o znieważenie eucharystii, drugi o mord rytualny. Broszura z dziejów Sandomierza, wydana przed stu prawie laty, pisząc o strasznych praktykach tych procesów, które skończyły się skazaniem na gardło ośmiu sandomierskich Żydów, tak powiada na zakończenie:

„Przedarło się do nas dobroczynne światło, rozproszyło zabobonne ciemności, poznaliśmy, że nie masz prawa, gdzie fanatyzm panuje, nie masz sprawiedliwości, gdzie nienawiść religijna sercami włada”.

Niestety, dobroczynne światło coraz to mroczy jakaś chmura nowych fanatyzmów i nowych zabobonów, a jak niepewne jest ono, daje dowód inne miejsce tej samej broszury, gdzie przy opisie podziemi kolegium jezuickiego w tym samym mieście czytamy takie uwagi:

„Wtenczas to odkryte zostały liczne i rozmaite daleko rozciągające się zakrety piwnic, podziemne przejścia i korytarze, głębokie jedne pod drugimi ciasne kar ceresy, a w tych nagromadzone kości ludzkie, tułuby i kościotrupy stojące, pomiędzy którymi wiele czaszek rozpoznano kobiecych. Są to ślady niecných intryg zgromadzenia Societatis Jesu, które w niedościgłych widokach, okrywając zbrodnicze swe czyny płaszczem religii, nie wzdragało się poświęcić licznych krwawych ofiar swym odległym rachubom.”

Dziś, po stu latach od wydania tej książki, po tylu zmianach

li przemianach, obie legendy, obie wersje, oba oskarżenia o ciężkie zbrodnie mają swoich zwolenników, a „dobroczynne światło”, mimo wielu wieków zlewania swoich blasków na głowy Polaków, niestety, nie jest w stanie rozproszyć mroków niezrozumienia i nienawiści.

W kościołach tutejszych mistrzowie cechowi odmalowali te straszne i poruszające wyobraźnię zdarzenia. W pięknych różach zachodzącego słońca ukazano uczujących Żydów, jak popijają krew niewinnych, a niebieski rękaw Wisły stanowił tło do zabójstwa nagiego efebą przez straszliwie brodatego i plugawego Żyda. Niewinne te obrazki, wprawione w naiwną zieloność pobożnych zielono-złotych stall, o krok się znajdują od obrazu Chrystusa Miłosiernego, otwierającego wszystkim swoje przepełnione miłością serce.

Wiek XVII i XVIII były wiekami straszliwej, rozpasanej ciemnoty. Zgoda. Wiek XIX chyba im sekundował, jeżeli zarzucał jezuitom masowe morderstwa w podziemiach klasztoru. A co odpowiemy, jeżeli nas kiedyś zapytają o nasz wiek XX? Coście zrobili, aby odmienić naturę ludzką? Czy można z czystym sumieniem odpowiedzieć: „Nic, albowiem natura ludzka, pogrążona w złem, nie odmienia się!”?

Czy wiara w niezmienną człowieka zwalnia nas od wszelkiej walki? Czy ty, zamknięty w odległym włoskim mieście, i ja tutaj, z obojętnością pozorną śledzący przebieg codziennych wypadków i codziennych tryumfów ułomnej natury, nie odpowiadamy jednakże w głębi swoich sumień?

Oto o czym myślałem dzisiaj, siedząc na brzegu mocnego muru otaczającego gotyckie gmachy katedry. Przede mną rozciągał się widok najpiękniejszy, za potężnym pasem Wisły widać było odległe miasta, wioski i sioła, czasami czerwony dach kościoła, pałacu czy szkoły. Dzień jest letni i pogodny, wszystko bowiem przykrywa niebieska czarująca mgła, która zgęszcza się, jak na obrazach Wat-teau, na starych nadwiślańskich topolach. Niebo rozżarzone upałem przychyła się jak gdyby ku zielono-żółtej równinie. To Polska, Polska wyśniona rozciąga się przede mną. Jakże inną snił ją mój ojciec w więzieniu, mój stryj w powstaniu, mój pradziad w rewolucji. Śnili ją boską — a jest ludzka.

*

Wracam właśnie z tamtego brzegu Wisły, gdzie byłem w odwiedzinach u moich nowych przyjaciół, dwóch kaprali Krysów, braci. Jestem z nimi po imieniu. Wiele już piłem bruderszaftów, ale ten sprawia mi prawdziwą głęboką przyjemność, przez to „ty” czuję się połączony z jakimś głębokim i ważnym elementem, czynnikiem istotnym naszego na tej ziemi bytu, czynnikiem, który dotychczas jak gdyby wyslizgiwał się z mojej świadomości.

Tutaj na miejscu, w Sandomierzu, który jak dąb zapuszcza swe korzenie w okoliczne pola i żywi się elementem pobliskich wsi, mogę prześledzić trud i wysiłek powstawania nowej warstwy społeczeństwa polskiego, związanej jeszcze z ziemią, ale mającej szersze niż opłotki horyzonty. Tu widzę, jak właśnie u Krysów, narodziny nowej świadomości narodowej u synów tych jeszcze, których trzeba było gnać i siłą zmuszać do spełniania prymitywnych obowiązków społecznych.

Nie pragnę cię namawiać, abyś — jak jakiś idealista rosyjski sprzed osiemdziesięciu lat — „wędrował w lud”, nikogo do tego namawiać nie będą. Bo ani kraj, ani tym bardziej lud tego nie potrzebuje. Obejdzie się bez nas, niestety. Taka wędrownica jest poniżająca dla obu stron i do niczego nie prowadzi. Chciałbym tylko powiedzieć, że w swej pracy odrodzeniowej Polska zaniedbała od samego początku to, co było najważniejsze, i że obecne hasła przychodzą mocno za późno. Nie chcę się zastanawiać tutaj nad gospodarczym znaczeniem elementu chłopskiego w naszym życiu. Przechodzi to moje siły jako artysty. A jednak nie mogę w tych rozmowach z tobą o rzeczach, które mnie najbardziej interesują, pominąć tego, co uważam za ważne dla naszej kultury, co w tej chwili uważam za najważniejsze.

Jak powiedziałem, obejdą się oni, niestety, bez nas. Utworzyli sobie już nową swoją warstwę pisarzy, poetów i publicystów. Jeszcze krok, a my wszyscy, intelektualiści warszawscy, opadniemy jak niepotrzebne liście. Czy to będzie dobrze?

*

Czasami, zwłaszcza kiedy w zupełnym oderwaniu słucham słowików czy skowronków sandomierskich, nagle przejmuję mnie myśl gwałtowna i bolesna: znasz sam nagle takie przyływy uczucia przemijania czasu, który bezlitośnie przechodzi, i wody, która

wciąż tak samo omywa nasze stopy, a w każdym momencie jest inną.

Myśl ta jest tym boleśnieszka, że kiedy przychodzi refleksja, podsuwa ona myśl jeszcze ostrzejszą, jeszcze boleśnieszka, że przemijamy bez śladu. Wśród nierozstrzygniętych problemów polskich, które wszystkie leżą otwarte jak rany i nie myślą się zablizniać, być może, że najbardziej palącym i niemożliwym, i natchnionym pesymizmem jest problem własnej myśli polskiej, własnej kultury — czyli po prostu zagadnienie naszego wkładu do kultury europejskiej.

Bo przecież jesteśmy Europejczykami, ty, Włochu? *

Parę dni temu wybrałem się na małą wycieczkę samochodem. Zagłębiłem się w dolinę Sanu, znad której zawsze przyplwają tutaj tak piękne obłoki. Rzeczywiście, niebo nad tą doliną prześliczne, opisywać można całymi stronicami. Ale ziemia? Zanedbana, wyboista droga wiję się żyzną, zda się, doliną, przecina wieś, lasy. Pojawienie się samochodu sprawia wrażenie piorunujące. Dzieci bęgną polami, aby choć z daleka zobaczyć to cudo, a dróżnicy, którzy błotem zasypują dziury w błocie, salutują, wyprężając się po wojskowemu; przecież samochodem tutaj może jechać coś tylko bardzo oficjalnego. Od czasu do czasu małe miasteczko z olbrzymim rynkiem, gdzie spacerują setki żydowskich bachorów pomieszanych z kozami. Wszystko niezwykle wynędzniałe.

Dawno już nic nie wstrząsnęło mną tak głęboko widokiem zatrwajającego ubóstwa i jakiejś beznadziei i indolencji, płynącej z tego ubóstwa. Pola zanedbane, dzieci chude, chaty ubogie, poletka pokrajane — i ta straszna, szara, zabłocona droga. Smutno na tym świecie.

Oczywiście samochód, choć mocny, nie wytrzyma wybojów, pęka amortyzator i resor zaczyna stukać. Zatrzymujemy się pośrodku wielkiej wsi i zaraz otacza nas tłum nieufnych, podejrzliwych, złych chłopców. Nikt nie chce odpowiadać na pytanie, a kiedy ruszamy dalej, rzucają za nami kamienie i wyzwiska.

Z połamanym resorem jedziemy dalej po błocie; nawet furmanki, ta plaga naszych dróg, są tu nieliczne, jakieś opuszczone folwarki, zapuszczone gospodarstwa, prawie wymarłe czy nieruchawe wieś.

I nagle spośród tej przysłowiowej galicyjskiej nędzy wynurza się znad drzew i ubogich pól wspinały budynek, wielki i dostojny, świetnie utrzymany klasztor w Leżajsku. Wspinały kościół. Nawa świątyni goreje zloceniami w najbardziej barbarzyńskim sposobie, a nad tymi zloceniami wznoszą się niebosiężne piszczałki największych w Polsce organów. Sam jestem w pustym kościele, wsparty o kratę odgradzającą marmurowy pomnik jednego z Potockich (Łańcut wszak o milę), słucham. Akurat ktoś sprawdza czy naprawia organy i słucham nadziemskiej fugi Bacha po drodze tak bolesnej.

Więc znowu sztuka, więc znowu zagubiony wśród polskiej nędzy jakiś szmat lepszych możliwości, piękniejszych prawd. Potem byłem w Baranowie, renesansowym pałacu, stojącym w starym parku również ubogiego miasteczka. Te organy leżajskie, te baranowskie kruzganki, skąd się one do nas zabłąkały? Więc była jakaś lepsza przeszłość, były jakieś możliwości? Czy istnieją jeszcze dalej? Dla nas teraz, zaraz, dla dzisiejszego pokolenia?

Wulgarny cyrk, który widziałem w Sandomierzu, i fuga Bacha, brud wsi i dróg i renesans pałacu? Czy można jakiś pomost rzucić pomiędzy tymi rzeczami? I jaki?

Teraz właśnie w deszcz nie mogę nigdzie wyjść, siedzę nad listem do ciebie i zastanawiam się. Przychodziło do mnie kilku poetów (śmiesznie to powiedzieć), no, więc dwóch poetów z sąsiedniej wsi zarzeckiej. Myślą oni o czymś i marzą, ale sami nie wiedzą, o czym. Może o tym, że Sandomierz stanie się wielkim miastem, otoczonym bogatymi wsiami, jakie piękne wtedy można będzie dawać przedstawienia na kruzgankach zamku w Baranowie, jakie koncerty w klasztorze w Leżajsku, jakie wszystko będzie inne...

Myślę, że muszą znaleźć się sposoby, aby zrównać nas z naszymi braćmi z Zachodu. Trzeba się ruszyć, coś zrobić, aby nareszcie przebrnąć granicę obojętności i pogardy, ubóstwa i nieszczęścia, biedy i ponizienia, aby się stać równymi tamtym. Czy myślisz, że to możliwe?

Czy wszystkie nasze opóźnienia dadzą się kiedykolwiek wyrównać? Czy rzeczywiście granica Polski może się stać granicą kultury polskiej?

W
tir*

Zdaje mi się, że na każdym polu jest tu wiele do zrobienia. Że także pozostając w granicach swojego fachu, każdy z nas może być Europejczykiem. Bo zdaje mi się, że jeszcze jedno wielkie niebezpieczeństwo jest w tej pracy czy działaniu, zresztą, tak u nas częste. Jest to wykraczanie poza swoje kompetencje. Aby Polskę upodobnić do krajów kulturalnych, nie trzebi aby pisarz hodował róże, a dyrektor fabryki pisał wiersze. Wręcz przeciwnie — zwłaszcza pisarz nie powinien nic innego robić, jak tylko pisać. Tylko pisać i myśleć, o tym, żeby pisanie jego było dobre.

Przywiozłem tu z sobą jako lekturę wakacyjną stare i dobre książki, które chciałem odnowić w swojej pamięci. Partią Bovary przede wszystkim i powieści Dostojewskiego. Lektura Flauberta wtrząsnęła mną do głębi. Jeszcze jedno przeżycie, niezależne już od otoczenia, w tym czarodziejskim miasteczku. I jeszcze raz wszystkimi siłami chce się krzyknąć, czytając Flauberta: to jest nasze, ja należę do tego kraju, w którym powstało to dzieło, ja jestem tam, gdzie pisał ten wielki Francuz, gdzie widnieją wieże

(katedry w Rouen, gdzie słyszy się taką muzykę... A Dostojewski jest z innego wielkiego kręgu, do którego nie należę, pomimo iż kształciłem się na Dostojewskim, że go czytałem przed Flaubertem i nawet przed świadomą lekturą Mickiewicza. Czy trzeba iść ich śladem?

To jest zupełnie nieświadome i czysto uczuciowe rozumowanie. Nie ma tu żadnego dowodu, jak nie ma żadnego dowodu, że należy w ogóle iść jakimś śladem. Aż nadto wiele znam takich ludzi, którzy gardzą Wschodem tak samo jak Zachodem, i z tego, że Wschód i Zachód nie rozumie nas, wyciągają wnioski, że nie możemy istnieć jako samodzielna kulturalnie jednostka. Straszne są niebezpieczeństwa tego myślenia. Mają tę brzydką nawyckę Skandynawowie. Nie chcą nic z Europy, uważają się za samodzielną, wysoką, kulturę. I pomimo rzeczywiście wysokiego poziomu tej kultury, do jakiego nam jest bardzo daleko, kosztują w swoim nieznośnym lokalnym patriotyzmie i w swoim odżegnywaniu się od wszelkiej myśli europejskiej, od wszelkiego „kontynentalnego” przeżycia. Łudzą się w tym bardzo, bo narody, które przeszły przez kontakt z kulturą śródziemnomorską, nie mogą już zaprzeczyć swojej, zdradzonej chociażby, wspólnoty, i myśl ogólna nie przestaje być myślą całości, chociażby kto i wsadzał jak struś głowę w piasek dobrobytu.

Stałem przed chwilą znowu w ulubionym miejscu, na podwórzu katedry. Patrzyłem na niezmierzone równiny za Wisłą, aż het po same niebieskie obłoki przechodzące znad Sanu. Serce to jest Polski, sam środek. Uboga, żałosna kraina.

Sandomierz podnosi się nad tym krajem wspaniały, choć biedny. Wszystko w nim pamięta o wielkości Polski. Zawsze czuło się tu serdeczną mękę tego kraju dążącego do jakichś wielkich przeznaczonych mu celów. Jak gdyby jakieś promieniowanie szło stąd i odbijało się w innych częściach Polski. Jak gdyby z tej ziemi najurodzajniejszej a zaniedbanej były warstwy nowego życia.

W słońcu leżą te równiny, dymią dalekie chaty, samotne kościoły, dalekie drzewa są niebieskie, domy lśnią dachami: to jest Polska.

Wisła szeroka, leniwa, piaszczysta, nieuregulowana, smutna i tęskna, posuwa się z wolna, zakreślając wielkie S. Przyjdź tu, przyjdź, rzuć Włochy, popatrz razem ze mną na te niebieskie dale.

Kto wie, może doczekamy, że po tej równinie pójdą wielkie traktory, zadymią żniwiarki, zazłocą się stogi, a obok wielkie kominy, kominy, kominy. Że w mieście małym i opuszczonym zakwitną sztuki i umiejętności. Książę Henryk tak kiedyś marzył, stojąc u wrót tej katedry pod lipami, które były rodzicami dzisiejszych lip. A może dzieci nasze, stojąc pod cieniem lip, które będą potomkami drzew dzisiejszych, zobaczą przed sobą nowy, szczęśliwy, wielki świat, złocistą połąć bogatego kraju, ciągnącą się stąd hen, aż po sam widnokrąg, hen aż po samą Europę.

Chciejmy tam, a może się to spełni.

1936

Jazdy do Sandomierza

Moje dążenie do Sandomierza — całkowicie irracjonalne — rozpoczęło się bardzo wcześnie. Mając lat dziesięć czytałem Historię wieków średnich Tadeusza Korzona i już wówczas wyobraźnię moją zafascynowała postać księcia Henryka Sandomierskiego. W roku 1914 będąc nauczycielem u Hanickich w Stawiszczach — była to tzw. Braniczyszna — powziąłem wariacki pomysł pojechania z Białej Cerkwi, która była stacją kolejową Stawiszcz, do Koluszek, spędzenia trzech dni w Byszewach, pojechania potem do Puław i Kazimierza. Z Kazimierza miałem z siostrami płynąć Wisłą do Sandomierza, ale zważywszy, że było to już po zamachu w Sarajewie i że za Sandomierzem, za Wisłą, rozpoczynały się obszary cesarstwa austriackiego, chyba nie wzbudzi zdziwienia fakt, że szybko wycofałem się z Puław i zdążyłem jeszcze dojechać do Kijowa ostatnim przedmobilizacyjnym pociągiem. Do Sandomierza tym razem nie dojechałem.

Następnym razem wybrałem się tam po wojnie, uparcie. Pojechaliliśmy z Mieciem Ry tar dem. Było to w roku 1921, ale biuro podróży nazywało się już tak samo jak dziś, „Orbis”. Jedyna to instytucja, która o tym samym przeznaczeniu i tej samej nazwie przetrwała od tamtych czasów do teraźniejszości. Był taki dom na rogu Miodowej i Koziej, niespodziewanie wysoki. Chyba dziś jest to ten sam budynek, tylko z obciążeniami górnymi piętrami. Tam się mieścił „Orbis”.

Poszliśmy tam, zupełnie tumany, do informacji i spytaliśmy, jak trzeba jechać do Sandomierza. Odpowiedziała nam miła i wesoła pani, że trzeba jechać koleją na Rozwadów, wysiąść na stacji Dwikozy i stamtąd dojechać parę kilometrów furmanką. A pociąg pojedzie dalej przez most zbudowany w czasie wojny przez Austriaków już do byłej Galicji i zatrzyma się na stacji Nadbrzezie, a potem pojedzie dalej na Rozwadów.

Ileż to czasu minęło! Ilu ludzi, ile osób od tego czasu widziałem, ilu informacji mi udzielono, o ilu rzeczach zupełnie zapomniałem? A twarz tej informatorki, jej głos, jej sposób wymowy, trochę sepleniący, jej ubaw, kiedy wymawiała słowo „Dwikozy”, stoją mi do dziś przed oczami. Może to była muza Sandomierza? Może to był duch tego miasta, wcielony w osobę z „Orbisu” i otwierający mi wrota moich wszystkich, pamiętnych podróży do Sandomierza.

Pojechaliliśmy. Na wieczór. Nie wysiedliśmy w Dwikozach, tylko w Nadbrzeziu, i tu ujrzymy na przeciwnym brzegu Wisły tę koronę wieńczącą wzgórze, katedrę, dzwonnice, domek Długosza jeszcze z płaskim dachem, Collegium Gostomianum, a w tle Bramę Opatowską.

Ta strona rzeki nie była tak zabudowana, leżały tu płaskie ogrody, a sama wieś Nadbrzezie zesunięta była w prawo. Poszliśmy prosto przed siebie, zabrnęliśmy w jakieś zarośla i szuwary, wyleźliśmy nad wodę, na szczęście spotkaliśmy tam jakiegoś przewoźnika, który nas przeprowił przez Wisłę, i wyszedłem na brzeg mniej więcej w tym miejscu, gdzie teraz jest „Okraglak”. Naprzeciwko śpichrza. Taki był mój pierwszy przyjazd do Sandomierza.

Miasto przeszło pół wieku temu wyglądało zupełnie inaczej — chociaż rynek i starówka były w tym samym stanie, w jakim zachowały się potem przez długie lata. Ale były i inne rzeczy, które dzisiaj trudno sobie nawet wyobrazić. Domek Długosza nie był odbudowany, przykryty był płaskim dachem i zamieszkały przez ubogich lokatorów, rura od opałowej „kozy” sterczała przez jedno z okien, a o ogrodzeniu mowy nie było. W katedrze odkryty był tylko jeden kawałek fresku w prezbiterium i tylko z wątpliwością w głosie mówiono, że całe prezbiterium jest podobno pokryte freskami zamalowanymi tynkiem. Nie bardzo w to wierzyłem.

Przyjechaliśmy w dzień targowy, to znaczy w poniedziałek. Choć w to dzisiaj trudno uwierzyć, ale targ odbywał się na rynku. Cały plac naokoło ratusza zatłoczony był furmankami, wozami i całym handel, cały malowniczy ruch targu sandomierskiego odbywał się tutaj. Furmanki się zapadały i chociaż mówiono, że pod rynkiem istnieją jakieś podziemia, nikt tego nie brał na serio i nie wierzył w legendy o podziemnych korytarzach. W rynku odbywał się targ, handel, śpiewali wytrawni żebracy i odpustowi muzycy. Jakiś ślepy starzec wywodził na dziadowską melodię te dziwne słowa:
Miesiąc wówczas słońcu wskaże, Jakie stawić ma ołtarze.

Co oznaczał ów apokaliptyczny hymn i skąd się brały jego słowa — nie wiem. Ale pieśń ta była na tyle zastanawiająca, że słowa te przechowały się w mojej pamięci przez przeszło pół wieku.

Istniał już wtedy budynek PTTK, małe schronisko obok muzeum przy ulicy Żeromskiego. Wiedziałem już wtedy o istnieniu Aleksandra Patkowskiego, który był nauczycielem w tutejszym gimnazjum. Wiadomość o Patkowskim czerpana była z „Pro Arte” czy ze „Zdroju”, w każdym razie z jakiegoś pisma literackiego.

Z odwiedzin u Patkowskiego niewiele pamiętam. Pamiętam jego powierzchowność, jego sposób mówienia. Do sprawy, która go głównie pasjonowała — sprawy regionalizmu — stosunek miałem obojętny, może nie rozumiałem całej wagi tej sprawy. Traktowałem te rzeczy raczej jako materiał estetyczny, który w przyszłości dalekiej miał mi posłużyć do zbudowania dość istotnych składników mojej powieści historycznej. Interesował mnie Sandomierz, Góry Świętokrzyskie, kolegiata opatowska, kościół w Tar- czku — jako przyszła sceneria Czerwonych tarcz. Temat Przepióreczki Żeromskiego, który był także związany z osobą Aleksandra Patkowskiego, pozostawił mnie obojętnym.

Z innymi mieszkańcami Sandomierza wówczas się nie spotkałem i nie wyniosłem z tego pierwszego zetknięcia z moją stolicą jakiejś poważniejszej problematyki. Obserwacje moje były bardzo powierzchowne.

Z Sandomierza ruszyliśmy piechotą do Opatowa Podwiozła nas jakaś miłosierna furmanka aż do samego miasta, nad którym

ju nos ily się i unoszą fiołkowe wieże kolegiaty, najbardziej zachwycającego kościoła tych okolic.

Z Opatowa piechotą doszliśmy do Tarczka, potem przez góry do leśnej kolejki, która dowiozła nas do Kielc. Z Kielc do Olkusza pojechaliśmy koleją, a z Olkusza do Ojcowia poszliśmy nocą piechotą i przyszliśmy już wczesnym ranem do stolicy Łokietka. W Ojcowiu zostałem i pisałem w jakiejś willi przekład, a właściwie przeróbkę Jedermann dla Ordyńskiego, który już wtedy zaczął działać w teatrach Hellera, a Miccio poszedł dalej, do Krzeszowic, gdzie spędzali lato jego wujostwo.

Wkrótce dopadłem go w Krakowie i byliśmy razem na przedstawieniu Tumora Mózgowicza Witkacego.

Ale wspomnienie Sandomierza nie gasło we mnie. Zaraz następnego lata znowu się tam znalazłem. Tym razem była to elegancka podróż samochodem, otwartym dodgem, z moim przyjacielem Wiktorem Poznańskim i jego matką. Wycieczka ta była dość dziwna i pretensjonalna — ważna może z tego względu, że jedliśmy obiad w Sandomierzu w restauracji „Hotelu Krakowskiego” obok Bramy Opatowskiej, który wkrótce potem przestał istnieć. Ale go „uwieczniłem” rozpoczynając od jego opisu swoją powieść Zmowa mężczyzn. Za późniejszych moich pobytów w Sandomierzu w miejscu tej restauracji była już drukarnia, w której pracował mój dobry znajomy Józio Bona.

Z tej samochodowej „wycieczki do Sandomierza”, która właściwie mówiąc nie była wycieczką do Sandomierza, zostało mi jedno wrażenie, które prześladowało mnie później i które wcisnęło się natrętnie do mojej pisaniny. Był to mianowicie obraz widoku szosy pomiędzy Kielcami a Krakowem. Szosę tę z przedniego siedzenia samochodu (a cóż dopiero z kozła pocztowej „karetki”!) widać na bardzo dalekiej przestrzeni, przy czym poszczególne kawałki szosy widnieją jak jakieś kolumny jedna nad drugą — a miasteczek nie widać, gdyż wszystkie one leżą w dołach i zakryte są wzniesieniem gruntu. Jest to bardzo dziwne zjawisko optyczne i w opisach moich nieraz do nich wracałem. Mnichów, Jędrzejów, Klemencice, Włodzisław, Książ, Strzeżów, Miechów, wszystko to pochowało się po dołkach, a widać tylko poszczególne odcinki drogi łączącej te miejscowości.

moim ślubem — odtąd kierunki moich podróży zmieniły się gruntownie. Zaczęły się i podróże nie tylko do Polski.

Pierwsza moja samodzielna jazda samochodem do Sandomierza była znamienita i nieco niefortunna. Było to pod koniec lata 1930 roku. Samochód nasz (minerwę) musieliśmy dzielić z Warszawską Spółką Myśliwską, której mój teść był prezesem. Wybieraliśmy się wtedy z moją żoną za granicę, jak co roku. W 1928 roku moja żona pojechała przodem do Arcachon, w 1929 do Mon-treux, ja ją potem „doganiałem” i z tych doganiań wynikały tysiączne przygody i komplikacje. Tym razem z polecenia Karola Szymanowskiego wybór nasz padł na Saint-Jean-de-Luz, w krainie Basków. Oczywiście trzeba było pojechać przez Paryż. Moja żona miała jechać pociągiem wprost, a ja miałem się dostać do Basków nieco skomplikowanym sposobem. Zaczynałem od Sandomierza, którego właściwie mówiąc nie znałem

Poprosiłem więc teścia o samochód, który miał przyjechać do Stawiska w sobotę wieczorem, w niedzielę samochód miałem odesłać do Sandomierza. Moja żona czuła się słabo, mogła podjąć tylko bezpośrednią podróż, a mnie czy to zazdrościła skomplikowanej, czy to raziła ją wymyślność obranej przez mnie trasy, dość, że była bardzo zirytowana i kiedy tak w hallu domu czekaliśmy na przyjazd samochodu, zrobiła mi awanturę, największą podczas całego naszego długiego i zgodnego pożycia małżeńskiego.

Sieć dróg wokół Warszawy była wówczas bardzo uboga. Podkowa Leśna nie miała żadnego połączenia ze stolicą. Była zapadłym folwarkiem, gdzie spędzaliśmy lato. Pamiętam też kiedyś taką naradę we dworze w Otrębusach u Teodora Toeplitza, gdzieśmy bezskutecznie radzili, jak się najlepiej połączyć z Warszawą. Przez Nadarzyn mowy nie było. Droga w lesie, nawet nie brukowana, tak była piaszczysta, że grzęzły w niej furmanki — a cóż dopiero samochód.

Do Stawiska trzeba było jechać wtedy tak: drogą na Katowice, Janek jeszcze nie było, dojeżdżało się do Siestrzeni, w Siestrzeni brało się na prawo, przez Księżnice i Opypy dojeżdżało się do Grodziska, z Grodziska do Milanówka — z Milanówka jechało się nie brukowaną drogą na Brwinów i dopiero po drodze trafiało się na bocznicę do Stawiska. Toteż samochodem do Stawiska się nie jeździło, za to kolejki jak znakomicie chodziły! EKD były wzorem punktualności.

Czekaliśmy dość długo na ten samochód, który przyjechał już pod wieczór. Do towarzystwa do Sandomierza zaprosiłem sobie Elę i Mięcia Rytardów i młodego syna sąsiadów, Leszka Malanowicza.

Musieliśmy jechać przez Grodzisk. Przyszło mi wówczas do głowy, aby jechać na Radziejowice i Mszczonów. Z Mszczonowa skierować się na Grójec i w Grójcu wjechać na szosę krakowską. Tak też zrobiliśmy. Był to pomysł fatalny, jak zwykle wszystkie „skrótów”.

W miarę jak zbliżaliśmy się do Mszczonowa, ściemniało się gwałtownie, a wieczór już stawał się późny i w Mszczonowie spadła na nas straszliwa burza z piorunami i z ogromną ulewą. Szosa między Mszczonowem a Grójcem dziś jeszcze nie jest dobra, a wówczas była jednym zbiorowiskiem wybojów, które momentalnie napęniały się wodą. Jazda po tych kałużach była trudna i ledwie posuwaliśmy się naprzód.

Bardzo silne reflektory minerwy oświetlały spadające strumienie wody, które zakrywały dalsze perspektywy. I nagle w tym mokrym blasku, gdzieś koło drugiej wioski Koń, między Mszczonowem a Grójcem, ukazał się w świetle lamp duży drewniany młyn. Stał tuż przy drodze, widać było jego piętro z dwoma oknami, z białymi firaneczkami, i pół olbrzymiego koła, które wznosiło się do połowy ponad poziom drogi i z wolna obracało się, popychane prądem niewidzialnej młynówki.

Młyn ukazał się na chwilę, potem znowu był deszcz i ciemności wokoło. Ale zapadł głęboko w pamięć i stał się prototypem stylu młynów opisywanych przeze mnie. Towarzyszył mi jak koszmarny, jak widziadło, jak zmora.

Widziałem potem nieraz ten młyn w świetle dziennym. Nie miał w sobie nic nadzwyczajnego i wcale nie był taki wielki, jak pozostał w mojej wyobraźni.

Dojechaliśmy wreszcie do Grójca i późną nocą do Radomia. W Radomiu musieliśmy przenocować i dopiero nazajutrz rano po drodze zmytej deszczem, pod niebem oczyszczonym z chmur, lecz zimnym, jechaliśmy dalej.

Jechaliśmy oczywiście do Skarżyska, a potem przez Skarżysko i Starachowice wzdłuż całej doliny Kamiennej aż do Ostrowca. W Ostrowcu pierwszy raz „braliśmy” tę córę w stronę Opatowa i wyjechawszy na nią zobaczyliśmy Góry Świętokrzyskie, spoczywające jak dobrotliwe zwierzęta. Jest to jeden z moich ukochanych polskich widoków. Ujrzałem go wtedy po raz pierwszy.

Byliśmy w Sandomierzu, a potem już ja sam przez Kraków, Zakopane, Rysy, Smokowiec, Oberammergau — z Monachium do Oberammergau piechotą — i dalej do Lindau, przez Szwajcarię i Zermatt do Paryża (wielka, istotna rozmowa z Lechoniem) i do Saint-Jean-de-Luz. Sandomierz był tylko jednym etapem tej podróży.

W sporo lat potem przyszedł mi do głowy pomysł poszukania spokojnego miejsca do pisania i mieszkania, i wtedy wróciła znowu myśl o Sandomierzu.

Było to w piętnaście lat potem. Mieszkałem w Stawisku, ale okoliczności tak się złożyły, że do pracy potrzebowałem jakiegoś ustronnego miejsca. Do Sandomierza znowu pojechałem więc latem roku 1936, z zamiarem znalezienia sobie tam stałego lokum.

Sposoby dojazdu do Sandomierza zmieniły się wtedy gruntownie. Istniał już most na Wiśle, łączący Sandomierz z Nadbrzeżem. Nie trzeba było dojeżdżać do Dwikóz czy Dwikozów, która to nazwa tak śmieszyła naszą informatorkę w roku 1921, wysiadało się w Nadbrzeziu, a stamtąd dorożką, powozem, jechało się do miasta — ze wspaniałym widokiem na ową niezwykłą koronę wieńczącą tutaj brzeg Wisły.

Ale mieszkaliśmy (byłem wtedy z Pawłem Hertzem) znowu w małym schronisku Towarzystwa Krajoznawczego i starannie zwiedzaliśmy miasto, które kończyło się zaraz za parkiem. Dzielnica wzdłuż drogi do Opatowa nie istniała. Już i targ cotygodniowy, odbywający się w poniedziałki, wygnano z rynku koło ratusza, i odbywał się tutaj, naprzeciwko koszar, mniej więcej tam, gdzie dzisiaj jest stacja benzynowa.

Poczynając od roku 1930 miałem samochód, ale drogi nie nadawały się do ruchu motorowego. Tak na przykład — rzecz nie do wiary — kiedy w roku 1931 wybrałem się samochodem do Krakowa, zajeżdżając po drodze do Kielc, część trasy między Krakowem a Kielcami była zamknięta i trzeba było jechać drogą okólną przez Końskie!

Toteż kiedy w roku 1936 znalazłem w Sandomierzu mieszkanie, które wynająłem i w którym czasowo zamieszkiwałem, moje jazdy do grodu nad Wisłą odbywałem pociągiem. W owym czasie tą linią dość prymitywną i między Skarżyskiem a Rozwadowem

m

jednotorową zaczął chodzić wspaniały pośpieszny Warszawa— —Lwów i dalej na Rumunię, który na tym zapuszczonym odcinku czuł się dość osobiwie. Linia była budowana do Ostrowca Świętokrzyskiego — a dalej wyglądała trochę jakby zagubiona w polu. Tutaj były takie stacyjki jak ta, którą opisałem w Młynie nad Kamionną, w takich Górach Wysokich zupełnie się czuło jak w stepie, a nie dojeżdżając osławionych Dwikóz, pociąg przejeżdżał środkiem folwarku (nie pamiętam, jak się nazywał) Antoniego Małachowskiego i zażywny ekonom wychylając się z okna wagonu gromkim głosem wołał na całe podwórze: „Jasiek, czekam na konie w Dwikozach.”

W tych okolicach znajdował się także rozjazd, gdzie pociąg z Warszawy rozmijał się z pociągiem ze Lwowa i czasem dosyć długo czekał, bo tamten pociąg zazwyczaj się spóźniał, jako że jechał zza granicy rumuńskiej. Na tym „rozjeździe” pasażerowie wychodzili z wagonów i spacerowali wzdłuż pociągu omawiając najświeższe wiadomości i sprawy handlowe.

Gdy już wynająłem owo sandomierskie mieszkanie, jechałem po raz pierwszy, by się zagospodarować z moim zoferem Władysławem. Sandomierz wtedy stawał się centralą plantacji owocowych, na razie sadzono cebulę, a potem przetrzucono się na truskawki. Właśnie był sezon truskawek, świeżych, czerwonych, pachnących, nie tkniętych chemikaliami, których nie znano w tamtych błogosławionych czasach.

Jak dziś widzę starego brodatego Żyda pod oknem mojego wagonu, rozmawiającego z plantatorem czy ogrodnikiem. Czynił wymowne gesty. „Truskawka to jest truskawka” — mówił w sposób nie znoszący sprzeciwu.

Powiedzenie to stało się przysłowiem u nas w rodzinie.

Mieszkanko moje w Sandomierzu mieściło się w domu państwa Świestowskich przy ulicy Katedralnej 5. Teraz jest tam jakaś inna numeracja. Mieszkanie owo składało się z dwóch pokoi położonych jeden za drugim. Pokoje te stanowiły część domu położonego za katedrą, za murem, ale okna jego wychodziły właśnie na ten mur katedry i dopiero zza domu, z tego miejsca, gdzie w owym czasie znajdowała się malownicza „sławojka”, roztaczał się wspaniały widok na Wisłę, na łąki nad Wisłą i na zieloną równinę za Wisłą. Huty szkła jeszcze wówczas nie było i nic nie przeszkadzało

i

wzrokowi biegnącemu aż do horyzontu. Na horyzoncie tym widniały już dymy Stalowej Woli.

Pokoje te pozbawione były zupełnie jakichkolwiek wygod. Ale rozstawiłem w nich moje kopenhaskie łózka zbudowane z lekkich rur, w stylu, który pięćdziesiąt lat temu w Skandynawii nazywano funkis, w drugim pokoju postawiłem amerykański kufer-szafę, który kupiłem z Józefem Rajnfeltem we Florencji w roku 1931 (to też wtedy było modne — dziś nie wiadomo by było, co z tym robić). W pierwszym pokoju stolik państwa Świestowskich zastępował mi biurko, a w drugim urządziłem coś na kształt umywalni. No i miałem ten „trzeci adres”.

Pamiętając jak lady Bracknell, badając zalety lorda Goringa mającego zostać jej zięciem, bardzo chwali to, że ma on dwa adresy, na papierze listowym owych czasów kazałem wydrukować: Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa, Kredytowa 8, nr tel. ..., Stawisko, poczta Brwinów, nr tel. ..., Sandomierz, Katedralna 5. Telefonu tam nie miałem. Bardzo byłem dumny z tego papieru listowego, zachowała się jeszcze jedna jego kartka.

Zaczęły się więc dojazdy do mieszkania parę razy do roku, ale zawsze pociągiem. Nie zawsze jednak tym lwowskim pociągiem. Czasami jechałem zwyczajnym krakowskim — i wtedy trzeba było przesiadać się w Skarżysku-Kamiennej. W Skarżysku na stacji można było czasami coś zjeść — barszcz tam bywał smaczny. W ogródce stacyjnym jako ozdoba stał tam bocian z gliny, cały obsiany trawą i strzyżony, był to bocian zielony. Wzbudził on zachwyt i podziw mojego przyjaciela Duńczyka, którego wiozłem do Sandomierza i do Krakowa. Bocian dla Duńczyka to ptak rodzony, a ten tu stał tak piękny i tak nadzwyczajny. Odtąd zawsze, kiedy pisał do mnie, Albert Budz-Christensen dodawał w końcu listu: „Hils paa Storken” — co znaczy: „pozdrów bociana”.

A ten pociąg zwyczajny, co szedł ze Skarżyska, to był pociąg robotniczy, obsługiwał Starachowice, Kunów, Ostrowiec, zatrzymywał się co chwila i wysypywał tłum roboczy, i takiż zgarniał w siebie. Dużo się w tym pociągu uczyłem. Tym właśnie pociągiem jechałem w roku 1940, kiedy zdążyłem do Sandomierza, aby zlikwidować mieszkanie i pożegnać się z moim ukochanym miasteczkiem na czas wojny. Ta jazda Skarżysko—Sandomierz w pełni wojennej klęski była trochę straszna, ale dająca pojęcie „o stanie kraju”. Raczej napępiała optymizmem.

Ale nic ulega wątpliwości, że najmita/c moje tygodnie sandomierskie przypadały na lata tuż przed wojną. W roku 1936, 37, 38, nawet 39 Hpeđ/.iłem tu po parę tygodni. I /. pisaniem szło mi tu niezłe. W moim mieszkaniu sandomierskim napisałem Lato w No- hant, Młyn nad Utratą, Zygryda, Różę, gdzie nawet topograficznie sięgnąłem po pejzaż Nadbrzezia, wiele wierszy. Pisałem zresztą i po wojnie, kiedy już nic miałem tutaj swojego mieszkania.

W tych lalach przedwojennych odwiedzali mnie tu moi przyjaciele. Już pisałem o Duńczyku Christcnsenie, przyjeżdżał Herman i, o dziwo, Grydzewski ze swoimi psami, airedalc'ami, które były głupie i rozkapryszone. Miałem tu wizję Miłaszewskiego i Skiwskiego, przyjeżdżali Stanisław Dziewulski z żoną Zofią jako zupełnie młode małżeństwo, mówiliśmy z nimi dużo o architekturze, zwiedzaliśmy razem Barunów, który jeszcze wtedy był w ręku prywatnym. Zabawne fotografie robione przez Stasia zachowały się z tej epoki.

Ale nic goście przyjeżdżający do mnie z ciekawości, ze snobizmu, stanowili główną atrakcją towarzyską Sandomierza, Główną atrakcją byli moi znajomi i przyjaciele mieszkający stale tu lub w okolicy, to były atrakcje miejscowe i miejscowe instytucje.

Przede wszystkim w najbliższej okolicy Sandomierza mieszkał Wincenty Burek, jakież pełen atrakcyjnego zapachu; po tamtej stronie Wisły nic tak daleko leżała Wielowieś, gdzie mieszkał Staś Piętaś, który wyglądał jak w Zaczarowanym kole w swojej obszernej chałupie drzemiącej pod wysokim dębem; tu też mieszkał jego stryjeczny bratanek, równie wierny jak Staś, Franek Piętaś, piękny i nieco pomyłony; zaprzyjaźniłem się także z wikarym z Wiele wsi, zabawnym amatorem książek, który nic czynił żadnej różnicy pomiędzy Trędownatą Mniskówny a Próchnem Berenta; i jedno, i drugie było dla niego książką.

W samym Sandomierzu przede wszystkim atrakcją był Koman Kosęła, brat-lata i cygan, w czarnej pelerynie i okularach, który czarująco opowiadał całymi godzinami o samym mieście, o okolicznych chłopach, o sprawach upraw ogrodniczych — cebuli czy truskawek — o kradzieżach, powodziach i swoich zadziwiających losach nauczyciela, seminarzysty, aktora i rolnika. Gdyby wszystkie opowiedziane przez niego dzieje złożyć do kupy, to musiałby żyć trzysta lat. Ale miał doświadczenia za lat trzysta. Cóż to był za człowiek, co za gawędziarz, jak ja go kochałem, ile od niego się ii u uczyłem! Ho w całej jego blade zawsze na dnie była jakatf prawda polskiego życia chłopskiego, seminaryjnego, inteligenckiego. Wszystko, co Kosęła zostawił na piśmie, jest ledwie słabym cieniem tego, co zawierała jego barwna umyślność i zajmująca fantazja, która nigdy nic była czytłą fantazją.

A wszystkie atrakcje owoczesnego Sandomierza! Jakże je przeżywałem . Przyjazd i pobyt cyrkuł Namioty i wozy cyrkowe rozbite na łączce poniżej uliczki Ry bitwy, gdzie dzisiaj nic ma dostę- pu. Jakże tam było miło, Zaznajomiłem się z komikiem cyrkowym, a potem z trupą akrobatów, która się składała z trzech braci ślązaków (jeden się nazywał Reinhold, a drugi Zbyszek) i dziesięcioletniej może małej Ukrainki, którą matka oddała do cyrku „na naukę” i która była bardzo nieszczęśliwa i chciała uciekać do domu, Było to na parę lat przed filmem Droga Felliniego. Chodziłem do cyrku codziennie, znałem na pamięć cały program i mogłem prześledzić wszystkie błędy i pomyłki trupy akrobatów, widzieć łęk małej Ukrainki i zaciśnięte zęby Reinholda.

Gdy cyrk zwinął manatki i pojechał nocą na tamtą stronę Wisły, chyba do Dębicy, napisałem opowiadanie Zygryd. Posłałem je Grydzewskiemu do „Wiadomości Literackich”, a sam spędziłem burzliwy wieczór w handclku u Gospodarczyka w rynku, gdzie na piętunku podawano znakomite wędliny i dobrze chłodzoną wódkę. Jeden z wieczorów spędziłem u wikarego w Widowni, gdzie spodziewałem się dostać wspaniałą kolację, a była tylko — znakomita zresztą — kiełbasa ułożona na gazetach i ogromne sztoły dobrze chłodzonej wody. Dogodziliśmy sobie wtedy z wikarym i Staniem Piętakiem potężnie, odwoził mnie do Sandomierza brank wózkiem zaprzężonym w jednego konia i znalazłem się bardzo późno w nocy w swoim mieszkaniu, gdzie mnie piękna synowa państwa Świstowskich uprzedziła, że była do mnie pilna depesza, ale że listonosz jej nic zostawił i że przyjdzie nazajutrz. Mimo niepokoju, który wzbudziła we mnie ta wiadomość, zwałem się jak kłoda i zbudziłem się o siódemj rano z silnym bólem głowy. Listonosz gwałtownie stukał do drzwi i wręczył mi pilną depeszę. Otworzyłem ją z niepokojem. Brzmiała: „Wspaniałe, (irydzewski.”

Wisła, którą tu widać z każdego domu, % kuźdego wzniesienia, odgrywała dużą rolę. Z doktorem Krawczyńskim — miejscową

wielkością — odbywałem wycieczki po rzece dużym kutrem motorowym. Dojeżdżaliśmy do Zawichostu, który wydawał mi się miasteczkiem najbardziej zapomnianym od Boga i ludzi. W Zawichoście chodził na drugi brzeg Wisły prom. To było wspaniale widowisko: wielki prom, na którym stała grupka koni i krów, trochę ludzi, jakiś zapyziały wóz i wszystko to razem jechało z wolna przez szare fale Wisły, dosyć w tym miejscu szerokiej. Wyobrażałem sobie obraz Gierymskiego czy Gersona Prom w Zawichoście i żałowałem, że takiego obrazu nie ma. A tak właśnie lubię późny romantyzm polskiego malarstwa, do którego taki temat bardzo by pasował.

W ostatnich latach przed wojną zdecydowałem się przyjeżdżać do Sandomierza samochodem. Oczywiście przez Skarżysko. Droga na Iłżę była niemożliwa. W 1938 przejechałem za Wisłę i pojechałem do Leżajska, posłuchać organów. Pojawienie się mojego samochodu na zaniedbanych terenach za Wisłą budziło sensację: dzieci biegły za pojazdem z okrzykami (nie było tam życliwych; pozdrowień), a droga była taka, że wreszcie zламаłem resor mojego buicka i musiałem dwa tygodnie czekać na jego naprawę. Jakże inaczej tam wygląda teraz.

W tym samym czasie pojechałem za Wisłę i za San, na Lubelszczyznę. Przeproważałem się przez San, właśnie promem, i odbyłem drogę do Lublina, a potem do Parczewa, w zupełnie nie znanej mi krainie, nieco dzikiej i egzotycznej.

Za Parczewem ciągnęły się lasy pozornie nie do przebycia, jechaliśmy trochę dzikimi stronami, ale droga okazała się jaka taka. Dojechałem do Jabłonia, do Gucia Zamoyskiego, starego mojego przyjaciela, który mieszkał teraz w Jabłoni i tam pracował nad swoimi niesłychanymi rzeźbami. Dożynki u Gucia w Jabłoni to też był kawał przygody.

Latem 1939, na parę tygodni przed wybuchem wojny, byłem także samochodem w Sandomierzu razem z córkami. Wracałem przez Rzeszów i Kraków. To było ostatni raz.

Bo potem była wojna.

Cały okres powojenny moich podróży do Sandomierza był zupełnie różny od przedwojennego. Przed wojną miałem mieszkanie w Sandomierzu, liczyłem się jak gdyby do stałych tego miasta mieszkańców, miałem solidne przyjacielskie powiązania. Żywiłem się w znakomicie prowadzonej Resursie, gdzie nawet taki gour-

mand* jak Grydzewski zachwycał się jedzeniem, mniej oficjalnie można było zawsze zjeść w handelku u Gospodarczyka, tamże też można było zagrać w japoński bilard. W jednej z książek rachunkowych moich z tej epoki widnieje zapis: „Kolacja i bilard z Władkiem... złotych 2.”

Kto wie? Może i pisanie moje w tamtej epoce było solidniejsze, bardziej zrównoważone.

Po wojnie już nie miałem stałego lokum. Począwszy od lata 1948 zajeżdżałem do coraz nowych pokojów. Raz mieszkałem w gmachu sądów u sędziego F., gdzie tłumaczyłem Canto General Nerudy, z widokiem na łąki za Wisłą, mieszkałem też w uroczym pokoiku obok mojego dawnego mieszkania na Katedralnej, z tą różnicą, że jedyne okno tego pokoju wychodziło na Wisłę i na ogromny szmat nieba, na którym pamiętam zawsze ogromny księżyc, wschodzący na przejrzystym, upalnym niebie. Nade mną mieszkał doktor Schinzel w przestronnym mieszkaniu z nieprawdopodobnym widokiem. Dowiedziałem się wtedy, że syn doktora i jego żony, bardzo dobrej malarki, Jędrus, ma wybitne uzdolnienia matematyczne.

Niestety, pod moim oknem, w suterenie, mieszka czyjaś koza. Wyziewy stamtąd dochodzące zatruwają powietrze, zamazują otwarty widok na Wisłę i na Powiśle. Ale widok ten jest tak wspaniały, pogoda upalna, że okno jednak trzymam otwarte. Powoli przyzwyczajam się do tego okropnego smrodu. Wytrzymałem tu parę tygodni. Co ja tu pisałem?

Potem mieszkałem w małym domku archeologów, przytulonym do zamku. To już wtedy, kiedy spełniły się nasze postulaty (patrz „Nowiny Literackie”) i zamek przestał być więzieniem. Przedtem mieszkałem w Domu Dziecka, który to zakład mieścił się na parterze domu księży emerytów, za kościołem Świętego Jakuba. Tam mieszkałem przez szereg wakacji, w latach pięćdziesiątych. Było mi tam bardzo dobrze —■ ale zawsze nie było to to samo co własne mieszkanie.

Natomiast po wojnie rozpoczęły się moje dojazdy samochodem, które zawsze były wyprawami w Polskę i sprawiały mi niewymowną przyjemność.

Sceneria tych dojazdów zmieniała się z biegiem czasu, zmie

niała się trasa dojazdu, zmieniał się charakter drogi — i te podróże samochodem pokazywały mi, jak stopniowo zmieniała się wieś polska, jak zmieniał się całkowicie kompletny jej pejzaż.

Z początku jeździłem samochodem Komitetu Obróńców Pokoju, potem już własnym. Kiedy zostałem posłem na Sejm z tego terenu, charakter tych jazd nabrał jeszcze innej barwy. Zaczął mnie wozić mój sekretarz, szofer, przyjaciel, administrator, i co tam jeszcze, jednym słowem Szymek Piotrowski, i te jazdy z nim zaliczałem do rzeczy najbardziej kojących mi nerwy. W dzienniku moim często można znaleźć zapiski dotyczące tych wspomnień. Gdy byłem za granicą, a zwłaszcza gdy byłem w szpitalu czy sanatorium, tęskniłem jak dziecko za tą jazdą i marzeniem stawało się znalezienie się za Hłżą w lasach starachowickich, które specjalnie polubiłem. Pisałem już o tym niejednokrotnie. Ale stary człowiek musi się powtarzać.

Teraz to jedzie się tak. Opiszę tę drogę, chociaż ona przez te lat kilkadziesiąt bardzo się zmieniła. Nieprzejezdne drogi — na przykład ta między Radomiem a Skaryszewem — z zupełnie zaniedbanych stały się dobrymi lub nawet znakomitymi. A chociażby ta piaszczysta droga pomiędzy Podkową Leśną a Nadarzynem, nad której naprawą uradzaliśmy u Teoplitza, którą Niemcy ozdobili wąską jezdnią ułożoną z kamieni brukowych, a która teraz jest asfaltową drogą pięknie wpadającą do wspaniałej arterii Warszawa—Katowice.

Najsmutniejsze w tych zmianach są pożegnania ze wspaniałymi drzewami przydrożnymi, których tyle ginie pod siekierami tych, co prostują ścieżki Pańskie. I tak często się zdaje, że takich zniszczeń wspaniałych nieraz okazów dałoby się uniknąć, gdyby ludzie zdawali sobie sprawę z wartości starych drzew i z tego, że niczym nie da się ich zastąpić. Nieraz przecie nowa droga może być tak poprowadzona, że ominie i pozostawi na stronie wspaniałe rośliny. Oczywiście jest to kosztowne, powiększa koszt budowy szosy, ale ileż takich alei czy zarośli jest niezastąpionych.

Zawsze myślę o tej drodze, jedynej chyba w Polsce, jaka szła od wsi Włostow w stronę Sandomierza, aż chyba do Lipnika. Rosły tam niezbyt stare, co jakieś dwadzieścia metrów posadzone wierzby płaczące, które tak pięknie rozrastały się w ciągu tych lat kilkadziesiąt, podczas których tę drogę przemierzałem. Tworzyły one po obu stronach drogi jak gdyby orszak niewiast poważnie kroczących, procesję jakąś fontann zielonych i niesamowitą, i osobliwą. Ocalały one przy przeróbce całej drogi Opatów—Sandomierz, aż wreszcie je ścięli. Niedawno.

Tak samo żał mi wspaniałych topoli, jakie rosły od czasu do czasu; resztką jakiejś dawnej plantacji wzdłuż szosy już pod samą Hłżą albo i za Hłżą, wzdłuż leśnej kolejki idącej do lasu strachowickiego. Ruch samochodowy nie jest tam wielki, szosa skromna, po cóż było wycinać. Ale Polakom zdaje się sprawiać specjalną satysfakcję wycinanie starych drzew. Tak mi kiedyś powiedziano w Brwinowie, kiedy spytałem, dlaczego kazano wyciąć potężną topolę, resztkę ozdoby drogi królewskiej: „Ale była taka stara!”

A więc jedzie się tak, nową szosą. Do Otrębus, mijają się Karolin i przejeżdża przepięknym lipowym tunelem (tylko trzy lipy ostatnio ścięto z brzegu). Drżymy co wiosny i co jesieni, że przyjdą ludzie z siekierkami (mechanicznymi!). Tutaj na prawo jest młochowski las, a na lewo pole, na które czasami wychodzą sarny. Wczesną wiosną, gdy spod tającego śniegu czasami wyglądają żdzbla trawy. Pasą się szeregami i wyglądają jak na japońskim rysunku.

Nadarzyn zmienia się w oczach. Karczma, która pamięta bitwę pod Raszynem, a w każdym razie Żeromskiego i Przyborowskiego, którzy musieli tu przyjeżdżać. W Popiołach, w Bitwie pod Raszynem Nadarzyn zdaje się leżeć o sto mil od Warszawy — teraz jest tuż, tuż. Ale mijają się go łatwo, wjeżdża na chwilę na wspaniałą E18, a potem przez wielki las na szosę krakowską, która jest w wiecznej przebudowie. Karczma „Wygoda”, gdzie nocował Olbromski, i zaraz już Tarczyn. Dawniej przejeżdżało się niewygodnie przez sam środek rynku, teraz jest daleki objazd.

Ile razy przejeżdżam przez Tarczyn, który jest przecie prawie przedmieściem Warszawy, myślę sobie, że kiedy Władysław IV i Cecylia Renata wyjeżdżali na kurację do Badenu pod Wiedniem (jedyne to przypadek, że król polski opuścił granice państwa), to po ich wyjeździe z Warszawy pierwszym noclegiem był Tarczyn. Jakież potworne trudności takiej podróży, dla taką podróż organizujących, dla samych podróżujących. Dziś w Tarczynie jesteśmy po pół godzinie. Gdyby tak nieszczęsnej Cecylii Renacie to powiedzieć!

A potem Grójec. Jak wszystkie dawniej, to miasto po drodze na samym wjeździe prezentuje więzienie, które pobielone, z wie

życzką, dość nawet porządnie, po ludzku wygląda. Jeszcze dotychczas nie zrobiono objazdu w Grójcu — a jest to pewnego rodzaju pępek mazowiecki — zbiegają się tu drogi z Warszawy, z Mszczonowa, z Góry Kalwarii, z Warki, z Mogielnicy... koncentruje się jakoś życie, jakieś interesy, jakieś intrygi i jakieś dramaty. Z Grójcem mam związanych wiele rozmaitych wspomnień. Pod Grójcem leżał majątek, który niespodziewanie odziedziczył po bracie Tadzio Pruszkowski, ten z Bractwa Świętego Łukasza, malarz świetny, a jeszcze świetniejszy człowiek, który niebawem wymienił ów majątek na awionetki, którymi kolejno rozbijał się nad Polską w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu. Ładował gdzieś po pustkowiach, na wzgórzach Kazimierza albo na lewadach nad Wisłą, tam gdzie ongi Tatarzy wyrzynali mieszkańców Sandomierza. Zdziwiający był to człowiek.

Pod Grójcem królowała też kobieta i jak z powieści Henry Jamesa. Piękna i nieszczęśliwa, światowa i bogata, znakomita gospodyni i wierna przyjaciółka, pani Justyna B., której biografia jest jednym wzruszającym \ głębokim romansiem, nic nie mającym wspólnego z sentymentalizmem Trędowatej.

Niedaleko za Grójcem zjeżdżało się w bok do jej domu. Zjeżdżam czasami i teraz, aby zajrzeć na cmentarz, gdzie we wspaniałym grobowcu zamknięte są i uciszone niezwykle dramaty, tragedie, niebezpieczeństwa, zapasy, wszystko minęło, wysokie topole stoją nad grobem jej, jej matki, jej męża, jej ukochanego siostrzeńca. Nikt tych spraw nie pamięta, na grób już nikt nie przychodzi, wszystko jest szelestem liści zielonych lub szmerem liści opadłych.

Pani B. była Żydówką. Dokładne spisanie jej biografii dałoby wspaniałą powieść — jak powiedziałem, typu Henry Jamesa. Urodziła się wraz z siostrą jako córka bogatego fabrykanta tytoniu w Odessie. Brata panny te nie miały, były więc bardzo posażne. Jej mariaż z Edwardem B. ułożono, jak to nam opowiada Babel, w Marienbadzie. W ten sposób pani Justyna B. stała się Polką i weszła w „towarzystwo” warszawskie. Oczywiście w le monde n'côté*, bo do prawdziwego „towarzystwa” nie mogła mieć pretensji.

Znałem jej życie tak dokładnie, gdyż łączyły ją z rodziną mojej żony węzły ścisłej przyjaźni. Obie rodziny przechodziły razem wiele dramatów i tragedii. Pani Justyna kochała się śmiertelnie w mo-

i im pięknym teściu, który był rozwiedziony i mógł zażądać od niej rozwodu. Ale mój teść nie chciał się zenić drugi raz, nie chciał dawać córce jedynaczce drugiej matki.

Pani Justyna bardzo kochała także moją żonę. Spotkały się za granicą. Udzielała czternastoletniej dziewczynce lekcji angielskiego. (W domu odeskim językiem rodzinnym był francuski lub angielski, pani Justyna do śmierci mówiła po polsku z cudzoziemskim akcentem.) I oto podczas takiej lekcji, która odbywała się w wielkim międzynarodowym hotelu na Riwierze, pani Justyna z płaczem opowiedziała swojej młodzietkiej uczennicy historię swojej miłości.

Czy można sobie wymarzyć bardziej „powieściową” scenę jak ta rozmowa dojrzałej, pięknej, cieszącej się życiowym powodzeniem kobiety z młodzietką dziewczyną stojącą u progu życia i nie bardzo jeszcze się w sprawach tego życia orientującą?

Pani Justyna wzięła na wychowanie do swojego podgrójeckiego majątku syna zmarłej siostry. Latem 1921 roku chłopak najadł się malin i dostał kolki. Wierna Elsa, Niemka przebywająca od lat w domu pani Justyny, zaaplikowała małemu potężną porcję rycynusu. Nikt się nie orientował, że ta kolka to był atak ślepej kiszki. Rycynus go po prostu zabił.

Moja żona, już starsza dziewczyna, i ciotka mojej żony spędzały wtedy lato u pani Justyny i asystowały przy konaniu ukochanego chłopaka, dziedzica olbrzymiej fortuny. Chłopiec umarł, pochowano go tu na cmentarzu w mauzoleum położonym na samej granicy bożego pola z wejściem od niepoświęconej strony. Mały jako odesyta był prawosławny i nie można go było grzebać na katolickim cmentarzu.

Przed samą wojną zmarł mąż pani Justyny (już chrzczony) i matka, o której mówiono, że chrzczona. A może ją ochrzczono in articulo mortis*. W wojnę weszła pani Justyna samotna, siedząc na swoim majątku, w swoim wzorowym gospodarstwie, gdzie zapoczątkowano słynne dzisiaj grójeckie sadownictwo. Szczególnie piękne były tu czereśnie z gatunku późnych, wielkich. Praktykan- tki ogrodniczki pięknie je pakowały i całe ciężarówki tych czereśni nocą odjeżdżały do Warszawy i dalej. Wielki sad czereśniowy za-

| sadzony był tu na starym okólniku, pozostałości po fanaberiach teścia pani Justyny, który miał stajnię wyścigową.

Jedyną towarzyszką i przyjaciółką pani Justyny była owa Niemka Elsa. Pochodziła chyba z Nadrenii; była bardzo nacjonalistycznie usposobiona i kiedy przyjeżdżaliśmy do pani Justyny przed samą wojną, widzieliśmy portret Hitlera nad jej łóżkiem. Takie Niemki spotykałem często w żydowskich domach Tomaszowa, Łodzi czy Warszawy. Były to często „Fraulein” do dzieci, które już pozostawały w domach, gdzie pracowały, a często były to gospodynie oddane i znakomicie prowadzące domy.

Pani Justyna była sama znakomitą gospodynią, opiekunką chłopów, w jej wsi był żłobek, szkoła, opieka lekarska, biblioteka i coś w rodzaju domu kultury. Toteż cieszyła się niezwykle popularnością i po wejściu Niemców cała wieś jak jeden mąż stwierdziła, że pani Justyna jest „Aryjką”. Niemalą rolę w tym wypadku odegrała Elsa

Na szczęście panieńskie nazwisko pani Justyny miało brzmienie raczej niemieckie, a matka była z domu Kalinowska. Piękne polskie, szlacheckie nazwisko — i trzeba było do gruntu znać stosunki na Ukrainie, aby się zorientować, że jest to nazwisko żydowskie. Żydów pochodzących z Kalinówki. Skleplik w Kalniku miał Majoro Daszowski, a taki sam w Daszowie Moszko Kalnicki.

Coś jednak Niemcy z wachali, ale kto to tam mógł sięgnąć do Odessy. Ktoś (może Elsa?) zeznał, że ciotka mojej żony, tak zwana ciocia Anielcia, była na ślubie pani Justyny i że знаła jej rodziców. Ciotka była bardzo wiekowa i nie wstawała z łóżka, gestapo zawiadomiło nas, że przysłała do nas przedstawiciela sądu (?), który pod przysięgą odbierze zeznanie ciotki, że ojciec pani Justyny był „Aryjczykiem”. «

Przyjechał facet w mundurze, bardzo nieprzyjemny, w hallu odpiął rewolwer od pasa i zostawił pośrodku na stole, sam zaś, bardzo zdenerwowany, poszedł do sypialni do cioci, która przysięgała, że była na ślubie pani Justyny, że ojciec jej był „wysokim blondynem” (naprawdę!), a co do matki Kalinowskiej oczywiście nie mogło być wątpliwości.

Tym sposobem pani Justyna została nietknięta u siebie. W domu jej podczas wojny znalazło przytułek bardzo dużo osób, między innymi niektóre skierowane tam przeze mnie. Majątek ten leży w sąsiedztwie Puszczy Kozienickiej, która była pełna partyzantów.

Partyzanci mieli kontakty z domem pani Justyny, aprowizowali się na jej folwarku, a bardzo często żywność do lasu transportowała Elsa we własnej osobie.

Tak pani Justyna dotrwała do roku 1945. Potem przeniosła się do Milanówka i tam umarła. Elsa przewiozła jej ciało do tego mauzoleum, gdzie leżą jej mąż, jej matka, jej siostrzeniec — i całe jej zapomniane, ale tak dziwne życie — i nad którym rosną wysokie cementarne drzewa.

Cóż dziwnego, że mijając drogę idącą w tamtą stronę odczuwam ścisnienie serca, którego już nikt zrozumieć nie może — chyba moja żona.

Okropnie lubię te kilometry za Grójcem. Tu się od dawna nic nie zmieniło. Kiedy pierwszy raz przejeżdżałem tędy samochodem, na szosę wyszły dwie sarny i koziołek. Od tego czasu nie widziałem już tu płowej zwierzyny, bo stoi tu znak ostrzegawczy. Znak ten przypomina mi zawsze piękny kawałek prozy Marii Dąbrowskiej Achlung, Hirsche! Powtarzam sobie półgłosem: „Achtung, Hirsche!”*

Tu się zaczynają pełne wdzięku skoki drogi i wzgórki, z których się otwierają już horyzonty pokryte lasami — Puszcza Koziennicka i lasy szydłowieckie już są tu widoczne i widać, jak wszystko zmierza ku Górcom Świętokrzyskim. I wreszcie otwiera się w dali, w głębi widok na most na Pilicy. Dawniej jego sylwetka rysowała się białą, teraz jest ciemna i pod takim dziwnym kątem do drogi.

Zjeżdża się w dolinę Pilicy. Pilica jest najładniejszym dopływem Wisły, pełna wdzięku woda, pełna wysp i mielizn, pełna łąk i kęp drzewnych, z mnóstwem białych gęsi na zielonych brzegach.

To już i Białobrzegi. W miarę jak tędy jeździłem, obserwowałem odrastanie miasta, odbudowę bardzo zniszczonego kościoła, odbudowę skromnej plebanii. Wreszcie odwiedziłem tę plebanię, kiedy przeniesiono do niej z Ilży księdza Władysława Młodożeńca.

Ksiądz Młodożeniec należy do wspaniałej dynastii chłopskiej, tak zasłużonej dla polskiej kultury. Jego bratem był Stanisław Młodożeniec, chłopski poeta, jedyny, którego prawdziwie można nazwać szczerym futurystą. Skąd ten futurysta wśród chłopów? Spiritus fiat, ubi vult. Bratankiem księdza kanonika jest Jaś Młodo

żeniec, którego plakaty przysporzyły nam tyle sławy na świecie. Szwagrem księdza jest Wincenty Burek, chłopski filozof, autor słynnej Drogi przez wieś, a siostrzeńcem Tomasz Burek, młody, ale zażarty krytyk literacki, i Krzysztof Burek, który dla odmiany pisuje w „Tygodniku Powszechnym”, i jest archeologiem. Jest i Marta Burkówna, redaktorka podręczników szkolnych i tłumaczka Czyż nie ładna rodzinka? Jeżeli dodam do tego, że nieboszczka siostra księdza kanonika, Wincentowa Burkowa, była osobą wysoko niosącą sztandar kuchni polskiej (takich obiadów, jakie się u niej jadało, już się nie znajdzie), to ujrzymy, że ta chłopska, bardzo polska rodzina ma w kulturze polskiej zasługi większe niż na przykład królewska dynastia Saska!

Między Grójcem a Białobrzegami najdłuższy kawał drogi prostej jak strzała. Ale ma się wrażenie „prostej” drogi za Białobrzegami — zwłaszcza dawniej, gdy przy wsi Gózd skręcało się pod prostym kątem na drogę zorientowaną na kościół w Jedlińsku. Ten zakręt pod prostym kątem najpierw z całej drogi uporządkowano — i teraz, gdy ścięto piękne topolowe aleje, które się wznosiły po obu stronach szosy, jeździ się prosto na kościół w Jedlińsku. W ostatniej chwili szosa zbacza na prawo i kościół, którego dwie wieże wydają się naprawdę wspaniałe, pozostaje na boku — i skręca się ku Radomiowi.

Przez tyle lat tentowała mnie wspaniałość kościoła w Jedlińsku. Dopiero niedawno zboczyłem z drogi i zajechałem, by zobaczyć kościół. Okazał się ubogi i pusty w środku, choć architekturę ma okazałą i otaczają go drzewa zrzęcznie omijane przez murowane ogrodzenie. Rzadki to przykład, gdzie oceniono wartość drzew.

Przed Jedlińskiem zbacza się na południe, wprost na Radom. Jest tam wieś Wsola z murowanym kościołem. Była to wieś należąca ongi do brata Witolda Gombrowicza. Przekorny duch Gombrowicza — czy też może raczej duchy, które częściowo ongi weszły w ciało Witolda — wyraźnie działają jeszcze tutaj. Przejeżdżając koło kościoła i przez wieś Wsolę trzeba bardzo uważać. Jest się narażonym na diabelskie figle krewnych autora Ferdynurka. To pęknie ci tutaj opona, to wyrośnie skądś dziki rowerzysta i wylądnie na masce samochodu, albo wreszcie demon nie krępiąc się wcale wciela się w prowadzącego samochód zdążający z przeciwnej strony i jedzie całym pędem frontalnie na ciebie — i ratujesz się zjeżdżając gwałtownie na nie takie znów pewne pobocze.

Przed Radomiem dwie rzeczki, pierwszej Radomka, a potem Mleczna. Dawniej wjeżdżało się tu w przedziwny tunel wierzbowy nad Mleczną i na most nad tą rzeką. Dziś wierzby są wysieczone, a most pozbawiony swej ozdoby.

Nie dojeżdżając do Radomia natrafia się na obszerne rondo. Dawniej tego ronda nie było i waliło się na wprost przez miasto, gdziekolwiek by człowiek nie zdążył. Obecnie to rondo jest czymś w rodzaju „rozstajnych dróg” w dawnych baśniach ludowych. Na prawo pojedziesz., itd., na lewo znowuż co innego, a na wprost jeszcze inna niespodzianka. Przez długie lata, którymi tutaj zdążyłem, zawsze do Sandomierza, wybierałem wszystkie trzy drogi. I to nie z ciekawości i nie w oczekiwaniu niespodziewanej przygody, która miała mnie tu spotkać, ale z konieczności, bo niektóre drogi bywały „nieprzejezdne”, a na główny trakt sandomierski przez Ostrowiec i Opatów przez parę lat nie można było wjeżdżać i trzeba było czekać, aż się ta droga odnowi.

Nie było to specjalnie uciążliwe i nieznośne. Jechało się wtedy na lewo aż do Zwolenia, tam można było obejrzeć w kościele epitafium grobowe Jana Kochanowskiego, i zdążyło się bardzo okólną, ale sympatyczną drogą przez Tarłów i Ożarów do Sandomierza, omijając cały szmat głównej szosy w robocie.

Takie okólne objazdy mają zawsze swoje zalety. Gdyby nie trzeba było tak objeżdżać, nigdy by mi nie przyszło do głowy zajechać do kościoła w Tarłowie. Nigdzie o tym kościele nie czytałem, nigdzie o nim „nie pisało”, a jest to jedna z największych osobliwości tej nadwiślańskiej Polski.

Fronton kościoła ozdobiony jest gigantycznymi i prymitywnymi rzeźbami, przedstawiającymi świętego Wojciecha i świętego Stanisława. A wewnątrz posiada tak osobliwe i tak piękne stiuki z XVII chyba wieku, jakich nie posiada pewnie żaden kościół w Polsce. W oknach kościoła tańczą tutaj postacie szlachciców i szlachcianek, pochylają się w ukłonach, w ruchach wykwintnych i naturalnych. Kto to rzeźbił, kto fundował? Wiedzą chyba bardzo obkuci historycy sztuki, zwyczajny podróżny (a któż tu zajrzy) nic nie wie o tych zastygłych polonezach i menuetach brzmiących dawną muzyką.

Kościół ten stawiał Zbigniew Oleśnicki, ale nie ten wielki tylko jego imiennik z końca siedemnastego wieku.

Tutaj także między Tarłowem a Ożarowem, kiedy raz wracaliśmy smętnym popołudniem wrześnieowym czy sierpniowym z Sandomierza do „stolicy”, ujrzeliśmy niezapomniane zjawisko: niezwykle liczny sejm bociani. Setki tych ptaków krążyły nad polem jak wielka chmura, poruszając się jednostajnie i majestatycznie. Czy to żegnały się na zawsze z ojczyzną, do której nie miały wrócić, czy też błogosławiły krajowi, który je żywił latem i który dawał im co roku rzecz najcenniejszą, gniazda rodzinne? W pogodnym, jasnym, jesiennym niebie to powolne krążenie robiło niezwykle wrażenie. Wysiadłem z samochodu i długo patrzyłem na niezmienny kolisty ruch ptaków, pozostał on mi w oczach jako pamiątka, jako wspomnienie.

Dawniej bociany obficie przylatywały nawet na Stawisko, pod koniec lata nocowały na stawiskowskich sosnach, kiedyś naliczyłem ich jedenaście sztuk. Teraz już ich nie widać, nawet ich stałe lokum, gniazdo bocianie w Nadarzynie, w ostatnich czasach pozostaje nie zajęte.

Jeżeli w Zwoleniu nie skręca się na Tarłów i Ożarów, z którego się wjeżdża wprost do Sandomierza, to jedzie się bardzo długą prostą i bezludną szosą, prawie trzydzieści kilometrów jak z łuku strzelił, nagle wyjeżdża się na wysoki brzeg Wisły i po drugiej stronie rzeki widzi się rozległy park i pałac, i miasteczko: Puławy.

Piękny to wjazd do Lubelszczyzny, jakież musiał być piękny, kiedy się zjeżdżało tu z góry końmi do rzeki, do miasta, które było pełne wdzięku i uroku i nie było jeszcze tak barbarzyńsko zniszczone i zeszpecone, jak to jest dzisiaj.

Można i wtedy, niejako od tyłu, przez Lubelszczyznę zajechać do Sandomierza. I tak jeździłem parę razy. Ta droga ma swój niebywały urok. Szosy w Lubelskiem ze swoimi starymi kasztanami i lipami siedzącymi nad drogą jak wielkie ptaki, żyzna pachnąca ziemia i tak daleko od wszystkiego, czego się chce uniknąć...

Most na Wiśle w Annopolu, od wieków taki sam drewniany, i Wisła rozłożysta, pełna mielizn i wierzbowych, wiklinowych zarośli. Gdzieś na boku zostaje Kraśnik, gdzie się w czasie wojny ukrywała Stefania Łobaczewska, pisząc monografię o Karolu Szymanowskim. Miała przy sobie wszystkie moje nuty dotyczące Karola i muzyki francuskiej i gdy przyszło gestapo, musiała uciekać

przez okno, jak stała. Moje nuty gdzieś tutaj spoczywają w pokoju. Dobrze się zasłużyły przy pisaniu Łobaczewskiej, która swój maszynopis ocaliła.

Wtedy się podjeżdża do Sandomierza od strony Zawichostu, już pisałem o tym miasteczku, o promie, który tu chodził. Płaczą się tu jakieś legendy i dzień dzisiejszy. Myśli się o Leszku Białym i zaraz są już Dwikozy ze swoim zakładem przetworów owocowych i z butelkami płynnego owocu, który tak bardzo lubię popijać w „Okraglaku” sandomierskim.

Ale częściej na rozstajnych drogach przed Radomiem bierze się na prawo. Droga prowadzi do Szydłowca przez Orońsko i dalej do Skarżyska, Skarżysko Książęce, Skarżysko Kościelne, Skarżysko-Kamienna złączy się już prawie w jedno. Wielkie centrum fabryczne.

Orońsko bardzo malownicze, z dworem położonym nad łąkami i dopływami rzeczki Szabasówki, wywołuje w pamięci zawsze postać dawnego właściciela tego majątku, Józefa Brandta, malarza. Jest to obok Chełmońskiego mój ulubiony malarz tej wielkiej epoki polskiego malarstwa. Jego Wyjazd Króla Jana z Wilanowa mam zawsze w pamięci. Obrazy Brandta obok formy i kolorytu mają zawsze jakiś dźwięk, brzęczą jak dzwoneczki przy sankach, skrzypią jak śnieg na mrozie, pohukują jak myśliwi w polu. Jazda przez drogi Polski jest jednocześnie jazdą przez historię sztuki polskiej. Przejżdżam tak często przez Kuklówkę obok Chełmońskiego, przejeżdżam przez Orońsko obok Brandta, przejeżdżam doliną Nidy obok Jacka Malczewskiego. Żyją oni tutaj w tym pejzażu, chociaż popsutym, chociaż zmienionym, a jednak napelnionym tym samym powietrzem, które i oni potrafili tak niesamowicie oddać na swoich płótnach.

No, więc się jedzie do tego Szydłowca, przez lasy szydłowickie. Moja żona, ile razy jedzie tutaj przez te lasy, za Szydłowcem wysiada zawsze, odszukuje nie bardzo daleko od szosy położoną mogiłę partyzantów. Przypuszczalnie leży tam jej kuzyn Daniel, chociaż nie wiadomo, kiedy, jak i gdzie Niemcy go zamordowali.

Jedziemy więc przez Suchedniów, skąd pochodziła nasza domownica Pawłowa, która przez lat trzydzieści sprawowała władzę w naszej kuchni, i tu już wjeżdżamy w dolinę rzeki Kamiennej.

Pełna legend i podań Kamienna, pełna tradycji fabrycznych, „od Wąchocka dosyć już znaczna, płynie najpiękniejszą żywną doliną aż do samej Wisły, do której wpada pod Wolą Pawłowską”.

Zaczyna się teren najstarszych środowisk przemysłowych polskich, nie mówię już o dymarkach przedhistorycznych, ale o dziewiętnastym wieku, o wysiłkach Staszica i Druckiego-Lubeckiego.

Stara encyklopedia powiada: „Nad rzeką tą istnieją liczne zakłady górnicze rządowe, mianowicie: wielkie piece w Mroczkowie, Starachowicach, Bzinie, Marcinkowie, Wąchocku, Michałowie, pudlingarnie w Michałowie, Brodach.”

Zakłady w Starachowicach otwarto w roku 1818! Ale teraz do tej pięknej legendarnej doliny można się dostać prędzej i inaczej, jeżeli na „rozstajnych drogach” wybierze się kierunek wprost, na miasto.

I ten kierunek omija centrum Radomia, dąży przez nową dzielnicę tego niebywale rozrastającego się miasta. Wyjeżdża się na Skaryszew. Długi czas droga Radom—Skaryszew była straszna, zламаłem tam kiedyś resor samochodu. Dziś jest ona znakomita i w dodatku bardzo mało uczęszczana.

Specjalnie ulubiłem sobie Skaryszew. Jechało się koło kościoła i potem długą drogą, przez całe miasteczko, linią osobliwych pożydowskich domów z bardzo szerokimi bramami wyjazdowymi, domów, gdzie fabrykowało się przed laty bryki skaryszewskie.

Ta linia ulicy pięknie zarysowana była bardzo charakterystyczna i specjalnie mnie uderzyła od pierwszego razu. Kościół był ubogi, wiejski i nic w nim nie było nadzwyczajnego, lecz tytuł Kościół w Skaryszewie bardzo mi się podobał. Przez długie lata nosiłem się z tym tytułem i nie mogłem podłożyć pod niego żadnej treści.

Jakiś miałem pociąg do tego miasteczka, bardzo dziś lichego, ale które miało epoki swej świetności. Może dlatego interesowało mnie to miasto, że znajdował się tu ongi klasztor bożogrobców z Miechowa, ongi przez Jakse z Ziemi Świętej sprowadzonych. Oni to budowali ów niepozorny dzisiaj kościół, przeze mnie opisany, oni napelnili mistyczną atmosferą to miasteczko, gdzie ongi święta Kinga i święta Jadwiga mieszkowała i w którym Bolesław Wstydlivy niejedną dokument wystawił.

Mówiłem do Szymona, który mnie tędy woził:

— Mam tytuł. Błagam cię, powiedz mi, o czym to ma być.

Wreszcie kiedyś pojechaliśmy do Sandomierza późną jesienią. W lasach już leżał śnieg. Po kilku dniach chciałem pojechać do Krakowa, gdzie miałem spotkać ludzi z Comesu. Pojechałem przez Opatów i Kielce, w Górach Świętokrzyskich było już dużo śniegu i jechaliśmy z pewną trudnością. Droga bezpośrednia Sandomierz — Kraków, której używałem potem, droga Henryka Sandomierskiego, była jeszcze niegotowa. Kiedy przedzieraliśmy się przez śniegi i wyboje Gór Świętokrzyskich, nagle olśnił mnie pomysł. „Już mam!” — powiedziałem do Szymka.

Miałem taką sztukę napisaną jesienią w roku 1945, sztukę z dużą rolą dla harcerza, myślałem o powierzchowności Grzegorza Z., ale rolę i całą sztukę pisałem wówczas dla Andrzeja Łapickiego, który był bardzo młodym aktorem, ale pokazał się już w Elek-irze Giraudoux w Łodzi. Sztuka nazywała się Pod Lipkami i jej treścią była anegdota, którą mi ktoś opowiadał o księdzu, który wziął na siebie wykonanie wyroku na zdrajcy, aby nie dopuścić do morderstwa mającego być popełnionym przez harcerza.

Intrygę tę zmieniłem oczywiście. Przyjechaliśmy wieczorem do Krakowa, sklepy były zamknięte, nie miałem papieru, kupiłem więc w kiosku hotelowym papieru listowego i z miejsca zacząłem pisać swoje opowiadanie Kościół w Skaryszewie na tym listowym papierze.

Dziś zrobiono objazd w Skaryszewie, droga prowadzi teraz na wprost i wymija się wszystkie owe pożydowskie domy, tak charakterystyczne. Kościół też stracił nieco swojej intymności, wystąpił naprzód i cały pejzaż się zmienił. Zachował się tylko w mojej noweli.

Dalej się jedzie przez Alojzów (skąd pochodzi imię bohatera mojego opowiadania) i dalej przez Krzyżanowice. W Krzyżanowicach kościół stary, barokowy, a może nawet renesansowy, lepiej by się nadawał na tło mego opowiadania. Ale tytuł Kościół w Krzyżanowicach byłby niedobry. Brzmiałby niedobrze. No i nie byłoby tu owych domów z szerokimi bramami, takich dziwnych.

To jest już ku Iłży. Dawniej stały tu przedziwne drzewa, stare, pochylone i malownicze. Dziś drzew nie ma. Ale jest tu ów tajemniczy widok, kiedy nad polami wznosi się prostą, o pięknym kształcie popielata wieża ruin zamku w Iłży. Istnieje tradycja, że w bitwie pod Iłżą w roku 1831 ranny był Antoni Szaszkiewicz, podolski król bałagułów i autor wielu pieśni ukraińskich, o których właściwie nie wiadomo, czy były tworem ludowymi, czy też autorem ich był właśnie Szaszkiewicz. Wiele z tych pieśni śpiewała moja matka. Długa była ich droga ze stepów kalnickich na pole bitwy pod Iłżą. Ale gdzie leży samo pole owej bitwy, nikt mi nie umiał powiedzieć.

W dedykowanej mnie książce Gawędy o przyjęciach moja córka wspomina, jak kiedyś przed wojną zaprowadziłem ją, jeszcze małą dziewczynkę, na wystawę nakryć stołowych w dawnym Ipsie. w miejscu przykrytym teraz skorupą „Hotelu Victoria”. Zapamiętała z tej wystawy trzy stoły: chiński, szwedzki i belgijski. Nie wspomina jednak o najosobliwszym, jeżeli nie najpiękniejszym nakryciu stołowym do „myśliwskiego” śniadania. Na obrusie ze sklepu „Ładu” stały sztuce oprawione w jelenie rogi, a całe nakrycie, talerze, półmiski, talerzyki, ryneczki na bigos, wazy były zrobione z iłżeckiej gliny. Polewa z Iłży była czymś jedynym, piękna w kolorze i w połysku, oparta na starych tajemnicach produkcji, a naczynia szlachetne w linii — no, słowem, to było prześliczne. Zdaje się, że ten stół właśnie, otrzymał nagrodę.

Piękne tradycje garnarzy iłżeckich przetrwały do dziś dnia, ale na próżno byś szukał teraz takiego nakrycia. Dawniej, jadąc

do Sandomierza, zawsze udawało mi się tam coś kupić; to piękną misę, to piękny dzban. Zostawała pamiątka z drogi do Sandomierza.

Był kiedyś w Iłży sklep tych wyrobów, była i sama Spółdzielnia Rzemiosła Artystycznego, gdzie można było oglądać i nabywać te wszystkie piękne rzeczy. Teraz sklep zamknięty, spółdzielnia nieczynna, a jeżeli ktoś chce tu coś kupić, to kierują go do Krakowa, Radomia lub Warszawy. Jak prędko się zmienia charakter takiej drogi. Gdzież tu szukać w Krakowie, Radomiu czy Warszawie iłżeckich wyrobów?

Nie tylko chłopci uciekają ze wsi do miasta, ale i w rzemieślnikach mieszka niezdrowy pęd do stolicy.

Rynek w Iłży zarośnięty jest teraz przepięknymi różami, ale garnków w nim ani na lekarstwo.

Kiedy w czasie ostatnich moich „jazd do Sandomierza” ogarnia mnie starcze uczucie, że za czasów mojej młodości było ładniej, przyjemniej i lepiej. Oczywiście wiem, że to złudzenie, że to nieprawda, że tak mi się wydaje, bo już dawno przekroczyłem osiemdziesiątkę.

Czasami jednak konieczny postęp uderza boleśnie. A człowiek bywa przyzwyczajony, sentymentalnie związany z samą dźwiękową otoczką pewnych nazw, które zasłyszane w głębokim dzieciństwie, zachowały coś z tej atmosfery jedynej i niezastąpionej pierwszych lat życia, gdzie każda rzecz widziana czy słyszana zapada tak głęboko w pamięć i serce.

Otóż nazwę Iłża poznałem bardzo wcześnie z książki Władysława Umińskiego *Od Warszawy do Ojcowca* i zawsze wydawała mi się jakaś zaczarowana. I gdy potem naprawdę ujrzałem to miasteczko, wydało mi się, że drzemie w nim czar mojego dzieciństwa i starych lektur. A miasteczko rzeczywiście jest w rozplanowaniu swym romantyczne.

Zawsze najpierw widzimy na tle nieba tę szarą wieżę otoczoną legendami. Ale nie trzeba tutaj żadnych legend — wieża na tle jasnego czy jeszcze lepiej na tle chmurnego i pełnego pędzących obłoków nieba jest sama romantyczną legendą. Do miasta wjeżdża się w głąb jakby do wąwozu, i tu właśnie stał kościół far-ny. A wieża hen, na górze.

Pod górą, na której stoi ruina zamkowa, biegnie droga. Wzdłuż niej stoją stare domy, wśród nich dom jakiejś kapituły z renesan-

sową bardzo piękną tarczą. Stoi jeszcze jeden, mały, zamknięty kościół, bo Iłża to stare miasto.

Istnieją w niej stare i nowsze tradycje. Leśmian tu mieszkał i kochał się serdecznie, pisał wiersze. Nie wiemy, które z jego wierszy są o Iłży, przetwarzał rzeczywistość tak fantastycznie.

A za Iłżą stoją piece do wypalania wapna i leci kolejka do lasu i do niedawna stały bardzo piękne stare drzewa. Ale cóż, kiedy były takie stare!

Dawniej w cieniu tych drzew, a teraz samotnie w gołym polu stoi duża, chyba identycznej wielkości z oryginałem kopia Piety watykańskiej Michała Anioła. Nic dziwniejszego, jak zobaczyć to arcydzieło rzeźby renesansowej w szczerym polu. Nikt pewnie nie wie, że to Michał Anioł, a zresztą trudno to już rozpoznać pod grubą warstwą olejnej farby. Myślę, że co roku na majowe nabożeństwo pociągają tę figurę na olejno.

A dalej ten cudowny wymarzony las. Najpiękniejszy las w Polsce i także wyglądający jak legenda. Ile razy leżę w leżnicy, zawsze marzę sobie o tym lesie — a nawet i czasem gdzieś daleko w Rzymie czy w Sycylii myślę sobie: po cóż ty włóczysz się, człowieku? Nie lepiej by ci było pojechać do borów iłżeckich, do wioski, schowanej w lesie, która się zowie Marcule?

W Marculach musi być cudownie, szczególnie w zimie, w śniegu. I zaraz tutaj przy wyjeździe z tego lasu, z tej puszczy, gdy się jedzie „w tamtą stronę”, otwiera się pierwszy widok na Góry Świętokrzyskie. Widać je zza drzew, zza brzegów doliny Kamiennej i zawsze w tym kształcie dobrotliwych zwierząt, o którym już wspominałem, a który mnie zawsze, nawet we wspomnieniach o tych górach prześladowuje.

Nie są to dla mnie, jak dla Żeromskiego, „moje góry domowe”, ujrzałem je po raz pierwszy dosyć późno, jako zupełnie dorosły człowiek. Pamiętam, było wtedy chłodnawo i jeden obłoczek zszedł tak nisko i rozplywał się nad kościołem w Tarczku. Ale zawsze mam do tych gór sentyment jak do bliskich istot. I jest to dla mnie moment radosny i uroczysty, kiedy dostrzegam je po raz pierwszy właśnie wyjeżdżając z puszczy starachowickiej.

Kiedyś, pamiętam, jadąc do Sandomierza utknąłem w drodze, nie dojeżdżając do Opatowa. Samochód, który kaprysił od samej Warszawy, utknął ostatecznie w Jacentowie, parę kilometrów przed Opatowem. Był to samochód Komitetu Obróńców Pokoju, z pocz-

licowym szoferem Waławem Kurem. (To on mi opowiedział o losie żołnierzy polskich w Szwajcarii — patrz Opowiadanie szwajcarskie.) Bardzo się trwożył i sumitował, zabrał się wreszcie z jakąś ciężarówką do Sandomierza, a noc już przyszła. Zanocewałem razem z moim przyjacielem doktorem Cześcikiem w jakiejś czystej chacie, na słomie rozesłanej w izbie na podłodze. Spało się znakomicie — z rana po wstaniu spostrzegłem, że idąc ogródkiem i polem za tą chatą w Jacentowie podchodzi się blisko do gór, do Łysicy. I tak się z tego ucieszyłem. Czekałem do południa na poczciwego Wincentego Burka, który przybył po mnie samochodem, a jednocześnie kontemplowałem góry, które wznosiły się tuż, za polem, zdawało się, tylko rzucić kamieniem.

Tam też w tej okolicy znajduje się zadziwiająca rzeźba, postać kłęzącego pielgrzyma, zwana Świętym Emerykiem, jak gdyby poruszająca się ku górze, ku szczytowi Łysicy. Posąg posuwa się 0 ziarenko piasku co sto lat. Gdy dotrze do klasztoru, będzie koniec świata.

Nadchodzące pokolenia mają przed sobą kawał czasu. Ale zawsze na Świętego Emeryka spoglądam z pewnym wewnętrznym drżeniem.

Więc właśnie po wyjeździe z puszczy widzi się przez chwilę te obłe zarzysy. A potem już wjeżdża się — dawniej przez cudowne, olbrzymie jawory — dzisiaj gołą szosą na Brody Hłżeckie i wypływa się niejako na tę samą szosę, która prowadzi od Skarżyska doliną Kamiennej do Ostrowca.

Brody tam zastawione groblami, zaporami, baseny tu rybackie i elektrownie chyba. Ale kiedy się jedzie w stronę Ostrowca, po paru kilometrach dojeżdża się do wspaniałych, potężnych ruin. Nie są to ruiny zamku. To jest Nietulisko, znakomity zakład przemysłowy Staszica jeszcze czy księcia Lubeckiego.

„Nietulisko — powiada stara encyklopedia — wieś rządowa nad rzeką Kamienną, posiada wielką walcownię sztabową i blachową żelazną, poruszaną kołem wodnym o sile sześćdziesięciu koni, która może przerabiać przeszło osiemdziesiąt tysięcy cetnarów żelaza i wielkie blachy sporządzać. Zakład ogromny i na sposób angielski urządzony.

Jest tu wodociąg sto pięćdziesiąt sążni długości i tyleż szerokości mający, dla połączenia kanałów do rzeki Kamiennej i Świśli-ny, ma wspaniałe ciosem wyłożone i z ciosu wystawione okazałej budowy śluzy, robione przed rokiem 1830, w zamiarze uczynienia rzeki Kamiennej spławną.”

Co za wspaniała legenda. Rzeczka, kręta, nędzna, płynąca łąkami, na których pasą się setki białych gęsi, miała być rzeczywiście spławną. A ruiny zakładów w Nietulisku „na sposób angielski urządzonych” wznoszą się tutaj porównane w swojej nicości z ruinami zamku w Hłży, ze ściętymi pniami jaworów we wsi Młynek!

Cały to obszar tradycji zupełnie nie wyzyskany: romantyczna fabryka, romantyczna sztolnia. Widziałem w Belgii opuszczone kopalnie i huty, grodzone romantycznymi murami, zabudowane przedgotyckimi halami maszyn, zarośnięte trawą, z pomnikami po podwórzach, typowymi rzeźbami sporządzonymi „przed r. 1830”. Dzieje doliny Kamiennej — uwzględniające chyba i przedhistoryczne siedliska robocze, dymarki i prymitywne fabryki narzędzi krzemiennych — jeszcze nie są napisane. A na pewno są godne najwybitniejszych piór.

Dzisiaj mało zostało w tym pejzażu z historii. To chyba tylko, że te wielkie domy mieszkalne i zakłady przemysłowe, które nieoczekiwanie wynurzają się nad zieloną doliną rzeki, są tak dziwnie nieuzasadnione. Dolina Kamiennej tak mało ma w sobie z zagłębia przemysłowego, tak niepodobna jest do Śląska czy też do Zagłębia Ruhry, czy okolic Liege. Budowle Starachowic, Kunowa, Ostrowca są tak nieoczekiwane, wznoszą się jak budowle z bajki, jak ilustracje. W takim są kontraście z łagodnym szmaragdem łąk, sielankowym rysunkiem stad gęsi czy krów — które tu są z rasy czerwonej. Obecnie rzadkość w Polsce.

I tak się dojeżdża tą groblą usypaną środkiem doliny do Ostrowca. Ostatnia stacja kolejowa przed Ostrowcem nazywa się Boksycza, stacja boksytów. Nagle nazwa przemysłowa. Dziwna to mieszanina sielanki i przemysłu.

Tak samo i w Ostrowcu. Jakże rozwinęło się to miasto za mojej już pamięci. Ale, jak w dolinie Kamiennej, ten rozrost jest jakby nałożony na element miejscowy i robotnice nazbyt przypominają wiejskie kobiety, a robotnicy wyglądają tak jakby jeszcze wczoraj stali przy pługu. Pługu konnym.

Może to jest i radosna strona tego miasta. Jako poseł tutejszy interesuję się wspaniałym, olbrzymim szpitalem tutejszym i dość powolnym przebiegiem jako budowy (przed laty), interesuję się

rozszerzeniem huty i budową nowego „pawilonu” fabryki w innej niż dotychczasowa huta części miasta, no i jakąś rozbudową domów mieszkalnych. Interesuję się domem kultury; na pewnym zebraniu — to jeszcze w czasach heroicznych, po „kongresie kultury” — zobowiązuję się napisać dramat w cztery osoby i w jednej dekoracji. Aby to można było wystawić w byle sali.

To dla Ostrowca napisałem K osmogonię. Zagrał tę sztukę po Warszawie Radom, zagrały Kielce, Gniezno, Zielona Góra. Ale Ostrowiec nie zagrał. Nie zorganizowano tam teatru. Może to i lepiej.

Już pisałem o drodze z Ostrowca do Sandomierza przez Włostów i Opatów, o wyciętych wierzbach, o dawnych wspomnieniach. Kolegiata w Opatowie związana jest dla mnie na zawsze z pierwszym wspomnieniem i z wielkim wrażeniem, jakie zrobiła na mnie ta budowla. I nie ogromne wnętrze, nie wspaniały Lament opatowski na grobowcu Szydłowieckiego, arcydzieło rzeźby polskiej, ale strona zewnętrzna tego kościoła.

Ile razy tu jestem — a byłem niezliczone razy — przede wszystkim idę przed kościół, aby zobaczyć jego fasadę.

Czuję się bardzo związany z tą architekturą. Wejście do kolegiaty nie jest efektowne. „Nic tam nie ma.” A jednak ten podwójny kamienny łuk, jeden zewnętrzny, drugi prowadzący do świątyni, dyszą spokojnym pięknem najprostszej kamiennej harmonii. Nie ma w tym portalu nic nadzwyczajnego, zupełna, naga prostota. Nawet to obramienie niedokończone, podobno stały tu posągi templariuszy, dla których budowano kolegiatę. Nie ma to żadnego charakteru, ale że budowali to polscy robotnicy, z polskiego kamienia, te świątynne wrota, do których wchodzi się po kilku płaskich stopniach, są tak bardzo polskie. Mają w sobie tę polszczyznę średniowieczną, tutejszą, którą starałem się zawrzeć w Czerwonych tarczach. Nawet nie „starałem się zawrzeć”, ale którą oddychałem.

I potem ta barwa kamienia, w którym się te wrota otwierają. Gładka ściana piaskowca (czy granitu?), na której nie bardzo wysoko przebiega rzeźbiony fryz, jest koloru szarobrazowego. Ale nie wiem dlaczego, kiedy się tak patrzy na nią, przypomina fiolet i potem w pamięci zostaje fiołkowa, we wspomnieniu ściany kolegiaty opatowskiej mają barwę bukietu zwiędłych fiołków. A kiedy się przed kościołem stanie i popatrzy nań, ogarnia nas zdziwienie:

nic podobnego, nie ma ani trochę fioletu na tych ścianach. Ale dlaczego mi się tak zdawało?

I dopiero nad tą okrągłą linią portalu, nad rzeźbionym gzymsem i nad wysokim oknem, które tu wyrasta, wznoszą się dwie wieże o niejednakowym wystroju okien, z kopułami przypominającymi kwiaty złotogłowu.

Cóż to za dziwny, przemawiający budynek. Ile on mi opowiedział w swoim milczeniu. Opowiedział mi całą historię poczynając od księcia Henryka Sandomierskiego, poprzez Lament opatowski, poprzez historię bitwy, jaką stoczyli tu w sposób niewiarygodny powstańcy polscy w roku 1863, poprzez ofiary przemocy hitlerowskiej, aż po dzień dzisiejszy.

Takie przestanki w jeździe do Polski na rozstajnych drogach bywają bardzo pożyteczne. Pod każdym względem.

I w ten sposób dojeżdża się do Sandomierza.

Rzecz prosta, że obecnie cały dojazd, całe wrażenie, jakie się odbiera z miasta, jest zupełnie, ale to zupełnie inne niż przed trzydziestu czy czterdziestu laty. Jakże daleki jest dzisiejszy Sandomierz od idylli z lat bezpośrednio poprzedzających wojnę, a nawet, z lat zaraz po wojnie następujących.

Nie ma już tych przyjaciół, którzy tutaj przyjeżdżali, i mieszkańcy Sandomierza znacznie się przerzedzili, jeżeli chodzi o przyjaciół i znajomych. Ludzie nowi i nowe instytucje, wszystko się poprzekreślało, pobudowały się wspaniałe budynki urzędowe, z którymi na dobry ład nie wiadomo, co robić, bo Sandomierz przestał być powiatem, a województwem pomimo wielkich ambicji nie został.

Przerabianie starego miasta na jakiś skansen, zamienianie wszystkich domów, w których dawniej mieszkali ludzie i bujne życie kwitło, na coś w rodzaju wiecznych muzeów oczywiście ma swoje uzasadnienie, ale starym przyjaciołom miasta nie odpowiada.

Mimo woli wspomina się jeszcze czasy, kiedy na zamku siedziało więzienie i kiedy się walczyło o jego ewakuację, kiedy targi były w pobliżu ratusza i kiedy łatwiej było o nabycie jakiegoś garnka czy jakiegoś kozuska niż teraz, kiedy targ jest niedostępny, daleki i chyba stracił dużo ze swojego charakteru.

Jeszcze niedawno na święty Wincenty procesja, prowadząca biskupa z pałacu do katedry, mieszała się z handlarzami garnkami

glinianymi, kogutami i malowniczymi „trafikami”, których tarcze za marne dwadzieścia pięć złotych zatrzymywały się na z góry wybranym przedmiocie, np. kogucie białym w szafirowe kwiaty, jaki dziś stoi w moim gabinecie i pomaga mi wspominać moją ojczyznę.

Dzisiaj chyba na święty Wincenty nie ma już tych przysmaków, tych trafik, tych pieśni dziadowskich. Za to będziemy mieli bardzo piękne miasto muzeum. Już dzisiaj widać, jakim wspaniałym gmachem stanie się zamek nabierając godności i martwoty po wygnaniu stąd jego przestępnych mieszkańców.

Przemawia przeze mnie nie wyrzut, nie żal, że w ten sposób się wszystko odmienia, ale pewnego rodzaju smutek, że właśnie tak wszystko przemienia się, biegnie, wije się jak owa Kamienna, która miała być spławna jeszcze w pierwszej połowie zeszłego stulecia.

Oczywiście, że smutno jest, kiedy przy tej okazji niszczyją pamiątki, całe połączenie wspomnień i całe kawały pejzaży. Nie mogłem się uspokoić, kiedy przy parcelacji parafialnych gruntów Świętego Pawła rozparcelowano i zaorano wspaniałą wawóz, którym od strony Koprzywnicy wyszedł na kościół Świętego Pawła Sokolnicki w 1809 roku. Wawóz to był cudowny i widok z niego nadzwyczajny na wielkie S Wisły, gdzieś od Samborca ciągnące się wśród płaskich łąk, oglądane tutaj z góry. O wawozie tym nieraz pisałem i było to „moje miejsce”. Ukochane i takie, gdzie odnajdowałem spokój i to coś, co pozwalało mi wracać do mojego mieszkania za katedrą i spokojnie pisać moje ulubione dzisiaj utwory.

Z rozpaczą kiedyś skonstatowałem, że wawóz został zaorany, że pobudowano w nim brzydkie, prowizoryczne domy i założono wielkie ogrody.

Nie śmiałem zjawiać się w tej okolicy, bałem się, że bardzo już wielkiej doznam przykrości.

Musiałem tu przyjść zapewne w wiele lat po parcelacji, gdyż ogrody były już wspaniałe rozrośnięte, drzewa morelowe i czereśniowe wyglądały jak dęby, a rozłożyste krzaki porzeczek panoszyły się wszędy. Ziemia tutaj była wspaniała i zapewne dobrze się stało, że zmuszono ją do przynoszenia korzyści.

Czereśnie tutaj zebrane były wielkie i słodkie, maliny pachnące. Do pieska, który mnie zaatakował, powiedziałem: — Mój drogi, ja tutaj pierwaj byłem, ja bardziej od ciebie kochałem tę ziemię,

a teraz ona zmieniała się nie do poznania. Pamiętaj, i dla ciebie zmieni się ona niebawem.

Ale pies nie był filozofem i szczekał na mnie w dalszym ciągu. Taki ten Sandomierz zmieniony. Zapewne będzie piękny, będzie wspaniały, ale to już nie będzie Sandomierz „naturalny”, taki, jakim go poznałem w roku 1921.

Lubię tę moją sandomierską fotografię. Leżę tam w berecie i jakiejś zgrzebnej koszuli i przypominam nieco malowidło Goethe in der romischen Campagna. I tak mi się zdaje, że leżę tutaj jak gdyby w samym sercu Polski, na wzgórzu Salve Regina pod samym Sandomierzem. I że chociaż może to miasto się zmieniło od czasu, kiedy się tak fotografowałem, że stało się inne, wspanialsze i bardziej obce, że nikt mnie tu już nie zna i nie bardzo chce znać, ale że to powietrze jest takie samo jak przed laty, i te topole nadwiślańskie szemrzą tak jak przed laty, i że wszystkich stron otaczają mnie twarze przyjaciół, którzy towarzyszyli mi zawsze po tych moich takich wspaniałych, najwspanialszych w świecie podróżach do Polski.

1976

Podróże codzienne. Mazowsze

Kto tak jak ja mieszka od pięćdziesięciu lat w pewnym oddaleniu od stolicy, w której musi być codziennie, ten odbył tysiące podróży po terenie mu najbliższym, zetknął się z tysiącami ludzi i obejrzał mnóstwo pejzaży letnich, zimowych i jesiennych, które ukazały mu rodzoną ziemię jakby w ruchu. To on sam się ruszał, a ma wrażenie, że to te obrazy, drzewa, kwiaty, domy, ludzie poruszali się i przemijali przed jego oczami.

Niedaleką przestrzeń, dzielącą nasz dom od Warszawy, w ciągu tych lat trzeba było przemierzać różnymi sposobami: tramwajem, kolejką, końmi, samochodem, zdarzało się nawet, że szedłem tędy piechotą. A pamiętać należy, że to przecie jest równina podwarszawska, Mazowsze prawdziwe i pejzaż mazowiecki charakterystyczny.

Gdy zamieszkałem w Podkowie Leśnej pierwszy raz, był to głęboki las, daleki od osiedli ludzkich, i można było tu dojechać tylko kolejką z Dworca Wiedeńskiego, później z prowizorycznego Głównego do Brwinowa, a przestrzeń pomiędzy Brwinowem i Podkową trzeba było przemierzyć piechotą; czasami tylko jeździło się końmi. Droga pomiędzy Brwinowem i Podkową była jeszcze dziewicza, a właściwie dzika, i wzbudzała podziw Karola Szymanowskiego, któremu przypominała ukraińskie wertepy.

Na samym początku mojego mieszkania w Podkowie pamiętam naradę dotyczącą budowy szosy do Warszawy. Narada odbywała się w sąsiednim dworze, w Otrębusach, u Teodora Toeplitza, który już wtedy tworzył Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową (WSM) na Żoliborzu. Dwór Teoplitzów w Otrębusach był pobu

dowany przez Marconiego w sposób nader osobliwy. Posiada on dwa obszerne salony, jeden na parterze, drugi na pierwszym piętrze, krzyżujące się z sobą.

Obrady toczyły się w dolnym salonie. Z okien tego salonu roztaczał się daleki widok: na wprost widniał okazały drewniany budynek, którego od parku w Otrębusach nie dzieliły żadne przegrody. Budynek był ozdobiony wysokimi świerkami rosnącymi przed gankiem i „krągłym basenem z fontanną. Nie wiedziałem, że tu się znajduje coś podobnego. Spytałem Teodora Toeplitza, co to za dom. Odpowiedział: „To jest sanatorium, dom wypoczynkowy dla nerwowo chorych. Nazywa się Karolin”.

Tak po raz pierwszy ujrzałem owo centrum Mazowsza, osławiony i wslawiony potem Karolin. Bywałem tam nie raz jako gość Tadeusza i Miry Sygietyńskich i całego znakomitego zespołu.

Tak kiedy przebiegam w myśli te lata wędrówek i setki przebytych kilometrów, co i raz rodzą się wspomnienia i przecucia, niezrealizowane pomysły i urzeczywistnione katastrofy, które mi na tych drogach mazowieckich, poplątanych i wijących się tak rozmaicie wokoło Warszawy, towarzyszyły.

Najpierw jechało się ze stacji w Brwinowie. Stacja Brwinów to był mały budynek, stojący w cieniu olbrzymiej topoli nadwiślańskiej. Już tylko kilka było tutaj takich starych topoli nadwiślańskich, olbrzymich, rozrośniętych, o niezwykle pięknych kształtach. Były to resztki dawnej, wysadzonej topolami drogi od Warszawy do Skierniewic, drogi biskupów, ale która nosiła nazwę „drogi królewskiej”. Jeszcze za mojej pamięci mówiło się na tę część drogi między Brwinowem i Grodziskiem „droga królewska”. I jeszcze chowały się dwa takie potężne drzewa-topole, w Brwinowie jedna, a druga blisko toru kolejowego w Grodzisku — a ta trwała nawet dość długo. Ścięto ją dopiero po wojnie.

Brwinów! Zawsze miała dla mnie ta osada jakiś tajemny wdzięk. Dopiero się ostatnio okazało, że jest to wdzięk od tysięcy lat zamieszkałej siedziby ludzkiej, która po prostu dyszała wielowiekową kulturą.

Gdy wyjeżdżam od siebie, mijam siedzibę sąsiada, która ma krótszą, ale łatwiej sprawdzalną historię. Siedziba ta miała długą historię, a teraz będzie miała jeszcze dłuższą. Sąsiadem tym przed laty był Zygmunt Bartkiewicz, którego pisarstwo polubiłem na dłu

246

go przed tym, nim go poznałem. Jego nowele staropolskie były moją ulubioną lekturą w młodości, jeszcze w Kijowie. Czytałem je głośno mojej matce, z pożyczonej w jakiejś polskiej bibliotece książki.

Pisałem wtedy — bardzo intensywnie — Ucieczkę do Bagdadu i mimo woli czerpałem materiały do mojego opowiadania, gdzie popadło. I tak skopiowałem karykaturalną postać Starościny, porwaną do Astrachania, podług karykatur staropolskich, jakie malował Bartkiewicz. Na to nawet pani Maria Jędrychowska, badająca tak szczegółowo proveniencję mojej młodocianej prozy, nie wpadła.

Bartkiewicz był przyjacielem mojego teścia — i gdy kiedyś został ukarany grzywną za używanie w rosyjskim urzędzie polskiego języka, z zamianą grzywny na trzy dni aresztu, wybrał areszt. Mój teść sfotografował polskiego pisarza siedzącego w brwinowskim policyjnym „uczastku” nad olbrzymim bochnem więziennego chleba w towarzystwie „stójkowego”. Ta fotografia jest do dziś dnia wielkim skarbem mojego albumu.

Bartkiewicz przez długie lata był jedynym „osadnikiem” parcelowanego Brwinowa. Wybudował sobie przy grodzkiej drodze, która wiodła niegdyś z Warszawy do Skierniewic, ozdobiona tymi wysokimi topolami, bardzo ładny domek. Domek przechodził różne koleje, jak to w Polsce. Ostatecznie dzisiaj, odnowiony, będzie gromadził osobliwe starożytności brwinowskie sprzed paru tysięcy lat, a ogródek będzie zmieniony w rodzaj skansenu, z grobami odnalezionymi w okolicach Brwinowa, w stronie Biskupic i Rokitna. Domek stoi niedaleko stawu i niedaleko mostku, który nie zawsze był takim porządnym mostem.

Tędy się jeździło z Warszawy do Grodziska Mazowieckiego. Grodzisk to stare miasteczko. Jest tam bardzo stary kościół, nie wiadomo, czyjej fundacji, ale ponieważ w sąsiednim Błoniu stary kościół, koło którego przejeżdżam, jeżeli chcę wyjechać na szosę poznańską, bardzo podobnej struktury, był założony przez Konrada Mazowieckiego, to i kościół w Grodzisku zakładał pewnie jakiś dawny książę mazowiecki. Dzień targowy w Grodzisku, do dziś dnia środa, ustanowił Bolesław Krzywousty. Bolesław Krzywousty umarł na zamku w Sochaczewie, jego żona, księżna Salomea, z dziećmi przebywała wtedy w Łęczycy, a ciało Krzywoustego

247

Jeżozono aż do Płocką, gdzie je pochowano w tumie. Jak to wszystko kombinowano? Jak posyłano wieści! Jak jeżdżono tymi drogami, które i dziś nie są nadzwyczajne?

Na tym to mostku, który dzisiaj wypada koło Bartkiewicza i koło naszego stawu, od którego pochodzi nazwa Stawisko, ugrzązł ongi generał Mokronowski z rzeźbiarzem Thorvaldsenem. Mokronowscy byli częściowymi właścicielami Grodziska, o czym świadczą liczne tablice rodzinne umieszczone w kaplicy grodziskiego kościoła. Tablice te zrazu wymieniają zwyczajnie Mokronosów, potem Mokronos-Mokronoskich, a kończą się na dwóch bezdzietnych hrabiach Mokronowskich, którzy umarli w Nizy pod koniec XIX wieku!

Otóż kiedy Thon aldsen był w Warszawie i wybierał miejsce pod pomnik Kopernika, generał Stanisław Mokronowski, zamierzając zbudować pomnik rodzinny, robot' rzeźbiarza duńskiego, w Grodzisku, chciał mu ów kościół, miejsce ewentualnego pomnika, pokazać Wiózł Thorvaldsena ze sobą do Grodziska i powóz czy karetą ugrzęzła na mostku pod Stawiskiem. I musiano Thorvaldsena wołami wyciągać! Widać zniechęciło go to do tej imprezy, bo pomnika Mokronowskim nie wyrzeźbił.

Otóż domek, ów domek Bartkiewicza, koło którego codziennie przejeżdżam jadąc na pocztę (tu u nas jeszcze trzeba zamierzchnym zwyczajem „jechać na pocztę”), został, jak powiedziałem, ostatnio przemianowany na muzeum. Cały Brwinów mógłby być właściwie zamieniony w jedno muzeum. Pełno było zresztą w gazetach o sensacyjnych odkryciach przedhistorycznych dymarek na terenach pomiędzy Brwinowem i Błoniem.

Tysiące pieców do wytapiania żelaza zgromadzonych w jednym miejscu świadczą o tym, że mijamy tu odwieczne zagłębie przemysłowe takie, jakich niewiele jest na świecie.

Olbrzymi przemysł żelazny skoncentrowany w tym miejscu (jak? dlaczego?) wzbudza niezwykle zainteresowanie. Przecież tu musiało — naokoło tego przemysłu — gromadzić się mnóstwo ludzi, tu się mnożyły jakieś osiedla, jakieś „punkty handlowe”, i dopiero potem, kiedy dymarki wygasły, kiedy rozposzyli się po jakiejś katastrofie pierwotni robotnicy, na tym wszystkim porósł las, zaszumiała puszcza i poczęli się kręcić książęta i królowie ze swoją świtą, dziedzice żelaznych koron.

w gąszczu nekropolii, zwraca uwagę, u progu tego „zakładu produkcyjnego”, zgrupowanie trzech grobów, mające chyba jakieś symboliczne znaczenie.

Czy to aby bogów o przychylność uprosić, czy też aby pracę pobłogosławić, u wejścia do obszaru dymarek umieszczono trzy tajemnicze, chyba obrzędowe, groby.

Jeden jest grobem konia, drugi grobem tura, trzeci grobem dziecka.

Tur oczywiście umarł w polowaniu, ale czy koń zmarł naturalną śmiercią? Czy dziecko jest ofiarą choroby, czy też jest to najwyższa ofiara na uproszenie błogosławieństwa dla trudnej roboty? Nigdy nie będziemy tego wiedzieć, ale te trzy mogiły u wrót pierwszej fabryki znalezionej na ziemiach mazowieckich robią duże wrażenie. I ta ziemia brwinowska, którą tyle razy mijało się obojętnie, nasiąknięta krwią pradawnych ofiar, nabiera innego znaczenia. I nowe jej ofiary nabierają innego sensu.

Znacznie jednak młodszy, ale to znacznie młodszy, jest „stary” cmentarz w Brwinowie. Gromadzi on dziesiątki, setki moich krewnych, przyjaciół i znajomych. Na cmentarzu w Brwinowie czuję się jak w rodzinie.

A ma ten cmentarz wdzięk specjalny. Porośnięty starymi, podniebnymi drzewami, zawsze okryty kwiatami i spadłymi na mogiły liśćmi, zawsze jest piękny, a zwłaszcza o jesiennej, zadusznej porze. Pośrodku tego cmentarza stoi stara drewniana kapliczka. Napis na frontonie kapliczki stwierdza, że fundatorem jej jest Eustachy Marylski, dziedzic majątku Księżenice. Księżenice do dziś są częścią parafii brwinowskiej, choć oddziela je od Brwinowa dobrych parę kilometrów.

Z napisu tego wynikają niespodziewane wnioski dla biografów... Chopina Eustachy Marylski był kolegą Fryderyka Chopina i pensjonariuszem jego rodziców. Frycek przyjaźnił się z Aiarylskim i jeździł do niego na wieś, ponieważ to było „pod Warszawą”. Ale w ostatnich czasach Marylscy byli właścicielami innej wsi. Pęcice, położonych bliżej Warszawy. Zawsze się też mówiło, że Chopin jeździł do Marylskich „do Pęcic”. Tymczasem w owej epoce Marylscy mieszkali w Księżenicach. Uchowała się tam piękna rezydencja i wspaniała aleja kasztanowa, którą jeszcze znałem, bo do Warszawy można było, a nawet trzeba było czasem jeździć przez Księżenice.

Wtedy obserwowałem to miejsce, dokąd miał być przeniesiony piękny modrzewiowy kościół z Brwinowa. Ale kościół w Brwinowie rozebrano i modrzewiowe drzewo wywieźli Niemcy. I kościoła tu nie ma. A piękna aleja kasztanowa zmarzła dopiero w zimie roku 1928/29.

Chopin więc jeździł nie do Pęcic, ale do Księżenic, chyba „królewską drogą” do Grodziska, pod tymi wielkimi topolami, a potem z Grodziska dalej, między kasztanami. Pewnie ma to niewielkie znaczenie, ale jadąc do Księżenic młody Fryderyk zagłębiał się bardziej w Mazowsze. Podchodził bliżej do Rawy, do Białej Rawskiej i do prześlicznego Babska, gdzie dzisiaj spoczywają resztki ziemskie jego pierwszej ukochanej, Konstancji Gładkowskiej, na cześć której owo *Larghetto* z *Koncertu* stanęło. Czy nie szemrzą w tym *Larghetto* właśnie liście tych topoli i kasztanów?

Tu są płaskie jednostajne pola. Tu i ówdzie widać domy, zabudowania folwarczne i wysokie drzewa. Częściej pokurczone i przyduszone zagajniki. A poza tym płasko i monotonna, jak w niektórych nokturnach: spianato, równinnie. W Pęcicach jest inaczej: stawy, parki, lasy młochowskie niedaleko, gdzie dzisiaj jeszcze na przejezdnych wyskakuje zwierzyna. To nastrój innego Mazowsza.

Od Księżenic niedaleko do Ojrzanowa, do Kukłówek, do Radziejowic. Ten sam pejzaż monotony i melancholijny, ale podpatrzony dla nas przez innego artystę. W Ojrzanowie na cmentarzu pochowany jest Chelmoński.

Cóż on widział w tej krainie?

Był czas, że codziennie przemierzałem właśnie te okolice: Kukłówkę, Radziejowice, Ojrzanów. I myślałem sobie: tu, w śniegu, błąkały się kuropatwy, nad tym polem leciały bociany, tu (w Nadarzynie) była ta chata zwieńczona bocianim gniazdem, którą zobaczył on w różowych blaskach świtu pogody wschodzącej nad polem. W tych brudach na długie godziny kładł się Chelmoński, aby zespolić się z tą ziemią. Czy potrzebował na to aż leżenia w zaoranej brudzie? Czy nie wystarczał mu wszechobejmujący rzut wzroku? Czy istnieje jeszcze dzisiaj taki mit ziemi?

Przemierzam dzisiaj te ziemie z o ileż oschlejším sercem niż tamten człowiek, wspaniały człowiek. Ale czy mniej od niego kocham to mazowieckie pole, nad którym i dziś snuje się dym rozpalanego przez pastuszków ogniska?

Stąd jeździł na Ukrainę, na Podole. Ale zawsze wracał. I może rzeczywiście brudzy tej ziemi, w których leżał godzinami, powiadały mu o sprawach tej niepodobnej, ale jakże pełnej treści gleby. Leżał twarzą do ziemi, słuchał, co mu mówią świerszcze i żdźbła najmniejsze; a kiedy odwracał się twarzą do góry, widział nad sobą głębokie, nie zawsze szafirowe niebo. Jak on umiał napęlić to niebo wędrownymi obłokami, które ocieniały drzewa i ogrody deszczem, czasem gradem, przejrzystą, szarpiącą ulewą, jak w słynnej *Burzy*, czasem zaróżowionymi masami — prawie materialnymi, przewalającymi się w promieniach wschodu i zachodu — nieba, zawsze pachnącego szeroką, daleką dalekością.

Leciały nad nim ptaki, wrony, skowronki, ale najczęściej kaplańskie ptaki, egipskie bociany, o tak nabożnym locie. Albo klucze żurawi. Sposrzedł ich skrzydła i nogi, i dzioby; ich kształty odbijały się w jego oku jak pieczęcie. To tu w zamiecie śnieżnej błądziły te kuropatwy, z których zarysów tworzył potem tak znakomite prawie abstrakcyjne obrazy.

Tutaj mieszkali sąsiedzi: chłopci i hrabiowie. Tu mieszkała ta mądra hrabina, co przyjaźniła się z Sienkiewiczem, a przecież Sienkiewicz w gruncie rzeczy najlepiej spowiada się na mazowieckiej równinie, najlepiej tłumaczy jako Mazur.

Gdy jadę tą drogą, obok Radziejowic, widzę jego niewysoką figurkę z fuzją na ramieniu. Przyjeżdżał tu na polowania. Dziadek mojej żony, doktor Stankiewicz, wyrażał się dość pogardliwie o jego myśliwskich wyczynach. Ale gdy tak idzie poboczem tej drogi, nie myśli o zającach i kuropatwach.

W myśli jego błąkają się postaci Rzędziana i Zagłoby, Ket-linga i małego rycerza, i wszystkich tych wspaniałych niewiast, rodem z mazowieckich salonów. A może myśli nawet, co dać Stachowi Połanieckiemu na śniadanie, na które tak chętnie wybrałby się Czechow. I Czechow, i Tolstoj nie mają tak absolutnych wymagań jak my, i dlatego podoba się im Bez dogmatu i Rodzina Połanieckich, których niejedna stroniczka urodziła się na tych drogach.

Tutaj też mieszkała ta hrabianka, która malowała bardzo dobre obrazy, tylko że, zdaniem Chelmońskiego, „trzeba było je wszystkie przemalować”.

Kiedyś naszą kochaną sąsiadkę, panią Wróblewską, znakomitą znawczynię przetworów „na zimę”, moja córka zabrała do Kanady

w charakterze pomocy w gospodarstwie. Po drodze zajęchały do Nowego Jorku i moja córka zaprowadziła panią Wróblewską na któryś wielki drapacz chmur, Empire Building czy jakiś inny, aby obejrzeć rozlegający się stamtąd widok. Pani Wróblewska rozejrzała się dokoła i powiedziała: „U nas, w Rokitnie, jest także taka wieża i widzi się z niej całą okolicę”.

Odtąd miewam taki sen: Idziemy wszyscy z Brwinowa na odpust do Rokitna, jest 15 sierpnia, cudowny letni dzień. Wstępuję po drodze na cmentarz i zabieram wszystkich moich: i księdza Kolasińskiego, który był członkiem AK, i dyrektora Baniewicza, który uparcie budował kolejkę EKD, i sąsiada burżuja Więcka, który służył mi pomocą i radą w ciężkich czasach i przechowywał Żydów w swojej cegielni, i kochaną Karolinę Jasińską, która była tak pogodna i czyściutka, i spokojna, gdy umierała w nowej murowanej chacie (wychowała sama w swoim wdowieństwie pięcioro swoich dzieci w chacie z chrustu, otynkowanej byle jak, ale jak wychowała!), i kochanego Ulatosia, z którym nasłuchiwałem ech powstania, i jego szwagra, rozstrzelanego w Magdalence, i pana Antoniego Zielińskiego, który wylepiał zawsze u nas piece przed jesienią, i zbudował na Stawisku taką piękną „figurę” pod dębem, i Jana Jasińskiego, który wkładał zawsze czerwony krawat na pierwszego maja, i wszystkich, wszystkich...

I idziemy do Rokitna, a tam na miejscu kościoła stoi stupień- rowy dom i wjeżdżamy na szczyt tego domu, i stajemy na dachu, i widzimy, jak pani Wróblewska mówiła, „całą okolicę”. I wszystkie te szlaki, którymi jadą Sienkiewicz i Chopin, i Chełmoński, i wszystkie te drogi, którymi jeździłem do Polski, i tę na Rawę, i do Byszew, i tę na Radom, do Sandomierza, i tę na Puławy, i na Lublin. I pokazuję palcem, i mówię:

„Patrzcie, patrzcie, to mój wózek toczy się po tych drogach!”

1 IX 1977 Brwinów

c

Z GŁOSÓW PRASY:

[...]

Pozostając od kilku lat pod urokiem latynoamerykańskiej literatury z kręgu realizmu magicznego, a urok ten zrodzony jest przez ów niepowtarzalny stosunek do czasu i przestrzeni, a także do motywacji rządzących ludzką egzystencją, czas jest tam nieistotny, wszystko dzieje się zawsze, gusła, mity i realność w jej materialistycznym sensie zespolone są w jedność. To dziwne, ale echo smaku tych lektur odzywało się i przy czytaniu *Podróży do Polski*. Towarzyszyło mi odczucie szybowania ponad czasem czy poza czasem, gdy sobie do Polski z Jarosławem Iwaszkiewiczem wędrowałem.

Omawianie zawartości tomu wydaje mi się zbędne, ale jeśli chciałbym zwrócić szczególną uwagę czytelnika na jakieś jej partie, to rekomendowałbym, bo mnie szczególnie przypadło to do gustu, mały rozdział zatytułowany *Fotografie se Śląska*. Są to krótkie notatki mówiące o pejzażu śląskim. Dziś już nikt pejzażu nie opisuje z tej prostej przyczyny, że opisy te nie są czytane, a także z tej przyczyny, że „opisy przyrody” zostały dostatecznie wymiennie jako element belferskiego pojmovania piśmiennictwa. Kultura obrazkowa z telewizją na czele skutecznie do reszty trzebi opisywanie czegokolwiek, bo po co opisywać, jeśli można zobaczyć. I z tego punktu widzenia rzecz rozpatrując ocenić *Podróże do Polski* jako książkę odważną, bo przeciwstawiającą się zaniechaniu opisu literackiego, trendom czy modom zapisywania tylko tego, co się dzieje, a jest to nurt potężny. Literatura staje się coraz bardziej scenariuszowa, a młodzi ludzie w przeważającej mierze opisać niczego nie potrafią, co nie jest akcją, sytuacją, zdarzeniem rozumianym najprościej, to znaczy tak, jak rozumiemy wypadek drogowy. Mówiąc młodzi ludzie — mam na myśli w OGÓLE młodych ludzi, a nie literatów jedynie.

Wielu miejsc, nie mówiąc o osobach opisanych w *Podróżach do Polski*, nie widziałem, zapewne już nie zobaczę w dobie naszych dobrych dróg i motoryzacji. Za szybko się jeździ, niechętnie się zbacza z trasy, coraz mniej się widzi poza smugą asfaltu i zadami oraz mordami samochodów w drodze, bo trzeba gdzieś dotrzeć na czas, na ściśle określony czas... Zresztą moje miejsca są inne i nieważne. I tu także pożytek z tej lektury. A swoją drogą czy aby nie jest znamienne, że coraz więcej się pisze i czyta książek powstałych na zasadzie autobiograficznego przekazu, tej swoistej literatury faktu, mam tu na myśli oczywiście książki pisane przez literatów, a nie pamiętnikarstwo. To requiem dla romanso- pisarstwa, dla powieści, dla „wielkiej metafory”. (Bohdan Czeszko, Jarosława Iwaszkiewicza polskie peregrynacje, „Kultura”, 19 III 1978)

Czytając *Podróże do Polski* (właśnie „do” a nie „po Polsce”) musimy pamiętać o rzeczy najistotniejszej: Iwaszkiewicz podróżował do Polski z zewnątrz, poznawał ją we fragmentach i różnych okresach swego życia, starał się dotrzeć do istoty owej krainy z jakaś młodzieńczą neoficką gorliwością. [...]

Stało się tak, że pisarz tak wyrafinowany artystycznie, muzycznie, Europejczyk prowadzący rozmowy z bardzo znakomitymi ludźmi całego świata [...] zachował

i umiejętność naiwnego, szczęśliwego — powiedziałbym także — czysto emocjonalnego przeżywania obrazu ojczyzny, malowania jej pejzażu słowem przywodzącym pamięć Żeromskiego, tylko że w tej dziedzinie styl Żeromskiego jest dla wielu współczesnych już nie do zniesienia.

Iwaszkiewicz mówi, że czując naskórkiem, jest bardzo szczęśliwy. Ale to

1 kwestia naskórka; może być skóra tak gruba, że do cna zrogowaciała, skóra zgłuszonych banalnym programem turystów wysyłanych na dwudniowy pobyt do Zakopanego z odwiedzeniem Gubałówki i Morskiego Oka.

Drogi są tak dobre, że sztuka podróżowania się kończy.

(Michał Radgowski, Polska niezwykajna, „Polityka” 25 III 1978)

Ta książka jest o docieraniu do polskości, do tego, czym jest nasza kultura i sztuka, jakie są jej własne, niepowtarzalne wartości, z których powinny by czerpać inne kultury. Jest o docieraniu do przerażających prawidłowości naszej kul- pać inne kultury. Jest o docieraniu do przerażających prawidłowości naszej historii, w której przyczyny i skutki powtarzających się klęsk nawarstwiały się od stuleci, warunkując się wzajemnie i tworząc specyficzne polskie błędne koło. Jest o zatrwożeniu polską biedą i nieumiejętnością wydobycia się z niej, która tak dręczyła wczesnych i późnych romantyków, pozytywistów, wiele pokoleń. Jest

0 wspaniałych tradycjach narodu słynącego z tolerancji i umiłowania wolności oraz o mniej często wspomnianych, a przecież istniejących tradycjach fanatyzmu

1 nienawiści. Jest o urodzie tego kraju, ale i o jego brzydocie. Jest książką człowieka, wrośniętego w taką właśnie polsność: nie imaginacyjną, nie utopijną, nie zmitologizowaną, ale żywą, skomplikowaną, tajemniczą, uszczęśliwiającą i sprawiającą ból. Jak każda wielka miłość. [...]

[>.]

Podróże do Polski Doskonałej nigdy nie mogą być zakończone, ale też nigdy nie powinny zostać przerwane. Wiemy to na pewno, gdy zamykamy książkę Iwaszkiewicza, z którym dotarliśmy do wielu części Polski niedoskonałej, ale prawdziwej i niezastąpionej.

(Helena Zaworska, *Z Polski — do Polski*, „Twórczość”, VII 1978)